



D. I. 1

# Z SIĘDMIOLETNIEJ WOJNY.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

PRZEZ

*J. I. Kraszewskiego.*

## I.

Około połowy XVIII-go wieku Niemcy były krainą marzeń dla Włochów i Szwajcarów, którym się w domu siedzieć nie chciało, a woleli wzorem wielu szczęśliwych, po dworach książęcych i królewskich szukać tego co u nas zwano „krescytywą.” W istocie przykładów było dosyć takich uzdolnionych, do wszelkich posług gotowych, ciało i duszę zaprzędających chętnie dorobkowiczów, którzy z małym tłómczkiem napchany nadziejami, wyszedłszy z domu, wracali w splendorach gwiazd i tytułów, albo raczej nie powracali już nigdy, tylko ściągali ku sobie ubogich krewniaków, aby i oni też przy ich ogniu pieczeń swoją upiekli.

Na dworach berlińskim i saskim pełno było cudzoziemców i ze względów polityki wewnętrznej, panujący woleli się daleko otaczać niemi, niż butną szlachtą domorosłą, która pewne sobie rościła prawa. Właśnie chcąc jęj przytrzcąć rogów, król August Mocny otoczył się Włochami i przybyszami z różnych krajów, a na dworze berlińskim metoda ta znalazła uznanie i naśladownictwo.



Z cudzoziemcami nie czyniono sobie ceremonii, w kraju nie mieli się na kim opierać; przychodzili zdając się odrazu na łaskę i niełaskę: słudzy z nich byli wygodni. W najgorszym razie wysyłano ich jeżeli się próba nie udała, do Königsteinu lub Spandau i nikt się za nich nie śmiał ujmować.

Rzadziej się to jednak im trafiało, niż domorosłym sługom pańskim; większa część szła szybko do góry i całe kolonie tych emigrantów dobrowolnych zapełniały rezydencje niemieckie.

Tak też w roku 1755 przywędrował do Berlina powabny młodzieniec, który już od roku prawie kręcił się po stolicy nadsprejskiej, dotąd sobie nic jakoś wyszukać nie mogąc. Ani miła bardzo i zalecająca się powierzchowność, ani dworskie i piękne maniery, ani do wysokiego stopnia podniesiony kunszt tańca, ani muzykalne talenta, ani uśmiech i grzeczność nadszkapująca, któremi witał każdego, nie patrząc na położenie jego i stosunki towarzyskie, jakoś nie dotąd nie pomagały.

Max Henryk de Simonis przybył tu z Bernu, opierając się na pokrewieństwie z Ammonami, a jeden z Ammonów w służbie pruskiej i dyplomacyi ważne dosyć zajmował stanowisko. Kuzyn ten mający mu służyć za protektora, przyjął go więcej niż zimno, ręce pochowawszy w kieszenie a głowę zadartwszy do góry. Pokrewieństwa nie zaprzeczał, ale głosił zasadę, iż młodzież o własnych środkach szukać sobie drogi powinna, że pomagać jój, jest to być nieprzyjacielem, bo tylko zostawiona własnemu przemysłowi, siły do życia wyrobić jest w stanie.

Osobliwy to był człowiek ten Ammon stary; bo młodzieńca tak przy pierwszym widzeniu się z nim zbił z tropu i sfukał, iż się już przed nim więcej pokazać nie śmiał.

Pan Max gotów do największych ustępstw względem obcych, bo na to się wybierając w drogę przygotował, względem kuzyrna uczuł w sobie jakąś dumę i urazę; ubodło go wyzwanie, przechodząc próg jego niegościnnie, powiedział sobie, iż gdyby miał z głodu umierać, więcej się do niego nie zgłosi.

Stary Ammon który może tylko chciał młodzieńca wypróbować czy jest dostatecznie giętki i sprężysty, stał jeszcze jakby spodziewając się powrotu jego, gdy Max już kapelusik nałożywszy na zgrabną peruczkę (bo był elegant nielada) cały

zarumieniony zbiegał z schodów, klnąc się iż ich więcej nie przebiegnie i do domu tego nie wróci.

Stary też powoływać go nazad nie myślał i tak kawaler de Simonis znalazł się na berlińskim bruku (o ile go tam naówczas było), sam jeden na Bożej opatrności. Ale miał lat dwadzieścia i pięć, które są potęgą wielką; miał jeszcze z domu wziętych, jako stawka ostatnia, półtora dukatów; miał zęby białe, twarz jaśniejącą młodością; niebieskie, magnetyczną siłą tryskające oczy, zdrowie żelazne i mocne postanowienie wdrapać się na górę, choćby z pomocą nóg, rąk i wszelkiego narzędzia, jakim go Bóg obdarzyć raczył.

Rodzice kawalera de Simonis, których był już postradał (jedna tylko siostra pozostała mu z rodziny), byli niegdyś ludzie majątni; mieli pochodzić z jakiejś szlachty, pono włoskiej, lecz nieszczęśliwe okoliczności zrujnowały ich do szczytu i zaledwie resztki mienia poświęciwszy wychowaniu syna, niewiele, tak jak nie prawie zostawić mu nie mogli.

Odkuszony dom w Bernie, w którym Max siostrę, ze starszą ciotką zostawił, paręset dukatów ostatnich składały całe mienie młodego awanturnika. Ale któż w dwudziestu kilku leciech wątpi że się pięcią zdrowymi palcami dorobi, czego zapragnie? Max pragnął w ogólności wszystkiego co przyjemnym być może: sławy, wziętości, bogactw, tytułów, stosunków, wielu miłosnych przygód dla przechowania ich w pamięci i w końcu świetnego ożenienia, choćby z księżniczką. Patrząc w zwierciadło pewien był że i najpiękniejsza księżniczka zakochać się w nim może: był nadzwyczaj ładny, świeży i miły.

Oprócz tego dzięki rodzicom, na innych mu zdobywczym nie zbywało przymiotach. Mówił płynnie, a co daleko na owe czasy rzadszém było, pisał ortograficznie kilku językami, francuzkim władał tak jak tylko Szwajcar nauczyć się może, po niemiecku pisał kaligraficznie, czytał biegle, rozmawiał wprawnie, umiał nieźle po łacinie, wcale dobrze po włosku; a w razie potrzeby, miał dosyć determinacyi aby się nauczyć chociażby po indyjsku, gdyby mu się to na co przydać miało. Na wypadek karyery wojskowej, do której nie miał jednak powołania, bo to peruki nie dawało w należytych utrzymać porządku, liczył był nieco matematyki, fechtował się i strzelał elegancko

i wprawnie, tańcował jak Vestris, śpiewał tenorem wcale nie szpetnie, grał na klawicymbale, nawet to co wówczas krzyżowcami sztukami nazywano; skrzypce mu nie były obce: czegoż wycęj po takim kandydacie wymagać było można?

Należy i to dodać na jego pochwałę, że oceniając niezmierny wpływ kobiet na przebieg spraw ludzkich, gotowym był zawsze z najwdzięczniejszym uśmiechem, młodym czy starym, pięknym zarówno i szpetnym zalecać się jak najgoręcej. Pięćdziesięcioletnie matrony nie zraziły go bynajmniej, siadał przy nich i jeżeli tytuł, a pozycja usprawiedliwiały ofiary, gotów był całe wieczory im poświęcać.

Z niezmierną bystrością, albo raczej z instynktem od natury mu danym, odgadywał dziwnie charaktery osób, a zastoso-  
sowywał się do nich z nieporównaną zręcznością. Z kraju swojego rodzinnego wyniosłszy najzupełniejszą obojętność religijną, kwestyą wyznania zachowywał do rozstrzygnięcia na później. Był przygotowanym, jeśliby mu przy dworze berlińskim zostać wypadało, wyznawać luteranizm lub atheizm, a trzymać się katolicyzmu gdyby w ostateczności szczęścia szukać przyszło na dworze saskim lub w Wiedniu. Nie było to bezprzykładnym, boć i on sławny baron Pöllnitz dla ożenienia nawrócił się był na katolicyzm, a dla powrotu do szambelaństwa przy królu pruskim, ofiarował się przejść nazad do kościoła reformowanego, na co mu Fryderyk odpowiedzieć kazał, jak wiadomo, że go nie weźmie inaczéj, chyba muzałmańską przyjmie wiarę. Max de Simonis chadzał tymczasowo i do kościoła i do kirchy, ale że w Berlinie naówczas mało na to zważano i nie opłacała się gorliwość, najczęściej nie bywał nigdzie.

W innych téż przekonaniach swych nie był wcale pedantem, tolerował wszelkie opinie, a do poślubienia jednej z nich, czekał ażby się z posagiem wylegitymowała. Główną dlań rzeczą było dobić się karyery... *Hoc erat in votis*. Tymczasem rok oto upływał już jak się strojno, czujnie, zabiegliwie uwijał po stolicy, i nie nie mógł dokazać. Przygotowawcze jednak i przedwstępne kroki były bardzo umiejętnie porobione; cóż, gdy na jego lep nic się jakoś brać nie chciało. Max nie tracił ani ochoty, ani nadziei, ale coraz mu się stawało smutniej i rozmyślał wielce czyby nie należało zmienić stanowisko;

w takim jednak razie przepadłoby to co tu osnuł i na nowo rozpoczynaćby musiał.

Miał już pewne stosunki, na znajomościach mu niezbywało, byli ludzie co się na nim znali i lubili go; lecz ile razy tylko przebaknął o zajęciu, o służbie, o karierze, potrząsano głowami, zbywano go milczeniem. Do wojska mu się nie chciało, bambus Fryderyka II który wprawdzie i pleców ministeryalnych nie szczędził, nader często stykał się z oficerskimi, a kawaler de Simonis łaskotliwym był nad miarę. Zdawało mu się zawsze iż ma wszelkie kwalifikacye do dyplomatycznej kariery: wielką języka powściągliwość, znakomitą trafność oka, szerokość sumienia jakiej tylko zapragnąć po nim mogli, wreszcie wyzucie się z wszelkich przesądów.

Zwierciadło mu mówiło, iż zewnętrzną postacią, na dworaka i reprezentanta był jakby umyślnie stworzony. Znajomości téż jego najwięcej się w kołach blizkich sfer dyplomatycznych obracały. Być może iż karyera świetna kuzyna Ammona także go na tę myśl naprowadzała.

Do króla Fryderyka II przystęp w ogóle łatwym nie był, a zyskawszy go, dłuższe utrzymanie się w łaskawych względach... Niekiedy zgrabny wierszyk francuzki, ostro przysolony, nieco cyniczny, wyborną bywał rekomendacją. Max de Simonis próbował epigramatów, kilka z nich nawet poszły po rękach, przez p. Maupertuis i Algarottego, ale odbił się bez echa o ściany pałacyku w Sans-Sousi.

Wielką nadzieję pokładał młodzieniec w hrabiniej de Camas...

Była to jedna z tych niewielu niewiast, które Fryderyk II szacował, gdy o wszystkich w ogóle zwykł się być odzywać że to są: „gąski z pustemi główkami“<sup>1)</sup>; o dwadzieścia kilka lat starsza od króla, już nie młoda wcale, hrabina de Camas, owdowiała od r. 1741, zajmowała na zamku w Berlinie mały apartamencik na czwartém piętrze, który Fryderyk nazywał „Raikiem“ i gdzie starą przyjaciółkę czasem odwiedzał.

1) Gänsehen mit dem leeren Gehirn.

Życie na dworze, nawyknienie do nieustannéj czynności, sam temperament żywy, którego lata poskromić nie mogły, siedemdziesiątletniej pani nadawały pozór młodszy daleko. Zajmowała ona przy królowéj jakieś wysokie stanowisko wielkiej ochmistrzyni jéj dworu, ale obowiązki te spełniała tylko przy wielkich i rzadkich uroczystościach.

Żyła w tym swoim raiku na czwartém piętrze w gronie starych przyjaciół, odwiedzana przez mnóstwo osób, które się o jéj łaski starały, wygodnie, spokojnie i wesoło.

Szacunek króla, niezachwiany dotąd, zyskiwał jéj poszanowanie wszystkich.

Siedemdziesiątletnia babina lubiła towarzystwo. Potrzebowała go, bo była bezdzietną, a wesołą młodzież przypuszczała do siebie chętnie, aby się widokiem jéj odświeżyć. Kawaler de Simonis długo niezmiernie starał się o znajomość wielkiej ochmistrzyni, naostatek skorzystał z jakiegóś nadzwyczajnej zręczności, na którą długo czatował i sam się staruszcze narzucił; odprowadził ją, podając jéj rękę na owo czwarte piętro, został na chwilę wpuszczony, wypowiedział się sumaryjnie przed nią z całego życia i dostał pozwolenie przychodzenia czasem wieczorami.

Tak zręcznemu jak Max młodzieńcowi więcej nie było potrzeba, ażeby najśmielsze powziąć nadzieje.

Układnie, powoli starał się w łaski staréj hrabinéj wcisnąć, nie objawiając dalszych zamiarów. Pani de Camas zdawała się obserwować pilnie i trzymać go, jakby na próbie. Hrabina była osobą nadzwyczaj wykształconą, przenikliwą i rozumną. Nawykła do życia w wyższych sferach, do ocierania się o sprawy dyplomacyi, o wszystkie dworów intrygi, zobojętniałą była na stronę sentymentalną i etyczną tych robót, których nieuchronność uznawała. Pewna szlachetność charakteru niewieścia, niektóre postęпки czyniła dla niéj mniej sympatycznymi, ale godziła się w ogóle ze wszystkimi, co wymagania wyższej polityki nakazywały.

Fryderyk II, który jeszcze przed wstąpieniem na tron napisał i wydał „Antimachiavella“ w istocie inny zupełnie charakter nadał swéj polityce. Machiavelli zaleca obłudę i zręczność, Fryderyk II otwartym zawsze działał cynizmem

i uczynków swych żadną maską i zewnętrznym blaskiem nie starał się pokrywać. Całe jego życie było szyderstwem z tego, co się w czémkolwiek bądź przyzwoitością zowie. Nie dbał o nią ani w prywatnym, ani w publicznym życiu... Na chwilę zmuszony pozorem jakimś ukryć swe uczucia, wybuchał potem sarkazmem, kijem i łajaniem.

Max de Simonis znał już dosyć ducha dworu i pana, aby wiedzieć, że z karmelkową swą, słodziuchną powierzchownością, łatwo może u Fryderyka II—gdyby mu się nastreczył w złą godzinę, zasłużyć na zwykły epitet *Canuillen bagage*...

Możeby był, uwzględniając trudności położenia, powędrował już dawno na inne dwory, do Drezna lub Monachium... gdyby nie objawiona mu życzliwość hrabinę de Camas... Ona mu, choć niewyraźnie, pewne, nieokreślone czyniła nadzieje; a gdy tylko zręczność się podawała, staruszka badała pilnie tego kandydata do wszelakię służby.

Zdaje się, że egzamina te, musiały wypaść bardzo szczęśliwie, gdyż ostatnią razą wdychającemu młodzieniaszkowi, stara ochmistrzyni wyraźnie powiedziała, że się zrażać i zrywać nie powinien.

Kawaler de Simonis od przyjazdu swojego do Berlina, znalazłszy sobie przy szwajcarskiej rodzinie jakiegóż, która tu cukiernictwem się trudniła, a była mu z Berna poleconą—izdebkę na drugim piętrze pod Lipami, zajmował ją aż do tój pory... Wprawdzie pomieszczenie nader skromne dla kawalera tak wielkich nadziei nie było bardzo stosownem, lecz nie wiedząc jak długo potrwa nowicyat, musiał być ostrożnym wielce. U ziomka swego Ceroni miał przytułek niewytworny, ale schludny, stół niewykwintny, lecz obfity i uprzejmą gościnność, za stosunkowo niewielkie pieniądze.

Trzymał się więc w swęj izdebce, nie myśląc z nięj się wynosić, póki by jaśniejsze nie weszło słońce...

A słońca tego nie widać i nie widać było!!!

W skwarny dzień lipcowy ku wieczorowi, po przechadzce w lasku za miastem, kawaler de Simonis, powracał właśnie w dosyć melancholicznem usposobieniu do swojego mieszkania, zabierając się rozpaczliwy list pisać do siostry, gdy wchodzącemu na drugie piętro, zabiegła na wschodach dwunastoletnia

Carlotta, córka cukiernika, która nad wiek swój była dojrzałą i jawnie a oczywiście kochała się już, dla nabrania wprawy, w pięknym Maxie ..

— A chodźże pan! a prędkiej!—zawołała z góry, tupiąc nóżkami i biorąc się w boki... a mrużąc oczki i sznurując buzię—mam coś dla pana.

Max uśmiechnął się smutnie. Zaloty te dwunastoletniego dziewczęcia były wyraźną ironią losu... nie takich jadąc tu, spodziewał się successów.

— Cóż tam tak pilnego, czarnooka panno Carlotto!

— Bardzo pilnego! bardzo ważnego—zaczęła szczebiotać, kręcąc się mała—a tak! a tak! i jeśli jak żółw' się wlokąc spóźnisz się pan, a będzie po czasie... jam temu nie winna...

I ręce rozpostarła teatralnym ruchem. Max stanął, podszedłszy kilka kroków... dziewczę tupać i biło ręką o poręcz schodów.

— Hrabina de Camas przysyłała tu, abyś pan dziś był u niej!—pospieszyła Carlotta, dłużej nie mogąc utrzymać tajemnicy—i spojrzała tryumfująco. W istocie mogła przybrać ten wyraz twarzy, gdyż Max, jak piorunem rażony, skoczył ku niej, po drodze chwycił ją wpół, pocałował w czoło: dziewczę się oblało rumieńcem, udając że się wyrывa... ale de Simonis w téjże chwili popędził do swéj izdebki i znikł jój z oczów.

Zdyszana Carlotta pobiegła na palcach pod drzwi jego pokoju, nastawiła ucha i domyśliła się, że żywo musiał się zacząć ubierać, gdyż słychać było rzucanie, stukanie, szcęk i brzęk sprzętów, które Max z pośpiechem chwycił, otwierał i przestawiał.

W istocie nigdy może piękny chłopak tak się nie spieszył ogniście... Godzina była bliska, na którą stawić mu się kazano, a choć od zamku nie wielka go przestrzeń dzieliła—musiał się przecie wystroić...

Szczęściem świeżą peruczkę, jak z drewnianéj lalki fryzyerskiej, świeżo zdjętą miał gotowiuteńką... Trzeba się tylko było umyć i przebrać. Jak na złość wszystko mu z rąk wylatywało, a na frak nie mógł się zdecydować, bo miał dwubratersko piękne... i w obu mu było bardzo do twarzy. Namyslać się nie miał czasu, los musiał stanowić... Jedna para pończoch jedwabnych w pośpiechu tym padła ofiarą.



W kwadrans jednak kawaler de Simonis był gotów, kładł już przed zwierciadłem perukę, miał kapelusz w ręku i przejawiając się uśmiechnął, kłaniając sobie z zadowoleniem.

Gdy wybiegł z pokoju, zastał znowu Carlottę w korytarzu się zwijającą (bo go przez dziurkę od klucza podpatrywała), ale ją tylko z daleka pozdrowił, aby peruki i stroju nie kompromitować. Po wschodach zbiegł jak baletnik, nucąc piosenkę i znalazłszy się w ulicy, puścił strzałą ku zamkowi. Coś mu mówiło, że to była chwila w życiu stanowcza!..

Serce mu biło mocno...

Nigdy jeszcze podobnego poselstwa nie odebrał od hrabinéj, był więc jéj na coś potrzebny... Zamyślony, rozmarzony, kilku przechodniów potrąciwszy, a raz o mało nie utraciwszy kapelusza od uderzenia w ramię, stanął przed zamkiem i tu zwolnił kroku. Był u celu: zamek wyglądał jak zazwyczaj w czasie lata; przez ten czas król Fryderyk II siedział w Sans-Sousi, a królowa w Schönhausen... Aż do czwartego piętra na wschodach nie spotkał żywej duszy, oprócz kilku sług znudzonych, zostawionych tu do dozoru.

W przedpokoju hrabinéj nie było téż nikogo, prócz starego jéj kamerdynera, a z sąsiedniego saloniku nie słychać było głosów, któreby goście oznajmywały.

Kawaler de Simonis wszedł nieoznajmiony, ostrożnie, do salonu, i tu także nie znalazł nikogo. Dopiero skrzypiące nieco trzewiki jego, wywołały szelest jedwabnej sukni, a potem wnijście staréj hrabinéj, która ze zwykłą starannością wystrojoną była, chociaż od śmierci męża nosiła się zawsze czarno. Głową skinęła mu przyjaźnie staruszka..

— Dobrze żeś przyszedł kawalerze de Simonis—odezwała się po francuzku, bo za Fryderyka II dwór, wojsko, co żyło bliżej zamku, mówiło tym tylko językiem; ale dodała, palec kładąc na ustach... Nie wydaj się z tém później w rozmowie, że ja cię tu ściągnęłam sama... Rozumiesz...

Pojętny nader młodzieniec skłonił się z poszanowaniem, rękę na znak posłuszeństwa przykładając do piersi.

Staruszka usiadła na kanapie... i spojrzała ku zegarowi na kominie. Było blisko ósméj...

Max usiadł opodal nieco... Prawie w téj saméj chwili, w przedpokoju dał się głos słyszeć nieco stłumiony, drzwi się

otworzyły i wszedł znany kawalerowi de Simonis z widzenia, Fredersdorf...

Max zerwał się z siedzenia i ujrzawszy go, pohamować nie mógł radości swojej, tak iż twarz cała rumieńcem została oblaną. Szczęściem mrok wieczorny pokoju nie dozwolił widzieć téj zmiany, któraby zbytnią wrażliwość zdradziła, niebędącą przymiotem w człowieku, co się na dworze stara po-mieścić.

Fredersdorf (ten sam, którego Voltaire zowie Fryderyka factotum), był niezmiernie znaczącą figurą, chociaż napozór człowiekiem bardzo skromnym, a miejsce, jakie zajmował na dworze, nie stawiało go wysoko. Ludzie, którzy wiedzieli wszystko, szeptali że pochodził kędyś z Frankonii i był synem kupczyka ubogiego, któremu się nigdy nie śniło ani o stanie wojskowym, ani o życiu na dworze... Lecz są przeznaczenia—Fredersdorf w czternastym roku życia wyrósł tak okrutnie, że ojciec mu sukna na odzienie nastarczyć nie mógł; rósł potem nieco wolniej do lat osiemnastu, a nawet do dwudziestu, a gdy się to wyciąganie skończyło doszedł do wzrostu grenadyerów pierwszego szeregu. W owych czasach było to prawdziwe nieszczęście dla młodzieńca, nie mówiąc już o ekspensie na sukno; król Fryderyk pruski miał monomanią wielkoludów i marzył nawet o stworzeniu rassy militarnéj nadzwyczajnego wzrostu. Werbownicy jego jeździli po całej Europie, namawiając i kupując do służby ogromnych ludzi, po całych Niemczech i poza granicami Niemiec, odznaczających się pięknymi kształty i olbrzymim wzrostem; gdy się nie dawali werbować, zakneblowanych uwożono jak panny i zmuszono, postrzygłszy, zaszywszy w mundur, do służby w szeregach. Wyszukiwano im potem małżonek równie dorodnych i z tak dobranych małżeństw, niestety, w skutek atanizmu, o którego prawach król pruski nie wiedział, rodzili się ludzie mali. Ta namiętność dla wielkoludów wiele kosztowała króla JM. pruskiego. Król August II, za kilkudziesięciu Sasów wyrosłych potężnie, dostał naówczas te piękne, japońskie, porcelanowe naczynia, nad które większych nie ma w Europie: kąpać się w nich można.

Grenadyerowie sascy spoczywają od dawna przy przodkach swych, a japońska porcelana stoi dotąd w muzeum w Dreźnie.

Fredersdorf zaczynał praktykę kupiecką w małym miasteczku w Frankonii i chodził w skórzanym fartuchu, gdy jednego poranku zjawili się werbownicy pruscy. Wpadł w oko kapitanowi. Był to sławny ze swych sztuk Schmels, który żadnego dorodnego parobka ujrawszy z rąk nie puścił; zaklął się że go mieć będzie. Fredersdorfowi, który był natury spokojnej i milczącej, a wcale nie wojowniczej, ani się o karierze militarniej śniło. Zaproszono go na wieczór pod *Złote jabłko*, spojono nieboraka i gdy się ocknął zdala od miejsc rodzinnych, był już odziany w jakiś łachman mundura, a trzech towarzyszy kapitana Schmels'a gotowi byli zeznać pod przysięgą, że zdrow i przytomny na umyśle, do służby się zobowiązał.

Ani młodzieniec, ani rodzice jego, ani żadna siła w świecie nic była w stanie wyrwać go z rąk werbowników. Musiał się poddać przeznaczeniu! ale gdy go do Berlina przywieziono, a zaczęto uczyć musztry za pomocą kija, gdyż naówczas metoda ta pedagogiczna była w powszechnym używaniu, okazało się że nawet wszechmogący kij, ducha w nim i zręczności potrzebnej grenadyerowi pierwszego szeregu wyrobić nie mógł. Kapitan Schmels, który tylko na rozmiary zważał, odebrał gorzką reprymandę. Raz jednak nabytego Fredersdorfa nie wypuszczono i starając się go zużytkować, kazano mu uczyć się grać na oboju i na flecie, gdyż do muzyki wielką okazywał skłonność.

Pułk Schweryński, do którego muzyki wcielono go, stał załogą w twierdzy Kistrzyńskiej, gdy syn królewski Fryderyk, schwytany w chwili zamierzonej ucieczki, osadzony w niej został w więzieniu. Po pierwszych okropnych owych scenach, które pobyt jego zakrwawiły, młody następca tronu począł się rozrywać ulubioną grą na flecie i książkami. To doń zbliżyło Fredersdorfa: książkę go mocno polubił.

W istocie był to człowiek, którego pokochać było można: natura flegmatyczna, spokojna, powolna, rozważna, nie łatwo podlegająca wrażeniom, ale uczuciu raz powziętemu wierna niewzruszenie. Jako muzyk flecista odznaczał się wielkim gry wyrazem... jako człowiek miał serce wielkie, do rozmiarów piersi zastosowane. Odosobniony i surowo trzymany Fryderyk w Kistrzynie, wyprosił był sobie naówczas u komendanta

do posługi tego łagodnego, dobrego Fredersdorfa. Z nim razem grywali na flecie, wierny sługa potem ważąc nietylko swobodę ale życie, pisał od królewicza listy do siostry margrabiny Baireuth, usiłując wyjednać współczucie i pomoc obcych dworów.

W tych dniach niewoli i utrapienia, biedny milczący kupczyk był prawą ręką Fryderyka, a pomocy w takim nieszczęściu, w takiej chwili, gdy pomoc dana świeżo jednemu głowę kosztowała, nie zapomina się nigdy. Gdy te ciężkie przeszły czasy, oswobodzony i zwolna do łask ojca przypuszczony królewicz, wykupiwszy się sam ożenieniem, pierwszym groszem jaki miał, wykupił z niewoli wojskowej Fredersdorfa.

Flecista, który miał czas w Kistrzynie do pana się przywiązać, rozpoczął przy nim służbę od skromnej funkcji—lokaja... ale lokaj był zarazem przyjacielem i Fryderyk, który tak kijem szafować lubił, nie śmiał się nigdy porwać nawet na niego. W istocie, w chwili największego nawet rozjątrzenia trudnym to było spojrzawszy na wiecznie wypogodzone, spokojne, zrezygnowane oblicze, które nigdy ani niecierpliwością, ani bólem nie drgnęło. Fredersdorf rozbrajał tym chłodem i rezygnacją nawet Fryderyka II, który chwilami we wściekłość wpadał. Przez długi téż czas był to niemal jeden człowiek, który, pomimo podrzędnego stanowiska, miał najzupełniejsze zaufanie pana. W jego rękę były papiery, pieniądze, klucze; wszystko u Fredersdorfa: nigdy niczego nie nadużył. Miał i to do siebie, że o nic nigdy nie prosił, a ze wszystkiego był zadowolony i ten jeszcze przymiot najwyższy, nieoceniony, że całe życie milczał i rozkazy spełniał, ani ich przechodząc, ani z nich nic nie obcinając.

Z lokaja przeszedł wkrótce na kamerdynera i na pierwszego ze sług księcia. Gdy Fryderyk II na tron wstąpił, uczynił go tajnym podkomorzym i wielkim podskarbinem swoim. Nie przeszkadzało to królowi zamęczać tak nieszczęśliwego wiążąc go do swój osoby i posługi, że w końcu ulubieniec o mało nie padł ofiarą. Jakimś trafem poznał był Fredersdorf w Potsdamie, bogatą i piękną córkę bankiera Dauna i umiał się jój podobać. Gwałtowna miłość związała się potajemnie między dwojgiem przeznaczonych dla siebie. Fryderyk dowiedział się

o tém. O miłości dla kobiety mówić mu, było to ślepemu prawie o kolorach. Król miał sentyment za komedią, bo nigdy w życiu go nie czuł. Dla niego wszystkie młode kobiety, nawet, jak się sam wyrażał, czosnkiem cuchnące dziewczki szlżkkie jeden urok miały: nielitościwie szydził z serdecznych zapałów! Prozaiczniejszej natury, cyniczniejszego usposobienia trudno wyobrazić sobie. Miłość Fredersdorfa oburzyła go, rozgniewała. Piérwszy raz w życiu napadł z góry na ulubieńca, zła-jał go i wyszydził okrutnie. Obawiał się, aby przywiązanie do żony nie odebrało mu serca potrzebnego sługi.

Wystrofiowawszy najgminniejszymi wyrazy, wyśmiawszy bez litości, król sądził że go wyleczy, ale postrzegł wkrótce, że to nie pomogło. Rozgniewany, aby stosunki rozerwać wyprawił faworyta w podróż do Francyi i dopiero gdy tam ze smutku, żalu, z tęsknoty zachorował niebezpiecznie Fredersdorf, zniecierpliwiony król pozwolił mu się żenić, choćby z dyabłem.

Podskarbi wyzdrowiał jakby cudem, ożenił się i do wier-nych usług powrócił, bo się bez niego obejść było niepodobna; król nadał mu dobra znaczne i wszystko zapomniane zostało...

Fredersdorf był jeszcze podówczas bardzo pięknym mężczyzną, a wysoki ów wzrost nie odejmował mu zręczności w ruchach i wdzięku. Trudno w nim było teraz poznać dawnego kupczyka i pułkowego muzykanta. Bardzo wytworna tualeta, którą mu Fryderyk, śmiejąc się z niej przebaczał, sam będąc z zasady i natury nad wszelkie pojęcie brudnym, odmładzała go bardziej jeszcze. Z uśmiechem na ustach, skromnie, cicho wsunął się do salonu i podszedł ku ochmistrzyni, ale oko zmierzyło szybko, niepostrzeżenie kawalera de Simonis, który poczuł że po nim przeszło od stóp do głów to wejrzenie...

Ochmistrzyni przedstawiła mu młodzieńca, zowiąc go żartobliwie swoim protegowanym.

— Ale mój podskarbi—dodała zaraz—mnie się wcale w moich protekcyach nie szczęści. Kawaler de Simonis siedzi tu oddawna i nie może sobie znaleźć żadnego zajęcia.

Fredersdorf ramionami tylko poruszył z lekka: zamruczał coś, rozmowa się urwała, a potem przeszła na przedmioty obo-

jętne. Ostatnia huczna zabawa u księcia Henryka dostarczyła wątku.

Szczęściem dla niego Simonis się jej mógl, choć nieco zdala przypatrywać, weisnął więc zręczne słówko i popisał się z dowcipem, a jeszcze więcej z talentem postrzegawczym; podskarbi nie przerywając mu, słuchał go z natężoną uwagą i on i ochmistrzyni zdawali się chcieć dać pole do tego popisu kawalerowi i wrzucali tylko po słówku, wyciągając go na coraz nowe szczegóły.

Max był szczęściem w werwie i opowiadaniem samém ożywiwszy się, wystąpił świetnie. Gdy skończył, ochmistrzyni i Fredersdorf, jakby porozumiewając się z sobą, oczyma się zmierzyl.

Podskarbi, jak i innych dni, był i teraz bardzo milczący, słuchał więcej niż się odzywał, wszakże, gdy hrabina de Camas znowu coś wtrąciła o tém, iż dla swojego protegowanego, pomimo jego talentów nic znaleźć nie może, odezwał się cicho i łagodnie:

— J. Królewska Mość niechętnie nowych bierze ludzi: miejsca są na dworze zajęte, a w wojsku wątpię, by kawaler de Simonis talenta swe chciał zagrzebać. Wojsko więcej potrzebuje rąk niż głów dobrych, a ja sądzę że pan de Simonis głowę ma silniejszą niż dłonie.

Rozśmiano się nie przecząc: podskarbi rzucił jeszcze pytań kilka, zdawał się badać różnie Maxa; a po godzinném prawie egzaminie, cicho rzekł do niego:

— Życzę panu szczerze jak najświetniejszej przyszłości... i sądzę, wróżę, iż możesz ją pan mieć przed sobą... ale, jako od starszego, chciéj odemnie przyjąć jedną radę.

Tu się zawahał podskarbi i dalej ciągnął powoli, głos jeszcze niżając:

— Ktokolwiek ma to szczęście, że się do dworów i wysoko stojących osób zbliża, powinien mieć za prawidło, że milczenie i dyskrecya więcej mogą, niż dowcip i rozumy... Wielu rzeczy ani się trzeba nawet domyślać dla siebie, a zadnej obcym mówić nie godzi.

To powiedziawszy wstał szybko z krzeselka, spojrział na zegarek i choć w téj chwili lokaj wnosił światło i przekąskę

wieczorną, owoce, wino i ciasta, wymówił się od podwieczorku i wyszedł z salonu. Ochmistrzyni szeptając coś z nim pocichu, odprowadziła go aż do przedpokoju, gdzie z pół kwadransa zostali jeszcze.

Kawaler de Simonis sam na sam przez ten czas mógł się gryźć tą myślą, że i tym razem mu się nie udało. Rozmyślał tak nad swém położeniem, patrząc na butelkę z winem, gdy hrabina powróciła, dosyć żywym krokiem, spojrzała nań, nalała mu kieliszek, kazała się przysunąć do stolika i westchnąwszy poczęła rozmowę.

Z początku wyrazy jój nie bardzo nawet zwracały uwagę zmieszanego młodzieńca, ale wprędce zaczął się im przysłuchiwać z coraz większą bacnością.

— Poznałeś już pan dosyć dwór nasz — mówiła zcicha, mierząc go oczyma — byś wiedział, że do niego przystęp nie łatwy. Ale dlaczegożby nie spróbować szczęścia gdzieindziej?

Tu się zawahała; kawaler de Simonis uczuł się jakby mieczem przeszyty. Radzono mu więc iść precz! Takie *consilium abeundi* zyskać, zamiast tego czego się spodziewał! I być wezwanym umyślnie na to tylko, aby tę przyjacielską radę usłyszeć!!

Ochmistrzyni postrzegła znać wrażenie i prędko usiłowała je zatrzeć...

— Hm! — rzekła — gdybyś pan miał nad swój wiek dyskrecyę, dlaczegożbyś przy innym dworze nie miał być nam, królowi nawet, użyteczniejszym niż tutaj?!

Max zarumienił się jak wiśnia i o mało nie porwał się z krzesła; kapelusz spadł mu z kolan, tak pilno mu było oświadczyć, iż gotów był do dyskrecyi jak grób i do usług jakich tylkoby po nim wymagano; ale ochmistrzyni mówić nie dała i pospiesznie ciągnęła dalej:

— Słuchaj w. pan — rzekła — chciałabym szczerze coś uczynić dla niego: interesuje mnie położenie jego... Cóż dla was, na własną rękę wymyśleć mogę... tak, *na własną rękę*... od nikogo nie proszona, przez przyjaźń jaką mam dla waćpana. Uważaj waćpan tylko, kawalerze de Simonis...

Tu przysunęła się bliżej nieco, białą, chudą, pomarszczoną rączką chwyciła gruszkę z talérza i bawiąc się z nią, mówiła coraz głośniej:

— W téj chwili mi to na myśl przychodzi, dlaczegóżbyś nie jechał do Drezna? Tam, wiemy to z pewnością, ten niegodziwy Brühl i jego zausznicy, knują przeciw nam zdradę. Król strzela do psów i fajkę pali, jemu pod nosem zrobią co chcą. Królowa Józefina nas nienawidzi. Wacpan jesteś swobodny, mógłbyś tam pojechać, porobić znajomości, podobać się Brühlowej, która młodych ludzi lubi, choć sama dawno być młodą przestała. Mógłbyś się dowiedzieć wiele, mógłbyś mi o tém donosić; jabym królowi czasem list jego przeczytała. Któż wie? tą drogą do wielkich się rzeczy dochodzi!

Wysypawszy prędko wymówione wyrazy te, hrabina de Camas czarne swe oczy przenikliwe skierowała na młodzieńca, chcąc odgadnąć jakie to na nim uczyni wrażenie. Kawalerowi de Simonis gorzały policzki, usta drżały, oczy się iskrzyły, a gdy nareszcie wolno mu było przyjść do słowa, odezwał się z zapałem, składając ręce jak do modlitwy:

— A! pani! proszę, rozkazuj, kieruj, wymagaj, co się podoba; spełnię bez zastanowienia wszystko!

Zręczne chłopię, po tym wykrzykniku żywo poczęło, z sentymentalnym wyrazem:

— Jestem sierotą, sam jeden na świecie, nié mam opiekuna, doradcy, nikogo! oddaję się cały pani hrabinéj. Muszę pracować dla mojej przyszłości, bo ją nikomu innemu, tylko sobie winien być mogę. Podaj pani rękę miłosierną sierocie...

Pochylił głowę. Ochmistrzyni się uśmiechnęła, a w uśmiechu tym było coś dziwnego, jakby politowanie jakieś i sąd surowy. Westchnęła, a w krótkim przestanku mówiła dalej:

— Więc cóż kawalerze de Simonis? przyjmujesz radę moją? Pojedziesz do Drezna?

— Na koniec świata! — odparł z zapałem Max; — lecz zaledwie wymówił te wyrazy, jakaś myśl wewnętrzna musiała go przestraszyć, pobladł nagle i zamilkł znacząco.

Błyskawicą przez głowę przebiegło mu jego położenie finansowe, szczupły zapas jaki mu pozostał, a razem wielkie zbytki na saskim dworze, na którym bez pewnego kosztownego występu pokazać się, ani najmniejszej roli odegrać nie było można.

Hrabina de Camas zdawała się zgadywać myśl jego i podchwyciła nie spuszczaając go z oka:



— Ponieważ oddałeś mi się w opiekę, bądźże ze mną szczerem, kawalerze de Simonis. Żyjesz już dosyć długo w Berlinie, wprawdzie, jak słyszałam, skromnie, ale młodość ma swe prawa i potrzeby. Z domu zapewne wielkich nie miałeś zasobów. Dopóki ci się nie polepszy... jeżeli potrzeba, będę ci mogła czémś przyjść w pomoc.

Max pospieszył ucałować jęj rękę, nie chcąc w piérwszej chwili, daléj tak drażliwą posuwać kwestyę.

— Co się tyczy dworu saskiego—dodała—jeżeli się zgodzisz na podróż mój kawalerze, przygotuję cię wiadomościami potrzebnymi, będziesz miał instrukcyą odemnie. Nie masz tam znajomych?

— Niestety! nikogo!

— Tém lepiéj—mówiła hrabina—tém lepiéj; do jednego z dwu albo do starego Beguelina, który jest ziomkiem waćpana, albo do rezydenta Ammona listy mieć możesz odemnie.

Spojrzała nań: usłyszawszy Ammona imię, Simonis drgnął, zarumienił się mocno i pomięszakł.

— A! tylko nie do Ammona!—zawołał żywo.—Nie mogę mieć przed moją opiekunką tajemnic: Ammon jest blizkim krewnym moim. Przybywszy tu udałem się najprzód do niego, nielitościwie odmówił mi swéj opieki. Nie jestem dumnym do zbytku, lecz raz odprawiony, znać go więcéj nie mogę.

— A!—uśmiechnęła się pani de Camas—niekoniecznie się z nim stykać potrzebujesz?—Ruszyła ramionami.—Beguelin Szwajcar, ten was po moim liście przyjmie otwartemi rękami. Nikogo nie zadziwi, że jako Szwajcarowie oba żyć z sobą będziecie. Beguelin ciężki jest, stary, ale zna doskonale kraj i wielką wam być może pomocą. . .

Rozmowa o Saksonii trwała jeszcze chwilę. Hrabinę żywo zdawał się obchodzić los pupila przybranego, nie szczędziła mu rad i skazówek, naostatek, gdy dosyć późno robić się zaczęło, niespodzianie, jakby jęj teraz dopięro myśl ta przyszła... zawołała ręką uderzając po stoliku:

— Poznałeś tu waćpan *przypadkiem* Fredersdorfa, grzechność wymaga, abys go w Sans-Sousi odwiedził. Człowiek ten choć nie głośny, wiele może i przyda się w życiu jego znajomość: wiercie mi!

— Lecz jakże się ja tam do niego docisnę? — szepnął Simonis.

— O! najłatwiej, o to się nie masz co troszczyć— dodała pani de Camas.— W pewnych godzinach ogród jest otwarty, przejdiesz się po nim, zobaczysz posągi ładne, a trzebaby nie-szczęścia żebyś lub Fredersdorfa nie spotkał, albo się o jego mieszkaniu nie dowiedział. Jeśli nie będzie przy królu, przyjmie was pewnie. Jutro więc, kawalerze, do Sans-Sousi, bo tego odkładać nie wypada, a potem czekam was z raportem i instrukcjami do Drezna.

Hrabina wstała, porwał się z krzeselka młodzieniec, ucałował jej rękę zgiąwszy się w pół i odszedł na palcach rozmarzony.

Nie wierzył szczęściu swojemu! Te odwiedziny tak złowrogo się zrazu obiecujące, skończyły się przecież niespodzianką pełną obietnic... Wyszedł w ulicę.

Parno było, noc zrobiła się czarna, chmury przebiegały po niebie. Kiedy niekiedy błysk błady rozświecał pustą ulicę, i duże, ciężkie deszczu krople spadały na ziemię. Przerażony Simonis spostrzegł dopiero co groziło jego pięknej peruce i najlepszemu frakowi i pędem puścił się ku domowi. Tylko co na próg jego się dostał, gdy ulewa lunęła jak z wiadra...

## II.

Kawaler de Simonis nie wiedział zapewne o często przez Fryderyka II powtarzanym aksjomacie: *Fallacem fallere, non est fallacia*; byłby się bowiem domyślił może, iż go nie dla własnej zabawy wyprawiała w. ochmistrzyni do Drezna...

Nie tłumacząc się nawet żadną fallacyą cudzą, wszelkich środków bez wyboru zażywała polityka Fryderykowska, gdy do upragnionego zmierzała celu. Kawaler de Simonis był zresztą zupełnie neutralnym, a w tej chwili gotów zawrzec przy mierze z każdym coby mu przyszłość pokazał i iść, choćby na rodzonych braci. Tych szczęściem nie miał. Wczorajszy wieczór tak w nim krew poburzył, iż mimo kilku szklanek wody które wypił, aby ostudzić rozigraną, całą noc prawie nie zmrużył oka. Dzień w Sans-Sousi poczynał się nader wczesnie,

Fryderyk w lecie wstawał koło czwartej, za nim służba i dwór iść musiał. Należało więc dla pokłonienia się Fredersdorfowi dostać się rano, bardzo rano do Sans-Sousi.

Szczęściem dla naszego kawalera, po burzy w nocy, która była bardzo gwałtowna ale krótka, nadedniem się wyjaśniło, uspokoiło, powietrze ochłodziło i dzień obiecywał prześliczny.

Choć nie wyspany Max wstał rażno, i zabrał się do ablucyj i ubrania. W domu jeszcze było cicho. Spali wszyscy i nienawykli do tego, by kawaler o brzasku się zrywał, musieli słysząc go, dziwić się bardzo; ale za jego przykładem i oni też powoli zaczęli ściągać się z łóżek. W mieście jeszcze było cicho i spokojnie, rzadki wóz z wiejskimi zapasami zaskrzypiał przeciągając powoli.

Max otworzył okno i czynnie się zabrał do ubierania. Prawdziwém Opatrzności zrządzeniem ocalał mu frak wczoraj. Dziesięć minut wyszedłszy z zamku, byłby go od ulewy nie uratował, a peruka i kapelusz również piekielnym bogom poszłyby na ofiarę.

Wyraźnie tedy wieść mu się zaczynała, nastąpiło przesilenie fortuny i bogini, która dotąd plecami doń była obróconą, rozpromienioną twarz pochylała ku niemu.

Słońce wschodziło gdy gotów był do podróży, którą musiał odbywać pieszo; piękny chłopak przejrząwszy się w zwierciadle, rad z siebie, zakręcił się szykownie do wyjścia.

Jakimś cudem mała Carlotta z rozpuszczonemi na ramiona włosami kruczemi, jeszcze od snu zarumieniona, świeża i ładna jak wisienka, zaszła mu drogę. Od wczorajszego uścisku, jakby pewnych praw nabyła do Maxa, śmielsza była i w oczy mu spojrzawszy, zapytała:

— Ho! ho! a toż dokąd tak rano i tak wystrojony? Cóż to jest?

Kawaler się uśmiechnął dobrotliwie, ale po mentorsku z góry ją traktując...

— Mam moje interesa, Carlotto! Proszę powiedziéć szanownej mamie, że na obiedzie nie będę pewnie. Tak! mam interesa!

Carlotta główką pokręciła.

— Jaka mi ważna, wielka z waćpana figura—odrzekła—  
od czasu jak hrabina de Camas zaprosiła go do siebie!

I chcącemu iść zastąpiła drogę niecierpliwie:

— He, dokądże? dokąd? dokąd?

Max przypomniał sobie wczorajszą przestrożę podskarbiego w samą porę i pomiarkował, że przed dzieckiem się zdradzić niepowinien.

— Jestem zaproszony na ranną przechadzkę—rzekł.—  
Adieu...

Carlotta była pewną, że choćby dla usunięcia jój z drogi, porwie ją jak wczoraj i ucałuje, ale kawaler de Simonis, nadto był zaprzątnięty dzisiaj, ukłonił się tylko z uśmiechem, i prześliznął na wschody.

Dziewczę zostało na górze smutne. W chwilę potem był już w ulicy i wybierając ścieżki suche, bo gdzieniegdzie po wczorajszym deszczu stały jeszcze kałuże; pośpieszył w dalszą drogę.

Dojść do Sans-Sousi, przy dobrych młodych nogach daleko było łatwiej, niżeli tam sobie dać radę. Wcześniej więc myślał jak się wcisnąć do ogrodu, jak zbliżyć do pałacu i jak długo mu przyjdzie odprawiać rekolekcyje pod cieniem drzew, po pustych alejach, nim szczęśliwy traw da mu spotkać Friddersdorfa, albo się do niego docisnąć.

W ciągu tego roku kawaler de Simonis, napróżno prawie starał się u dworu robić znajomości. Nie udawało mu się to wcale. Fryderyk II jak niecierpiał ażeby jego urzędnicy i wojskowi wchodzili w stosunki z dyplomatami zagranicznymi, tak zakazywał tym co go otaczali, wiązać się w ogóle z cudzoziemcami. Każdy z nich był mu podejrzanym, wszystkich o szpiegostwo posądzał. Dwór króla stronił od przybyszów. Co ranka przywożono z Berlina listę kompletną przybyłych obcych do miasta, z wymienieniem powodów przyjazdu i wzmianką o tych którzy się na dworze przedstawić chcieli. Przyjmowano jednych, odprawiano drugich odmawiając, a niekiedy nie bardzo się cieszył przypuszczony do oblicza pańskiego, bo w złym będąc humorze, Fryderyk bywał niegrzecznym, niekiedy grubiańskim.

Śmiała tylko odpowiedź dowcipna, mogła czasem przejednać. Gdy poraz pierwszy przedstawił mu się sławny mar-

kiz Lucchesini, którego przedstawiał ks. Fontana, król popatrzywszy nań ostro, rzucił pytanie: „wiele téż was jest takich markizów włoskich, co włącząc się po świecie, u dworów za szpiegi służycie“? Markiz niezmiuszony odparł żywo: „Najjaśniejszy Panie, jest nas tylu, ilu panujących tak głupich, by nam podobne nędzne polecenia dawali.“

Dowcip rozbijał Fryderyka, bo go się obawiał.

Kawaler de Simonis po drodze starał się właśnie przypomnieć sobie wszystkie pobieżne znajomości, które mu się na coś przydać mogły i przyszedł mu na myśl paź królewski, szlązak, Krystyan Ernest Malszycki, dobre chłopię, z którym się zapoznał przed kilku tygodniami w Berlinie, gdy za sobą usłyszał turkot wozu i obejrawszy się, zobaczył niespodzianie wcale na wozie twarz dobrze znajomą.

Był to furyer królewski, przyjaciel cukiernika, częsty u niego gość, Szwajcar także, który z jakimś pieczywem i kuchennemi jechał zapasami. Zwał się Jurli. Czerwony, piękny, indyczy nos wskazywał jego dobry humor i przyjaźń ze szklaniami. Jurli już był w wyśmienitém usposobieniu, palił fajkę, ująwszy się w boki, coś niby chwilami podśpiewywał, a na skrzyni siedząc bokiem, nogami sobie takt wybijał.

— Eh! Herr Baron!—zawołał rękę do czapki podnosząc —a dokądże? a dokąd?

Zawstydził się kawaler pieszej podróży; chciał złożyć to na przechadzkę ranną dla świeżego powietrza, lecz strój go zdradzał. Wolał więc przyznać się, że idzie do przyjaciela do Sans-Sousi.

Usłyszawszy to Jurli, na ramieniu woźnicy położył rękę i kazał mu stanąć.

-- Piesz do Sans-Sousi! ho! ho! i w tym stroju—zawołał kręcąc głową.—Gdybyś się nie wstydził, a na drodze o téj godzinie żywej duszy nie spotkamy, ofiarowałbym baronowi miejsce przy sobie. Zawszeby się coś nóg oszczędziło? he?

Ofiara była wielce pokuśliwa, ufny więc w to że istotnie na drodze nie napotkają nikogo, gdy Jurli oprócz tego przyrzekł iż dobrze przed bramą go zsadzi, Simonis zajął skromne miejsce na skrzyni, a konie ruszyły dalej. Widocznie mu się szczęściło, bo oprócz tego Jurli objaśnił go, którą bramą

wejść może do ogrodu, gdzie się ma przechadzać i w której stronie znajdzie podskarbiego.

— Zawsze—dodał do ucha—życzyłbym uniknąć nieprzyjemnego z N. Panem spotkania. Bywa w złym humorze, a kij zawsze nosi w ręku. Ale o tej godzinie—dodał pocieszając—nie spodziewać się go w ogrodzie; psy tylko jego widzieć będziecie mieli szczęście.

Jurli był w gadatliwém usposobieniu.

— E! na prawdę—mruknął—gdybym nie był Jurlim, chciałbym być jednym z tych królewskich chartów! To szczęśliwe bestye! mają swój dwór, biorą strawnego po dwa talary na dzień, na atłasach się wylegiwają; Alcmena najczęściej na kolanach pańskich i kijem ich nigdy nie potrafi.

Zrana wyprowadzają je paziowie na spacer do ogrodu, może je tam zobaczycie, pokłońcież się z daleka. Niezawdzi polecieć się ich protekcji. Bez żartu! Na kogo Alcmena zawarczy, temu król nigdy wierzyć nie będzie, do kogo się połasi, to dla niego patent najlepszy.

Gawędząc tak dojechali do Sans-Sousi, i kawaler de Simonis zsiadłszy z wozu podziękował grzecznie poczciwemu Jurli, który go długo jeszcze przeprowadzał oczyma.

W chwilę potem Max dopadłszy otwartej bramy, w boczną wsunął się aleję i zdala spoglądając na pałacyk w Sans-Sousi, z bijącym sercem oczekiwał.

Nie spodziewał się wcale aby rychło los jego odwiedzin się roztrzygnął, usiadł więc na ławce kamiennój, a że i w nocy nie spał i śniadania nie jadł, poziewanie i senność go napadła. Byłby może uległ jój i zdrzemnął się, gdy jakby cudem, postrzegł paziowski mundur i z wielką radością poznał idącego Malszyckiego.

Paź zarówno musiał być zdziwiony jak on tém spotkaniem, stanął przed nim i spytał żywo:

— A pan tu co robisz?

Nieprzygotowany do odpowiedzi, kawaler de Simonis nie wiedział, dobrze jak ma postąpić; na ten raz wszakże kłamać mu nie wypadało, bo Malszycki mógł mu być pomocnym.

— Panie Erneście—rzekł—wybieram się w tych czasach Berlin i Prusy opuścić, niewiele tu miałem znajomych, ale

i tych chciałbym pożegnać; a więc pana podskarbiego Fредersdorfa, którego raz spotkał i którego pamięci chcę się popolecić, i was panie Erneście.

Uśmiechnął się z wdziękiem dotykając kapelusza.

— Zobowiązalibyście mnie wielce — dodał — gdybyście mnie nauczyć chcieli gdzie znajdę podskarbiego?

— O téj porze?— spytał Malszycki— zdaje mi się że przy N. Panu być musi, ale później? rzecz prosta, w jego mieszkaniu w pałacu.

— A wy na służbie dziś jesteście?— spytał Simonis.

— Do południa jestem wolny— odparł Malszycki.

— Przyznam się wam — podchwycił żywo kawaler, że z Berlina wy...jechałem bez śniadania. Gdyby było gdzie je znaleźć, poprosilibym was z sobą.

Malszycki chwilę pomyślawszy rękę mu podał, ale się wprzód obejrzał dokoła i poza drzewami wyprowadził go nazad z ogrodu. Nieopodal od pałacu była gospoda i cukiernia.

— Dadzą nam tu doskonałej czekolady— odezwał się Malszycki— ale będziemy musieli milczeć jeśli kogo zastaniemy, bo ja tam ust nie otworzę...

Znajdziemy stoliczek pod drzewami.

W istocie znalazło się miejsce ustronne i Simonis o czekoladę poprosił. Gospodarz jak wszyscy niemal naówczas cukiernicy w Europie, był Szwajcar i trochę kawalerowi znajomy z Berlina. Odnowiła się więc ta znajomość i dwaj znajomi zasiedli u stoliczka.

— Król zapewne nie wstał jeszcze?— szepnął Simonis.

Ernest spojrział nań oczyma wielkimi.

— Znać żeście tu chyba pierwszy raz i że nie wiecie nic — odpowiedział— N. Pan o pół do czwartej już był na nogach i nawet mu mokréj chustki na twarz nie trzeba było przykładać jak zwykle, bo od kilku dni jest niespokojny czegoś, i sam się w porze obudził.

Widziałem go już w niebieskiej jubce i lokaj poniósł mu dawno na tacy listy, które nadeszły z Berlina. Harcab mu zapletli, kawę swoją wypił, i jeśli się nie mylę, musi teraz na flecie grać.

Umilkł Malszycki, jakby się chciał przysłuchać: lecz za daleko było od pałacu, aby ich doszła tu muzyka.

— Teraz radzcy gabinetowi czekają w przedpokoju mówią dalej paż—później nastąpi posłuchanie, dalej... doprawdy nie wiem, może przegląd jakiego pułku.

Zbliżył mu się do ucha.—O! jeśli posłuchanie dawać będzie, nie zazdroścę tym co się w tych dniach nawiną: N. Pan od dni kilku jest zasepiony i gniewny.

— Nie wiecie przyczyny?— spytał Simonis.

Malszycki ręce podniósł.

— Ja? ja nie wiem nic a nie! a któż to może wiedzieć! Widzę tylko że nasz Pan zły i chwilami z oczów mu błyska tak... ludzie mówią, jak przed szluzką wojną.

Rozmowa po czekoladzie nie trwała długo, bo Malszycki, choć nie był tego dnia na służbie, miał list pisać do matki i od pałacu oddalać się nie chciał. Wyszli więc razem do ogrodu, gdzie mu spokojne miejsce wskazawszy w cieniu, paż pobiegł do pałacu zaraz, przyrzekając że później, jeśli będzie mógł, przyjdzie do niego.

Kawaler de Simonis usiadł więc zadumany, rozglądając się po ogrodzie, a że przez drzew gałęzie widać było taras pałacowy, w tamtą stronę zwrócił oczy. Wkrótce potem otwarły się drzwi szklane, wyszedł jeden z paziów a za nim wyskoczyła cała zgraja charcików, ulubieńców królewskich, albo raczej towarzyszków najulubieńszej jego *Alcmeny* i *Biche*. Wyskakując, skowycząc, szczekając, przewracając się, wyścigając po trawnikach, charciki którym wszystko wolno było, wyruszyły na świeże powietrze. Paż kroczył jako guwerner i dozorca, nawołując niekiedy do porządku. Słychać było imiona delikwentów, dość nieposłusznych, bo ich pokilkakroć zmuszać trzeba było do powrotu, zbiegających w krzaki daleko.

Phyllis, Thisbe, Dyana, Pax, Amoretta, Superbe, składały familię i dwór pani Alcmeny, która prawie nigdy nie schodziła z kolan królewskich; teraz zaś wypuszczona szła poważna, znudzona, nie biorąc czynnego udziału w swywoli, do której ją towarzystwo wciągnąć pragnęło.

Alcmena wlokła się jakby zmuszona i drzemiąca na tę przechadzkę, z wilgotnej nieco ziemi unosząc delikatne łapki ku górze, stając chwilkami zamysłona jakby się wrócić pragnę-



ła, poziewając nawet znacząco, zatrzymywała się czasem i ogłądała ku pałacowi.

Ponieważ słońce dopiekać zaczynało, paż skierował się w boczną zacienioną aleję, a psy, rade nie rade za nim pociągnęły, właśnie ku temu miejscu gdzie kawaler de Simonis spoczywał. Almena ciągle szła z wolna, dopiero zobaczywszy na ławce siedzącego, zaciekawiona uszy nastawiła, popatrzyła nań uważnie, nieco przyśpieszyła kroku i jak rozpieszczone dziecko, któremu wszystko wolno czego zapragnie a nikt mu nic nie śmie odmówić, dobiegłszy do ławki, wprost na nią skoczyła. Czarnemi oczyma wpatrzyła się w siedzącego, który lekkim płaszczykiem był okryty i z zaufaniem ku niemu, łapkę podniósłszy płaszcz poprobowowała odsunąć, co gdy się jój powiodło, wsunęła się kawalerowi de Simonis na kolana, zwinęła w kłębek wygodnie i położyła na nich. Reszta psów stanęła otaczając go kołem; nadszedł paż zadziwiony, w pół uśmiechnięty, napół nierad i począł odwoływać Almenę, ale ta ani myśląc ustąpić, zęby mu tylko pokazywać zaczęła. Phyllis i Thisbe czekały gniewnie, znajdując to postępowanie nader nieprzyzwoitém, a za nimi wnet Pax, Amoretta, Dyana, Superbe, wszczyły okrutny hałas, który ztąd mógł dojść do pałacu. Kawaler de Simonis nadto był dworakiem i szczęśliwym z okazanych mu przez królewską ulubienicę faworów, aby choć najlżejszém drgnięciem poddać jój myśl ustąpienia z kolan. Paż był chmurny i nieszczęśliwy. Oglądał się niespokojny ku pałacowi, napróżno usiłując szczerkanie zajadłe psów usmierzyć.

— Przekłète psiska!—mrucał między zębami, chustką zlekka je karcąc napróżno, co jeszcze do zajadlejszego szczerkania pobudzało—przekłète psiarnia. Nuż król usłyszysz! A to nieszczęśliwa godzina!

Jeszcze tak niespokojny miotał się, tupał i wołał, gdy z gąszczu jakby piorunem wyskoczył niespodzianie średniego wzrostu człowiek.

Paż stanął jak wryty, a psy spojrzawszy nań tylko, dalej na Almenę ujadały.

Twarz tego nowego przybysza była oświecona dwojgiem oczów czarnych, ostrych, przenikających, nawykłych do groźnienia i rozkazywania: cały wyraz oblicza w nich się skupiał.

W ustach zaciętych i otoczonych już marszczkami i fałdami był wyraz energii i sarkazmu. Nos dosyć ostry i chude policzki całości nadawały coś ostrego i przykrego, ale razem znamionującego wolę, która nawykła się nie uginać przed żadną inną. Marszczki na czole jeszcze surowszą czyniły tę maskę nieco żółconą i zmęczoną... Na głowie i peruce zaniedbanej miał trzyróżny kapelusz zrudziały od słońca i słoty, na sobie niebieski mundur wypłowiały i stary. Pod nim widać było żółtą kamizelkę całą posypaną i poplamioną od tabaki i brudną, a pomietą koszulę. Reszta też stroju nie odznaczała się elegancją, bo na nogach miał niedbale naciągnięte pluszowe spodnie, w których kieszeniach z obu stron wydymały się dwie duże tabakierki, a buty do kolan, nie oczyszczone, podrapane, rude, zabłocone, zdawały się oznaczać chyba że tylko co zsiadł z konia. Jedyłą rzeczą kosztowniejszą była w ręku jego trzcina z gałką wysadzaną brylantami i na brudnej, atramentem zwalanej ręce, dwa duże solitery w pierścieniach.

Wyszedłszy z krzaków, znać wywabiony hałasem ulubieńców, zmarszczony stanął z kijem podniesionym do góry, jakby nim chciał grozić paziowi, psom, czy Simonisowi.

Był to król Fryderyk II-gi.

Simonis który go widywał z daleka, byłby się porwał, ale Almena nie dopuszczała, a zrzucić jęj z kolan nie mógł. Zobaczywszy swojego pana podniosła głowę, pokiwała ogonem, ale z kolan nie schodziła.

— Co to jest!—krzyknął Fryderyk na pazia—podnosząc kij; co to jest! niech on odpowiada? kto to jest?

Paż szybko już począł się tłumaczyć.

— Jak on mógł pozwolić aby Almenę kto brał na kolana...

— N. Pani! sama mimo mojego oporu, gwałtem... niepodobna było jęj wstrzymać.

Król surowo spojrział na Simonisa, który nareszcie poruszył się na ręce biorąc suczkę, i zrzucił kapelusz, nie mogąc inaczej, na ziemię. Psy z początkiem się go nastraszyły, ale w téjże chwili rzuciły się nań jak na zabawkę i zaczęły szarpać niemikosiernie.

Fryderyk się uśmiechał. Uprzedzało go to zawsze dobrze o ludziach, gdy się psy jego garnęły do kogo przyjaźnie. Nie broniąc im zabawki z kapeluszem, który wnet uległ zniszczeniu i poszedł w kawałki, Fryderyk ręką paziowi dał odprawę, a sam na lasce się oburącz sparkszy, począł się Simonisowi przypatrywać.

— Niech mówi—odezwał się—co on tu robi o tój godzinie w Sans-Sousi; kto jest? jakiej professyi?

Simonis wiedział bardzo dobrze iż od tój chwili los jego przyszły mógł zależeć, nie wiedział że król lubił odpowiedzi śmiałe i dowcipne; wezwał więc w pomoc całą umysłową przytomność i trzymając na rękach suczkę, która się wyciągała i ziewała, odparł odważnie:

— N. Panie! Jestem rodem Szwajcar, szukam służby i zajęcia. Od roku bawię napróżno w Berlinie, a że tu wszystkie miejsca zajęte, i na zajęte po dziesięciu kandydatów; jestem na wyjeździe, przybyłem znajomych pożegnać!

— Jak się on nazywa?—spytał król.

— Max de Simonis!

— A jest i *de*, cóż on szlachcic?

— Szlachtą byli moi przodkowie.

— Cóż on umie?—mówił Fryderyk.

Simonis zamyślił się.

— Umie tyle N. Panie, iż wiem że nie umiem jeszcze nic — odparł Max — ale wiem i to że się wszystkiego nauczyć mogę! Fryderyk popatrzał nań.

— Czy on wołał Alcmeng do siebie?

— N. Panie, na tobym się nie ośmielił.

Alcmenie tak było dobrze na rękach, że choć kiwała ogonem do króla, ruszać się nie myślała; Fryderyk twarz chłopca tymczasem z wielką rozpatrywał uwagą.

— A kogo on tu ma znajomego?

— Miałem szczęście raz widzieć u hrabinéj de Camas, pana podskarbiego...

— A z kąd on zna hrabinę?—egzaminował król.

— Już od roku miałem szczęście raz być jéj pomocą... gdy konie...

— Wiem, wiem—przerwał król i odwrócił się.

Zdawało się że chce odejść, lecz wtém zobaczył kapelusz nad którym się psy zęcały; potracił go laską, co im do darcia w kawałki nową było podnieta, i spojierając szydersko na kawalera rzekł:

— Niech mu to będzie nauką: gdy się kto do dworów ciśnie, taką korzyść odnosi!

— N. Panie — odparł Simonis — kapeluszem okupiwszy szczęście widzenia W. Kr. Mości, wcale się nie użalam na to.

Na to kadzidło skrzywił się Fryderyk, popatrzał nań — i rzekł:

— Niech on Alcmenę powoli postawi na ziemię i idzie za mną... Każę mu dać inny kapelusz.

Spełnił ten rozkaz de Simonis, chociaż się suchka opierała. Stanąwszy na ziemi, przeciągnęła się, popatrzyła na króla, który jęj pogroził i szecznąwszy kilka razy przyjacielsko ku Simonisowi, jakby mu wymawiając że ją opuścił, zwolna przed nim iść poczęła.

Simonis zebrał resztki swojego kapelusza i szedł posłuszny... Król go wyprzedzał milczący. Po chwili obejrzał się nań i stanął.

— A dokąd on myśli jechać — zapytał?

Simonis nieco się zawahał...

— Hrabina de Camas jest tak łaskawą dla mnie, iż mi radzi do Saxonii, dokąd chce mnie wesprzeć listami!

Czarne oczy króla bacznie bardzo zwróciły się na Simonisa; przybliżył się ku niemu.

— Ma on ochotę dorobić się czegoś na świecie?

— Nietylko ochotę N. Panie, mam mus... jestem sierota....

— To niechże on wie, że tylko jednemu panu wiernie służąc dochodzi się do czegoś, a zdradą i na dwóch stołkach, do stryczka i szubienicy.

I znowu podszedł król milcząc kroków kilka, a potem zwróciwszy się rzekł:

— I to wiedzieć on powinien, że rozumne gadanie jest rzeczą dobrą, ale głupie milczenie jeszcze lepszą...

Simonis się skłonił.

Król szedł dalej ku tarassowi pałacu. Tu już widać było stojących u drzwi w mundurach, kilku generałów, szambela-

nów i oczekujących posłuchania cudzoziemców. Fryderyk się jeszcze raz odwrócił do Simonisa.

— Niech on idzie do pałacu i w przedpokoju siądzie, gdzie paziowie moi są, a tam czeka rozkazów.

Kawaler skłonił się bardzo nisko i z bijącym mocno sercem, odgadując drogę, posunął się ku prawemu skrzydłu, w którym były apartamenta królewskie.

Zjawienie się jego pomiędzy paziami byłoby mu może wiele nieprzyjemności zrazu przyczyniło, gdyby tam już nie znalazł znajomego sobie Malszyckiego, który wcześniej niż się spodziewał musiał zastępować, wyprawionego za niedopilnowanie Alcmeny do aresztu, poprzednika swego.

Z podartym kapeluszem w ręku zjawił się de Simonis.

— A waćpan tu co robisz? — zapytał zdziwiony paź.

— Jestem z rozkazu J. Kr. Mości: czekać mi kazano.

Z kapelusza podartego śmiano się i drwiono jeszcze, gdy drzwi się otworzyły i wszedł zaledwie patrząc na wyprostowaną służbę, król niezrzucając kapelusza, którego nigdy prawie nie zdejmował z głowy; za nim cała psów jego czereda, a za nimi generałowie Lentulus, Warnery, adjutant Winterfeldt, wielki koniuszy generał Schwerin, kanclerz Coccei, szambelan Pöllnitz i wielu innych.

W chwilę potem słychać było w sali audyencyonalnej pytania i krótkie odpowiedzi. Król naradzał się widocznie ze swymi dowódcami. Simonis w kącie zasiadłszy z Malszyckim spodziewał się tu spocząć nieco, ale dnia tego spotykały go same niespodzianki.

Nie upłynął kwadrans, gdy się drzwi od sali otworzyły i mężczyzna wystrojony w mundurze szambelańskim wybiegł, po przedpokoju szukając jakby kogós oczyma. Pomimo i rysów twarzy dawniej przystojnych i stroju aż do zbytku wyszukanego, nie była to wcale postać sympatyczna.

Choćby na sobie nie miał ani téj liberyi królewskiej, ani klucza u fraka, łatwo w nim było poznać człowieka, który zrósł, wychował się, zestarzał na dworach i uwiął zawczasu w dusznej atmosferze pozornego zbytku, istotnego niedostatku, długów, intryg, ambicyi pożerających, nadziei gorączkowych, upokorzeń wypijanych i połykanych codziennie. Latały mu oczy niespokojem, głęboko zapadłe, usta nie pewnego wyrazu,

gotowe na uśmiech i skrzywienie dygotały niecierpliwie; całe ciało zdało się wyłamane jak u kuglarza, który nawykł związać się w kłębek lub rozciągać jak struna.

Zaledwie wszedł do przedpokoju, już wzrokiem obiegnął wszystkich, zakręcił się na nodze i jakby go co rzuciło przypadł chwytając za guzik sukni Simonisa. Pochylił mu się do ucha, jedną nogę podnosząc do góry i szepnął:

— Simonis? z rozkazu N. Pana... mamy do pomówienia; chodź waćpan ze mną do ogrodu.

Jestem szambelanem króla J. M., baron Pöllnitz do usług.  
Lekko głową skłonił.

Simonis od roku bawiąc w Berlinie i obracając się pomiędzy ludźmi co znali dwór cały, jakżeby o baronie Pöllnitz nie słyszał.

Pöllnitz był sławny, z Pöllnitza śmiał się i drwił król nielościwie; był pośmiewiskiem i plastronem wszystkich, a mimo to król mu przy sobie wisić dozwalał.

Ciekawa to była i figura i historia tego człowieka, który za typ pewnego rodzaju awanturników mógł być uważanym. Nic bardziej zszarzanego a śmieliej narzucającego się z cynizmem i natrętnością niewysłowioną, wyobrazić sobie nie było można. Pöllnitz o wiele starszy od króla, był wnukiem znakomitego swojego czasu ministra, generała, komendanta Berlina, komendanta pułku gwardyi i t. d. i hrabianki de Nassau, córki pobocznej księżki Maurycego namiestnika Niderlandów. Ojciec jego dosłużył się stopnia pułkownika; on sam rozpoczął przy dworze służbę od kamerjunkra. Później spadłszy z etatu puścił się na podróże, z których powstały wydane przez niego o dworach niemieckich Listy i Pamiętniki, a naostatek najszynniejsze z dzieł jego, bezimienne: *La Saxe galante*. Za Fryderyka II-go dostał Pöllnitz szambelaństwo, ale ten obchodził się z nim jak z błaznem.

Zdaniem Fryderyka, był to infamis, któremu wierzyć się nie godziło, zabawny przy obiedzie, ale potem chyba za drzwi. Tysiące anegdot chodziło o nim.

Raz Fryderyk polecił mu sprowadzić jakieś kury indyjskie, Pöllnitz pospieszył ze spełnieniem rozkazu, i przesyłając je, a chcąc ruszyć dowcipem, bo chorował na dowcip, napisał do króla cztery wyrazy:

— „Oto kury N. Panie!”

Król kazał nazajutrz kupić jak najchudsze go wołu, pozłocić mu rogi, zaprowadzić przed dom Pöllnitza, gdzie go do płotu uwiązano. Bilet przytém zawierał tylko: „Oto wół Pöllnitz.”

Przed laty kilku, baron który wiecznie był w długach i wzdychał do łatwego z bogaceniam się, napatrzył jakąś wdowę katoliczkę w Norymberdze, z którą zapragnął się ożenić. Poszedł więc do króla prosząc go o odprawę i świadectwo. Fryderyk kazał mu usiąść i następujące słowa podyktował. Maluje ono doskonale króla i szambelana i godne jest pamięci:

„My Fryderyk i t. d. czynimy wiadomo wszystkim komu o tém wiedzieć należy, iż baron von Pöllnitz, rodem z Berlina i o ile my wiedzieć możemy, z uczciwych rodziców zrodzony, u nieboszczyka dziada naszego, świętej pamięci, kammerjunkier, u księżnej d'Orleans w tym samym charakterze, u króla hiszpańskiego jako pułkownik, u nie dawno zmarłego cesarza jako rotmistrz, u papieża jako szambelan, u księcia Brunświckiego jako szambelan, u księcia wejmarskiego jako chorąży, u spoczywającego w Bogu ojca naszego jako szambelan, a naostatku u nas jako mistrz ceremonii służący; gdy potokiem tych honorów wojskowych i wysokich dostojenstw dworskich, z kolei na osobę jego spływających, czuł się zupełnie zalany, a w ostatku znużonym światem i złym przykładem szambelana Montaulieu uwiedziony, który na mało przed nim ze dworu zemknął, u nas wymieniony baron Pöllnitz, prosił i najuniżniej suplikował, abyśmy mu dla utrzymania jego dobrej sławy i mienia uczciwą i łaskawą dali odprawę.

„My więc, uwzględniając prośbę jego, gdyśmy za dobre uznali świadectwa mu tego nie odmówić, o które nas upraszał, zważywszy bardzo ważne usługi, jakie na dworze naszym spełniał przez swe błazeństwa i rozrywkę, jaką nieboszczykowi ojcu naszemu na Nowy Rok przynosił; nie wahamy się oświadczyć: że w ciągu całego tego czasu, gdy baron sławnie usługi przy nas pełnił, nie zdarzyło się ani razu aby po gościńcach rozbił, mieszki obrzynał, albo truciznę przyprawiał; nie porwał żadnej panny, ani żadnej gwałtu nie zadał; niczyjego honoru na dworze naszym nie naruszył grubijańsko, ale się sprawiał za-

wsze jak na szlacheca przystało i na urodzenie jego, a dary jakimi wielu się podobało go wyposażyc na uczciwy obracał pożytek, to jest do jednego zawsze zmierzając celu, który za zasadę mają komedyanci, który zależy na tém że aby śmieszności ludzkie w sposób wesoły i przyjemny wystawiać i tym sposobem je poprawiać.

„Również za radą Bacchusową w punkcie umiarkowania i wstrzemięźliwości zawsze szedł wiernie, a miłość chrześcijańską posuwał tak daleko, iż chłopów nawet potrafił przekonać, o prawie ewangeliczném „że dawać błogosławionym jest lepszym niżeli brać.“ Oprócz tego umie on wszystkie anegdotki o naszych zamkach i ogrodach, a szczególnie w pamięci wierniej zachowuje caluteńki inwentarz, starych sprzętów; na ostattek umiał też swemi zasługami tym nawet stać się miłym i pożytecznym, którzy zarówno znali jego złą głowę i dobre serce.

„Dajemy też wymienionemu baronowi to świadectwo, że nas nigdy do gniewu nie pobudził, wyjąwszy ten raz gdy podłżem swoim natrećtwem (lache inportuniti) przechodzącém wszelkie należnego uszanowania granice, w nikczemny i nieznośny sposób popioly naszych przodków zbeszcześcić chciał i skalać.

„Ale że w najpiękniejszych krajach trafiają się bezpłodne i puste okolice, gdy najpiękniejsze ciała mają swe ułomności, a malowidła największych mistrzów wady; dlatego wymienionemu baronowi jego błędy i ułomności chcemy przebaczyć i udzielamy mu niniejszą chociaż nie chętnie, pożądaną przezeń dymissyą i powierzoną mu zaś godność chcemy całkowicie znieść i skasować, ażeby przez to pamięć jój u ludzi na wieki zniszczyć i pewni będąc, iż po wymienionym baronie, nikt jój już godnie sprawować nie może...”

Potsdam, dnia 1 kwietnia 1744 roku.

Baron otrzymawszy takie zaszczytne świadectwo, pojechał do Norymbergi, przyjął wiarę katolicką, wdowa dała mu namyślniejszy się odprawę, stracił co miał i wrócił do Berlina, wpraszając się napowrót do króla i ofiarując protestantyzm przyjął znowu. Fryderyk kazał mu odpowiedzieć, że to go nie skłoni do przywrócenia mu dostojności dawniej, ale jeżeliby muzuk-



mańską wiarę przyjął i poddał się obrzędowi zwykłemu, naten-  
czas gotów go do służby przypuścić.”

Pomimo to jednak Pöllnitz do służby powrócił znowu, pod następującymi warunkami, które przyjął: Po ulicach Ber-  
lina miało być przy odgłosie trąby i bębna ogłoszonem, pod  
karą stu czerwonych złotych, ażeby nikt się nieważył mu nic  
kredytować, ani pieniędzy, ani towarów. Zabroniono mu było  
nogą próg przestąpić obcego poselstwa, lub z posłami cudzo-  
ziemskimi w innych domach się widywać i o rozmowach z kró-  
lem cokolwiekbądź im udzielać. Naostatek zaproszony do sto-  
łu, miał się starać być wesół i nie wyglądać jak ...rogacz.

Król wiedział że się Pöllnitz gdzieś dobitnie wyraził, iż  
korzystniej było świniom służyć niż... radził mu więc udać się  
szukać służby do Westfalii; ostatecznie jednak długi zań płacił,  
trzymał go i bawił się nim. Raz proszącemu o zasiłek ka-  
zał korzec owsa zanieść i wysypać w pokoju....

Pöllnitz był swego czasu sławną figurą na dworze, a że  
z siebie dawał sztych, wygodną. Nie był to człowiek bez zdol-  
ności, ale niestety, bez charakteru. Pomiatano nim jak ściérką.

Przymrużonemi oczkami wpatrzywszy się w Simonisa, któ-  
ry go znał z reputacyi, szambelan wywiódł go na taras przed  
pałac. Tu w tój chwili nie było nikogo.

— Król mi kazał waćpanu, panie kawalerze de Simonis?  
wszak tak?—począł żywo Pöllnitz — król mi kazał dać infor-  
macyą względem dworu saskiego. N. Pan to wie że tajemnic  
tego dworu, i innych, mogę powiedzieć; wszystkich w Europie,  
nikt tak nie zna jak ja. Ale powiedz mi waćpan co masz robić  
na tym dworze?

Simonis łatwo zmiarkował iż całej prawdy wyjawiać nie  
był powinien, zwłaszcza że Pöllnitz miał język tak długi a usta  
tak szerokie, że nic w nich utrzymać nie mógł.

— To się łatwo domyślcć, panie szambelanie, spojrzaw-  
szy na mnie. Szukam szczęścia: chcę służby!

Pöllnitz od stóp do głów go zmierzył oczyma.

— Rozumiem! chłopiec jesteś ładny, szykowny i młody!  
Hm! za Augusta II mógłbyś być może tam zrobić karyerę.  
Dziś chybabyś Brühlowej wpadł w oko; ale to Minotaur rodza-

ju żeńskiego—dodał żywo—pożera żywcem kto jój w paszczę wpadnie....

Simonis się uśmiechnął...

— Królowa—mówił dalej baron—brzydka jak grzech śmiertelny, pobożna jak kropidło od święconej wody...

Kobiety tam teraz nie rządzą, tylko stary Guarini i Brühl... a prawdę rzekłszy, Brühl jest kurfirstem saskim, królem polskim i w. x. litewskim i t. d. i t. d... Brühl panuje. Miałżebyś waćpan ochotę o opróżnioną posadę jednego z sekretarzy Brühla konkurować? Właśnie jeden podobno, był piętnowany pod pręgierzem i poszedł ułaskawiony na całe życie do Koenigsteinu... Wiesz waćpan za co!

Pochylił mu się do ucha...

— Wszyscy sekretarze ministra, są też zarazem faworytami pani hrabinéj... Ten chybił jój, bo się zakochał w garde-robianie, słusznie więc postawiono go pod pręgierzem...

Simonis zbladł trochę, ale starał się uśmiechnąć.

— Panie baronie—rzekł—ja tak wysokich i trudnych obowiązków ani się spodziewam, ani życzę dostąpić, skromniejszem się czémś zadowolnię.

— Uczynisz waćpan kawalerze de Simonis, jak uznasz właściwém—rzekł Pöllnitz—ale ja ci daję klucz do wszystkiego: staraj się Brühla pozyskać. Są na to różne sposoby...—Tu odchrząknął znacząco.

I on młodych ludzi lubi... bardzo lubi, jak powiadają. Jeżeli wyprobuje waszój wierności, może przy królu umieścić. Król od czasu, jak go najukochańsza córka opuściła, wyszedłszy za bawarskiego, nie ma z kim poobiednich godzin przepędzać... Któż wie, może mieć kaprys dla waćpana.

To mówiąc szambelan ręce założył pod poły fraka i przeszedł się razy parę po terasie; potem znowu stanął naprzeciw Simonisa.

— O ile mogłem zauważać—rzekł zniżając głos Pöllnitz, obejrawszy się dokoła—miałeś waćpan szczęście dosyć się królowi podobać, bo słyszę Almena wydała ci świadectwo dobre, wlaższy na kolana; dłączgóż cię tu gdzie nie umieszczą przy dworze?? he? to rzecz dziwna i J. Kr. Moś sam waćpana pędzi ztąd do tój Saksonii? Hm? to coś niezrozumiałego...

Simonis się uląkł tego domysłu i przerwał żywo.

— Bardzo przepraszam pana barona! Moje postanowienie jechania do Saxonii oddawna było powziętém... mam tam blizkiego krewnego... Radzcę Ammona. Nikt mnie tam nie wyprawia... ja sam jadę.

Pöllnitz spojrział nań i uśmiechnął się, skinął i sprowadził zwolna w dół terassy, gdzie mniej było niebezpieczeństwa być podsłuchanym. Pochylił mu się do ucha:

— Waćpana szczęście samo w ręce się ciśnie—rzekł.. Król narzeka, że ani Beguilia, ani Ammon dokładnych mu wiadomości nie dają ztamtąd... a nad Saksonią nadzór mieć trzeba, bo Brühl jest człowiek przewrotny. Zgrabne stylizując liściki, mozesz młodzieńcze zrobić karierę...

Spojrzął mu w oczy. Simonis pomiarkował, iż się powinien był oburzyć, aby nie wydać z sekretu.

— Przepraszam pana barona—odparł z dobrze odegraną zgrozą—obowiązków szpiega podjąć się, anibym je spełniać umiał.

Pöllnitz śmiechem wybuchnął...

W téj chwili hałas w przedpokoju oznajmił coś niezwyčajnego, a że baron Pöllnitz był niezmiernie ciekawy, pospieszył z Simonisem wraz do pałacu.

W alei wiodącej do niego widać było poszóstny powóz dworski, z wielką liberyą, najparadniejszemi końmi, w uprzęży błyszczącej od złoceni, wiozący gości jakichś do króla...

— Król znać był to już zobaczył i słychać było w audyencyonalnej sali, której drzwi stały otworem, gniewny głos jego.

— Kto posłał poszóstny ekwipaż po tych dwóch rzymskich prałatów?

Wszyscy milczeli, aż stary generał Lentulus, na boku stojący, odezwał się:

— To ja, N. Panie!

Widać było, jak Fryderyk z kijem podniesionym, pobiegł na Lentulusa, który stał wyprostowany.

— On osioł! osioł!—zawołał—rozumié mnie: stary osioł! Ale kijem uderzył król tylko w posadzkę i w téj chwili wszystkie psy szczebrać poczęły.

— Gdy prałaci przyjadą—dodał Fryderyk—niech on idzie sam do stajni konie wyprządź, karetę wciągnąć, dwa kulawe

chabety najgorsze i odartą im dać dorożkę... I tego dla nich dosyć.

Rozumié mnie on!

Lentulus się skłonił. W téjże chwili, dwaj rzymscy prałaci w fioletach, z krzyżami na piersiach, płaszczykami na ręku wchodzili na pokoje i drzwi się za nimi zamknęły.

Jakie tam było posłuchanie, nikt nie wiedział, ale w godzinę potém, gdy z audyencyi wyszli, stanęli zdumieni nędznym powozikiem, jaki na nich czekał. Lentulus odprowadzał ich do ganku... Monsignor zapytał go nieśmiało o przyczynę zmiany.

Generał przybrał minę bardzo poważną.

— Jest to etykieta tradycyjna dworu naszego—rzekł— jak najparadniej przywozimy, a fiakrem odprawiamy nazad. Etykiety zmienić niepodobna.

W czasie, gdy się to działo, baron Pöllnitz znikł był, a Simonis zajął swe miejsce przy Malszyckim w kącie przedpokoju... Sam nie był pewien, czy dłużej ma czekać, czy przez Pöllnitza był już odprawionym; wołał jednak omylić się bodaj, a pozostać dłużej i skorzystać z jedynéj zrzeczności przypatrywania się temu dworowi.

Przecucie było dobre, gdyż w pół godziny później zjawił się podskarbi Fredersdorf, szukając go oczyma; skłonił mu się zdala i dał znak, aby szedł za nim...

W milczeniu po wschodach weszli do skromnego pokoju, który był nie mieszkaniem, ale kancelaryą podskarbiego. Z téj on przeprowadził go do małego gabinetu, jeszcze prościej urządzonego.

— N. Pan—rzekł zamknąwszy drzwi za sobą—mówił mi o spotkaniu w ogrodzie. Miałeś pan prawdziwe szczęście i mogę mu powiedzieć, żeś się królowi podobał... Psy tam podobno popsuky waćpana kapelus. Król chce mu wynagrodzić tę szkodę, a razem dopomódz do dalszój karyery i kazał mi wręczyć ten zasiłek na drogę...

To mówiąc z biurka dobył Fredersdorf rulon w papier zawinięty i wsunął go w rękę Simonisowi.

— N. Pan życzy sobie jednak—dodał—abyś waćpan o tém nikomu nie wspominał. Jesteśmy bardzo oszczędni,

a toby mogło naprowadzić innych na myśl podrzucania Alcmenie starych kapeluszy.

Rozśmiał się podskarbi.

— A teraz — rzekł — znijsć możesz na dół, szanowny kawalerze, zjeść obiad z paziemi i powracać do Berlina, gdzie bardzo proszę, kłaniać się odemnie hrabinie, bo spodziewam się, że waćpan nie wyruszysz w tę drogę, nie widząc jej i nie korzystając ze światłych uwag, jakich ona panu może udzielić.

Skłonił się Simonis bardzo nisko i wypuszczony zszedł znowu do Malszyckiego: w istocie godzina królewskiego obiadu się zbliżała.

Nakryto później dla paziów stół w bocznym pokoju i tam skromnie się posiliwszy, bo oszczędność na dworze była we wszystkiem wielką, Max, w chwili gdy król do czytania poobiedniego zasiadał, wysunął się z pałacu, szukając sobie sposobu dostania się do Berlina.

(Dalszy ciąg nastąpi).

# Z N A C Z E N I E

## SYLOGISTYKI.

(Ustęp z dzieła w rękopiśmie: „System logiki“).

PRZEZ

*Józefa Kremera.*

Często w życiu potoczném, ze strony osób mniej świadomych rzeczy, podnoszą się głosy, lekko sobie wążące teorię wniosków, z powodu, jakoby sylogistyka w niczém się nie przyczyniała do poznania prawdy, a zatem jakoby ta nauka nie miała głębszego znaczenia w dziedzinie umiejętności poważnej.

Zwykle wielu słysząc o tych trybach, nazwanych barbarzyńskimi wyrazami: *Barbara, Celarent*, lub *Baroco, Bocardo*; patrząc na te rysunki, mające unaocznić pochod rozumowania i czytając owe zasady sylogistyczne, wypowiedziane średniowieczną łaciną, są zdania, że te wszystkie przybory są pozostałościami po smutnej pamięci filozofii scholastycznej, nad którą średnie wieki trawiły długie mozolne lata i marniły bystrość rozumu na owych subtelnostkach, nie przynoszących żadnej korzyści.

Wobec tych zarzutów należy nam wykazać, że sylogistyka może być dwojakiego znaczenia, to jest, dwojakięj wartości wedle dwojakiego sposobu zastosowania jęj. Jakoż teoria wniosków może się stać nauką wielkięj wagi, bo niezbędnym środkiem do odkrycia prawdy; albo téż z drugięj strony może zejść na naukę pod tym względem zupełnie bezowocną, którejby należało może przypisać jedynie te korzyści, iż będąc formalizmem misternym, staje się gimnastyką, wyćwiką bystrości umysłu, ale nie przyczyniającą się wcale do zrozumienia przedmiotów rzeczywistego świata.

Aby uzasadnić to powyższe nasze orzeczenie, zwracamy uwagę na różnicę, o jakiej zwykle mówią w logikach, to jest, o różnicy zachodzącej między *prawdą materyjalną*, a *prawdą formalną*.

*Prawdą materyalną* nazywają zwykle logicy zgodę myślenia z istnieniem, to jest, zgodę naszego pojęcia rzeczy ze rzeczą samą.

Myślenie przeto zajmujące się tą prawdą materyalną, zowią *myśleniem materyalnym*.

*Prawdą formalną* zowią zaś zgodę myślenia ze sobą samym, która przeto wtedy ma miejsce, gdy rozumowanie nasze nie sprzeciwia się sobie samemu, to jest, gdy dopełnia form czyli prawideł logicznych. Myślenie zwrócone do téj prawdy formalnej, zowią *myśleniem formalnym*.

Należy nam wypowiedzieć, że ani myślenie materyalne bez formalnego, ani na odwrót myślenie formalne bez materyalnego, nie może być rękojmią wystarczającą, iż rozumowanie nasze doprowadziło do wypadków nie mylnych.

Jakoż np. *premisy*, to jest, sądy zasadnicze wniosku, mogą być prawdziwe, zgodne z prawdą materyalną, a jednak jasną jest rzeczą, iż z tych premis możemy wyprowadzić konkluzyą mylną, jeżeli nie zachowamy prawideł formalnych, które podaje nam sylogistyka.

Na odwrót jedna z dwóch premis (albo *maior*, albo *minor*) może być mylną, a zatem nie być prawdą materyalną, a jednak z takich premis możemy przy zachowaniu prawideł sylogistyki wyprowadzić konkluzyę prawdziwą, materyalnie więc zgodną ze rzeczywistością, ale to się stać może jedynie przypadkowo, z przypadkowego stosunku premisy jednéj do drugieję.

Lecz taka przypadkowa, choć trafna konkluzya właśnie nas przekonywa, że samo zachowanie formy sylogistycznej nie podaje nam jeszcze żadnej pewności, że takie premisy są prawdziwe.

Z tego wszystkiego, co się tu rzekło, wypływa, że dopiéro myślenie materyalne złączone z formalnym, rodzi rozumowanie pewne, prowadzące do prawdy koniecznej, apodyktycznej, ściśle zgodnej z rzeczywistością.

Rozpatrzmy się jeszcze z osobna bliżej nad każdym z tych dwóch rodzajów prawdy.

*Prawda materyalna*. Pięwszym jęj warunkiem jest, aby pojęcia były prawdziwe i zgadzały się z rzeczywistością. Zatem najważniejszą i pierwotną sprawą myślenia zwróconego do prawdy materyalnej jest zdobyć sobie pojęć prawdziwych.

Albowiem celem myślenia, jest właśnie przeistoczenie obrazów i wyobrażeń na pojęcia. Jakoż obrazy i wyobrażenia są, jak się rzekło, jeszcze niedojrzałymi; bo mimowolnymi, psychicznymi utworami naszej duszy, bo zrodzonymi bez przyłożenia się świadomej siebie myśli. Dopiero *pojęcie* rzeczy jest prawdą rzeczy samęj.

Zatem ogólnie się wyrażając, pojęcie jest jednością, myśli a istnienia. Ta jedność atoli nie znaczy: jakoby myśl a istnienie było jedno i to samo, bo co innego jest myśl nasza, a co innego istnienie: bo gdybyśmy twierdzili jakoby *myśl* nasza była to jedno i to samo co *istnienie*, takowe twierdzenie byłoby błędnem twierdzeniem panteizmu.

Przeto, gdy mówimy, że pojęcie jest w jedności z istnieniem, toć chcemy wyrazić, iż pojęcie jest jednością różnicy a różnicą w jedności, t. j., twierdzimy, iż istnienie a myślenie, czyli rzeczywistość bytność, przedmiot rzeczywisty a pojęcie jego, są czémś różnym, ale łączą się ze sobą, są odpowiednio jedno drugiemu, bo są ze sobą zgodne.

Takie pojęcie stanowi prawdę materyalną przedmiotu. Na takich to pojęciach przeto, jako na węglach a podwalinach swoich wznosi się cała budowa naszej wiedzy. Jakoż pojęcia prawdziwe są warunkiem głównym sądów prawdziwych, a z kolei sądy prawdziwe, jako premisy, są podstawą wniosków, to jest konkluzyj prawdziwych, bo zgodnych z rzeczywistością.

Rzekliśmy jeszcze, iż może być jedna z obu premis mylną, a z nich może wynikać przypadkowo konkluzja zgodna z prawdą materyalną, jak to nie trudno okazać na przykładach <sup>1)</sup>.

Ta pewność, iż mimo premisy błędnej konkluzja może być prawdziwą, zniewoliła niektórych autorów logiki do orzeczenia zasad następujących:

1) Z prawdy materyalnej sądów zasadniczych, czyli premis wynika we wniosku prawda materyalna konkluzji. To jest, z prawdy rodzi się prawda.

2) Z fałszu konkluzji, wnosimy o fałszu premis.

3) Z prawdy konkluzji nie możemy wnosić o prawdziwości premis.

4) Z fałszu premis nie możemy wnosić o fałszu konkluzji.

Wszystkie te zasady wtedy mają ważność, gdy sposób wypowiedzenia konkluzji był zgodny z prawidłami sylogistyki.

Nauka wyłożona powyżej w krótkości i w ogóle, jest tak ważną, iż zasługuje, byśmy ją jeszcze dokładniej rozebrali w szczegółach, zwłaszcza jeszcze ze względu na sądy i na wnioski. Dodamy więc tylko kilka słów do rzeczy o pojęciach.

1) Rzekliśmy dopiero, że pojęcia materyalnie prawdziwe są węglami, na których się wznosi cała budowa naszej wiedzy. Aby zaś zdobyć sobie takie pojęcia, należy baczyć na metodę, którą do tych pojęć dochodzić mamy. Do utworzenia przeto *pojęć prawdziwych* trzeba nam także myślenia formalnego, a zatem także logiki w tém znaczeniu formalném.

---

<sup>1)</sup> Rzeczywiście autor nasz przytacza w tém miejscu dwa przykłady dla wyjaśnienia i udowodnienia wyrzeczonej powyżej prawdy. W pierwszym przykładzie premisa większa jest błędna, a mimo to wynik, czyli konkluzja jest materyalnie prawdziwą; w drugim przykładzie, premisa jest błędna, a przecież konkluzja jest prawdziwą. Te dwa przykłady bez wątpienia będą jasne i przekonujące dla czytelników całego dzieła Kremera, lecz mogą być mniej zrozumiałe dla czytelników wielu naszego pisma, mniej oswojonych z formami i organizmem sylogistyki, z tego powodu cały ten ustęp opuszczamy.



2) Z tego następnie wynika, że i utworzenie *sądów prawdziwych*, bo zgodnych z rzeczywistością, równie polega na myśleniu materialnym i formalnym.

Jakoż, gdy do sądu wchodzi dwa główne pojęcia (podmiot i orzeczenie), więc pierwszym warunkiem jest prawda materialna obu tych pojęć, a to w sposób właśnie co powyżej wspomniany; następnie, gdy sąd wypowiada stosunek tych obu pojęć, zatem przy wypowiedzeniu tego stosunku mamy się opierać na *prawie myślenia powodu* (principium rationis).

Ten zaś powód wypłyne nam właśnie ze zbadania treści, to jest materialnej prawdy obu tych pojęć. A tak się stanie, że wypowiedziany w sądzie stosunek podmiotu a orzeczenia, jako dwóch bytności, będzie zgodny ze stosunkiem wzajemnym tych dwóch bytności w rzeczywistym świecie.

3) Tym sposobem otrzymamy i pod względem materialnym i formalnym sądy prawdziwe, których możemy już z całą pewnością użyć za podstawę czyli za premisy wniosków. Jakoż, gdy w sylogizmie dwa sądy materialnie prawdziwe wskazują stosunek prawdziwy dwóch danych pojęć do trzeciego pośredniczącego pojęcia (do *m*), już tém samém poznajemy stosunek wzajemny tych dwóch danych pojęć, a ten stosunek wyraża właśnie konkluzja sylogizmu.

Ta konkluzja zaś musi być koniecznie prawdziwą, gdy pojęcia wchodzące do obu premis są prawdziwe; gdy prawdziwy jest ich stosunek wzajemny, wypowiedziany w premisach i gdy nakoniec sposób wyprowadzenia konkluzji z tych premis jest zgodny z prawidłami sylogistyki; wtedy, ale jedynie wtedy, mamy rękojmią, że konkluzja jest prawdą konieczną, apodyktyczną. Wszak cała nasza niniejsza logika jest dowodem, jak wysoko cenimy sobie prawidła logiki formalnej.

Takie postępowanie, powyżej wyłożone w utworzeniu pojęć, sądów i wniosków zrodzi w nas głębokie a silne przekonanie, że wynik (konkluzja) naszego rozumowania, jest prawdziwy, zgodny z rzeczywistością. A zachowanie prawideł sylogistyki podaje nam pewność, żeśmy się w paśmie naszego rozumowania nie pomylili a tém samém, że zdołamy przekonać o trafności wyprowadzonych wyników (konkluzji) i drugie osoby.

Z tego cośmy powyżej powiedzieli, widać że myślenie materialne i formalne nawzajem się mają przenikać, że obu tych rodzajów myślenia nie możemy rozdzielić, bo tak jedno, jak i drugie jest czynnością jedną i tej samej duszy, jednego i tego samego rozumu.

Jest atoli rzeczą wysokiego znaczenia, abyśmy w tém miejscu przypomnieli, że myślenie jest środkiem do poznania prawdy przedmiotów, że gdy myślenie jest środkiem do poznania prawdy, zatem nie jest jeszcze samém takim poznaniem a tém samém pewną wiedzą. Z tego wypływa, iż gdy żądamy pojęć materialnie prawdziwych, to jest zgodnych z rzeczywistością i gdy odwołujemy się do prawideł logicznych, które zachować należy, aby dojść do takich pojęć, toć z tego

nie wpływa, abyśmy w każdym razie byli w stanie zachować te prawidła, które nam logika podaje.

Jakoż często, a niestety bardzo często, zdarza się zwłaszcza w naukach empirycznych, mianowicie w dziedzinie nauk przyrodniczych, że nam braknie wiadomości potrzebnych, by dojść do takich pojęć, apodyktycznie pewnych, by w nas zrodziły owo kryterium przekonania wewnętrznego, w którym rozum nasz jest pewnym siebie; bo odkrycie prawdy materialnej pojęć zależy od stanu umiejętności, do której te pojęcia należą. Lecz zdobycie takich pojęć niechaj będzie ideałem, zadaniem ostatecznym każdego umiejętnego badania.

Powiedzieliśmy że myślenie materialne i formalne razem użyte, prowadzi do poznania prawdy niewątpliwiej, do zgody myślenia z rzeczywistym przedmiotem, słowem do wiedzy prawdziwej. Lecz niebrak sceptyków, którzy wątpią o możliwości rozumu ludzkiego dojścia do prawdy niewątpliwiej, koniecznej. Ci przeto pytają, zkąd nam pewność, że myślenie zdobyło nam tę prawdę apodyktyczną, czyli wiedzę rzetelną? Aby na ten zarzut odpowiedzieć, przypominamy tutaj, iż myślenie jest dążnością, popędem rozumu naszego do poznawania przedmiotu, a zarazem środkiem do tego celu. Otóż ta dążność, ten popęd myślenia póty trwa, póty działa w rozumie naszym, dopóki on nie jest zaspokojony, zadowolniony.

Gdy to zaspokojenie, zadowolenienie rozumu nastąpi, wtedy rodzi się przekonanie głębokie rozumu naszego, że myślenie nasze osiągnęło prawdy i wiedzy koniecznej, apodyktycznej przedmiotu. Takie przekonanie dopiero daje nam pewność, że w obec tej prawdy, tej prawdy apodyktycznej, żadne zdanie będące z nią w sprzeczności (in contradictione) jest niepodobne, jest to stan ducha, w którym nie czujemy żadnej obawy, aby mógł powstać sąd przeciwny tej wiedzy naszej. Jest to stan w którym wiemy, że wiemy z pewnością, w którym rozum sam sobie świadectwo daje, w którym rozum sam odwołuje się do siebie samego, bo wtedy ten rozum nasz ludzki ma tę wiedzę i to poczucie, że spłynął z rozumem tkwiącym w przedmiocie poznanym; że złączył się z wiekiustym rozumem przytomnym we wszém świecie.

To przekonanie wiedzy o sobie jest przeto kryterium, znamię, oznaką, a ponieważ odnosi się do wnętrza naszego, jest *kryterium podmiotowem*.

Przeciw temu kryterium podmiotowemu podnoszą się głosy sceptyczne twierdząc, że również mogą być przekonania błędne, przesadne i t. d. Lecz uważmy, że przekonania błędne, choćby chciano uporczywie przy nich obstawać, mogą być obalone przez przekonanie o prawdzie, coby nie mogło mieć miejsca, gdyby w przekonaniu błędnym tkwiła moc równa tej, którą stanowi przekonanie o prawdzie. Z tej przyczyny kto ma przekonanie błędne, nie ma tej pewności, że i drugih nióm przejąć zdoła; jego przekonanie jest tylko wierzeniem. Rzeczywiście wszyscy od lat chłopięcych wiemy jaka jest siła i potęga tego przekonania, żeśmy doszli do wiedzy prawdziwej, żeśmy osiągli

prawdy, np. gdy uczeń trafnie rozwiąże zadanie arytmetyczne, jest tak pewnym siebie, iż ani przypuszcza aby to zadanie mogło być inaczej rozwiązane i jest przekonany, iż wszelki inny wypadek jest niepodobny. Takie głębokie przekonanie rozumowe różni się wielce od owego które wypływa z pomyłki, choćbyśmy się jęj bez wiedzy dopuścili. Kryterium podmiotowe prawdy, o którym tu mówimy, nie jest jakimś znakiem zewnętrznym, bo w takim razie znów to kryterium zewnętrzne wymagałoby jako dowodu, drugiego kryterium zewnętrznego, a to drugie trzeciego i tak dalej; to kryterium nasze nie wymaga zewnętrznego dowodu, nie potrzebuje go, jest wewnętrzném, tkwi w samym rozumie naszym; tu rozum odwołuje się do siebie samego, sama prawda o sobie świadectwo daje, bo *verum est index sui atque falsi*. Jakoż rozum nasz ludzki odkrywszy tę prawdę, ma to przekonanie i tę pewność, że tak powiem w sumieniu swoim, że odkrył prawdę w przedmiocie, że odkrył rozum przebywający w przedmiocie, że się sam w nim odnalazł.

Ktoby nie uznawał tego kryterium, pewności wiedzy naszój, ten nie uznawałby umiejętności prawdziwój. W obec tego sceptycyzmu nie istniałaby żadna prawda, ale wszystko byłoby mniemaniem, niepewnym zdaniem, mogącym być w każdym człowieku innym a innym.

W obec tego podmiotowego kryterium prawdy ma miejsce drugie kryterium *przedmiotowe*, a które na tém zależy, że o prawdzie przez nas odkrytej i innych przekonać zdołamy a zatém że ona nie jest naszym osobistém zdaniem, ale że tkwi w przedmiocie samym.

Mówiliśmy o sceptykach, którzy twierdzą, że rozum ludzki nie może dojść do wiedzy prawdziwój. Chciejmy tutaj bliżej nieco rozebrać ten sceptycyzm. Opiera się on zwykle na tém zdaniu, iż z jednej strony myślenie nasze poznające, to jest nasz rozum ludzki, przebywający—jak to mówią—w naszej głowie, a z drugiej strony przedmioty rzeczywiście istniejące, są przecież dwoma światami, które uznać należy za zupełnie różne, różnorodne, rozdzielone od siebie jakby przepaścią, nie mające nic ze sobą wspólnego, że zatém jest rzeczą niepodobną, aby nasze myślenie mogło sobą przeniknąć przedmioty zewnątrz nas istniejące, a będące czémś zupełnie obcém względem nas.

Uważamy, iż jednak myślenie nasze a ten świat przedmiotowy nie są bynajmniej tak i różne od siebie i tak sobie obce a różnorodne, jak twierdzi sceptycyzm. Bo przecież my sami, nasze myślenie także istnieje, więc również do wszech-istnienia należy; nasze myślenie jest także w tém istnieniu bytnością wśród innych bytności, więc prawdy i prawa, przebywające we wszechistnieniu, również przebywają i w myśleniu naszym, a zatém że z jednej strony rozum nasz, a z drugiej strony ów rozum wiekuisty, który włada światem zewnętrznym, nie są wcale różnorodne, że tak w świecie względem nas zewnętrznym, jak i w nas samych świeci jedna i ta sama mądrość boża, a zatém, że rozum władający światem a rozum żyjący w naszym duchu, choć nie są jednym i tym samym rozumem, są jednak ze sobą w jedności, są spół-

rodne, pochodzą z jednego i tego samego wiekuistego źródłu. Tak nam się tutaj powtarza prawda, wyrzeczona wyżej, że gdy dążność, nam wrodzona do poznania przedmiotów, zwodzić nas nie może, a zatem gdy rzeczywiście zadaniem myślenia jest poznanie przedmiotów, przeto wnosić z konieczności należy, że z jednej strony myślenie nasze mające poznać przedmioty, a z drugiej strony przedmioty świata mające być poznane, nawzajem dla siebie są przygotowane, nawzajem zastosowane do siebie, a tak wnosić nam koniecznie należy o Stworzycielu spólnym, jednym i tym samym, z którego wszechmocnej dłoni zrodził się i duch nasz myślący, poznający i wszechświat mający być przez nas poznany. Jest to wywód o istnieniu Boga, wypływający z samej logiki a zatem słusznie zwany dowodem logicznym.

Obaczmy jeszcze że twierdzenie sceptyków, jakbyśmy do żadnej pewnej wiedzy mocą samego myślącego rozumu dojść nie mogli, jest samo w sprzeczności ze sobą. Jakoż gdyby to twierdzenie sceptyków było prawdą, to jest, gdyby ono było pewną wiedzą, już tém samym to samo ich twierdzenie nie mogłoby być prawdą; bo jeżeli rozum niczdolen dojść do pewnej, niewątpliwiej wiedzy, więc téż tenże sam sąd ich (że nie możemy dojść do pewnej wiedzy) również nie jest niewątpliwą wiedzą.

Uważmy następnie że gdy sceptycyzm przeczy, jakobyśmy nie mogli osiągnąć prawdy, to jest pewnej, niewątpliwiej wiedzy, tém samym musi zaprzeczać jakobyśmy mogli wiedzieć o pewnym kryterium (o oznace, znamieniu) prawdy, a tém mniej sceptycy takiego kryterium przypuścić nie mogą, bo to kryterium jest także pewną wiedzą, bo wiedzą o pewności wiedzy naszej.

W życiu zwyczajnym sceptycy występują najczęściej z podobnemi argumentami właśnie w téj dziedzinie wiedzy, która jest najważniejszą dla człowieka, która jest rozstrzygającą dla spokoju ducha naszego, bo stanowiącą o nieskończonym znaczeniu człowieka, jest to dziedzina prawd należących do metafizycznego rozumowania o odnoszących się do dwóch prawd fundamentalnych pod tym względem, bo do istnienia Boga i nieskończonego trwania ducha człowieka po śmierci. Często nawet sceptycyzm co do tych dwóch prawd przemawia przez usta ludzi zacnych, którzy twierdzą (jak to nierzadko, zwłaszcza w naszej literaturze bywa), że całe biblioteki napisano, mając ze samego rozumu wyprowadzić pewność tych dwóch prawd, ale że te wszystkie wysilenia są daremne, są niewystarczające, niedostateczne, bo pod tym względem jedynie sama wiara może być ratunkiem dla człowieka i ukojeniem jego pragnień palących.

Przyznajemy całém przekonaniem rozumowóm, że pewność płynąca z wiary, nierównie głębiej i cieplej przenika człowieka, niż dowody i wywody, wyprowadzone ze samego zgoła rozumu. Bo wiara, bo religia jest naszą sprawą osobistą, jest rzeczą naszego serca i uczucia, jest treścią najświętszą, naszej jednostki osobistej, o tém przekonaywa nas życie codzienne. Gdy uderzy na nas gromem nieszczęście, gdy

ogłuchnie dusza rozpaczą, gdy się do dna zburzą głębiny piersi naszych, gdy nas bezradność ogarnie, a strachy zmrożą; wtedy jedna sama wiara nas pociesza i utula boleści i znowu wskrzesza zaufanie, bo nas wznosi do ogniska wiekuistego mądrości, która jest Bogiem. Przeciwnie w tych katuszach i palących mękach bez granic, wszelkie rozumowania, wszelkie wywody i dowody filozoficzne są dla nas zachłodne, nie utulają naszych boleści, ani pocieszą, ani dodadzą nam ufności w siebie. Co więcej uczucia religijne, uczucia nam towarzyszące, są dla nas pokrzepiającą pomocą i dodają rześkiej siły do znoszenia tego krzyża twardych powinności naszych po przez żywot ziemski.

Cośmy tu rzekli, to są fakta niewątpliwe, stwierdzone codziennym doświadczeniem; ale z tych faktów wcale nie wypływa, byśmy sobie lekceważyli zdobycze naszego rozumu. Owszem powiedzmy, że jak w każdym człowieku tkwią dwa pierwiastki, mające prawa swoje, bo z jednej strony uczucie i serce, a z drugiej rozum: oba te pierwiastki stanowią razem całkowitą istotę ducha naszego. Gdyby więc człowiek przechował w sobie tylko jeden z tych pierwiastków, a lekceważył drugi, byłby tylko połowicznym człowiekiem. Z tego też znać, że w obec każdego z tych pierwiastków, mamy odpowiednie mu zaspokojenie: dla pierwszego pierwiastka wiara religijna, dla drugiego filozofia.

Wiara i filozofia nawzajem się w człowieku uzupełniają. Wiara działa na rozum, aby człowiek nie ochłół w zimnym rozumowaniu, a rozum działa na uczucia, aby nie przepadły w przesądach i zabobonach.

Po tym wyznaniu naszego przekonania, nawróćmy do przedmiotu naszego, bo do sceptyków. Rzekliśmy, iż sceptycy nie przypuszczają, jakoby rozum sam przez się mógł dojść do prawdy niewątpliwéj, czyli do wiedzy apodyktycznéj, a tym samym sceptycy nie wierzą w żadne kryterjum prawdy, to jest w oznakę pewną, że myśl nasza jest prawdziwa. Lecz i to twierdzenie sceptyków, jak obaczymy, jest ze sobą samym w sprzeczności.

Najprzód może być ten przypadek, iż sceptycy nie uznają prawdy, zasady, którą im przekładamy, ale nie przytaczają powodów, dla których jéj nie uznają i dlaczego prawdzie jéj przeczą, a tym sposobem pokazują, iż ich postępowanie jest bezrozumne, nieuzasadnione i próżnym uporem; wtedy też możemy ich twierdzenie obalić maksymą, *quod gratis asseritur, gratis negatur*.

Powtóre, może zachodzić ten przypadek, iż sceptyk powie, że zasada, którą mu jako prawdę podajemy, nie odpowiada pojęciu, które on ma o prawdzie, zatém, że powody, któremi uzasadniamy tę prawdę, nie są dla rozumu wystarczające. Widzimy więc, że sceptyk w tych naszych powodach i dowodach spostrzega niedostatki. Lecz z tego już widzimy najwyraźniej, że rozum sceptyka w tym sądzie swoim rozróżnia powody niedostatecznie uzasadniające prawdę o tych, które są dostateczne, a tym samym musi wyznać, że w jego rozumie, choć

bez jego wiedzy przebywa kryterium, czyli miara, probierz prawdy, któremu właśnie sceptyk przeczył.

Uważny następnie, iż, gdy sceptyk nie zgadza się na prawdę, którą mu podajemy, a nie zgadza się z przyczyny, jakoby jęj uzasadnienie było niedostateczne, tęp samęp wyznaje, żeby się rozum jego na tę prawdę naszą zgodził, gdyby to niedostateczne uzasadnienie jęj było usunięte, a zastąpione uzasadnieniem innęp, wystarczającęp dla rozumu. Lecz tym sposobem znowu sceptyk mimo wiedzy przyznaje, że mogą istnieć prawdy pewne, niewątpliwe, wypływające z rozumu, a zadowalniające wszystkie wymagania rozumu, a tak odkrywa się sprzeczność sceptycyzmu ze sobą samym. Jeżeli przeto sceptykom podamy dotychczasowej filozofii dowody i wywody prawd najwyższego znaczenia dla człowieka, jako o istnieniu Boga i nieśmiertelnęp trwaniu duszy ludzkiej, a gdy sceptycy orzekną, że te dowody są niedostateczne, wtedy mamy prawo żądać od nich, aby nam wytknęli w szczegółach w częp one są niedostateczne, byśmy je sprostować a uzupełnić mogli. Gdyby zaś sceptycy nie zdołali lub nie chcieli wskazać tych niedostatków, i gdyby tylko w ogóle orzekli, że te dowody, na które się dotychczasowa filozofia zdobyć mogła, jeszcze nie zadowalniają rozumu, bo nie są dostatecznie uzasadnione, wtedy z tego orzeczenia będziemy mogli z całą pewnością wnosić, że przecież w tym samym rozumie, jakby przecuciem, jakoby wróżbą przebywać musi ideał zupełnie zadowalniającego dowodu; że w tym rozumie tkwić musi możliwość dostatecznego uzasadnienia tych dowodów; ale że jeszcze rozum nie odkrył w samym sobie tych pożądanych, uzasadnionych dostatecznie dowodów; lecz że z pewnością z dalszym rozwojem i postępem filozofia, będąca wynikiem tego rozumu, zdoła te jęj obecne, a niedostateczne dowody uzupełnić, uzasadnić, a tak, że rozum zdoła dojść do wiedzy, która go samego zadowolni, to jest, iż zdoła osiągnąć prawdy, która jest potwierdzeniem owęj powyżęj przytoczonej zasady: *verum est index sui atque falsi*, w której rozum sam o sobie świadectwo daje.

Powyżęj wykazaliśmy niewątpliwe, jako myślenie materyalne i formalne są konieczne, by dojść do prawdy rzetelnęj, apodyktycznęj. Obaczymy teraz, że myślenie formalne, gdy będzie samo jedno używane bez względu na myślenie materyalne, jest niedostatecznęp, a co gorsza jest zwodnęp, mimo zewnętrznych oznak ścisłości i zachowania prawideł niby logicznych.

Jakoż gdy samo gołe myślenie formalne nie wchodzi w to, czyli premisy są prawdziwe i jedynie dba o to, aby z nich wedle prawideł ścisłych sylogistyki wyprowadzić konkluzę; zatem te premisy mogą być zupełnie niedorzeczne, fantastyczne, mogą być nadziane najjaskrawszęp dziwactwem, a zatem i konkluzya będzie również niedorzeczną, dziwaczną, szaloną, mimo zachowanych prawideł logiki formalnych.

Widzimy przeto, iż mechaniczne, bezmyślne przestrzeganie prawideł sylogistyki w tworzeniu wniosków, używanie owych dzikich

nazw, trybów; odwoływanie się do sentencji scholastycznych, kreślenie rysunków, słowem, te wszystkie przybory niby uczone, na nic się nie zdadzą do odkrycia prawdy, jeżeli w całej tej sprawie nie będzie nam przyswiecać przytomność rozumu, wglądająca w treść pojęć i sądów.

Owszem takie postępowanie mechaniczne tém będzie szkodliwsze, bo złudniejsze, gdy się przybierze w owe napuszyste przyrządy wrzekomiej, kłamliwej mądrości, jak o tém świadczą długie wieki filozofii scholastycznej, która wielką część swoich sił umysłowych łożyła na mozolne wysnuwanie subtelných form sylogistycznych.

Wyłożywszy nasze stanowisko co do prawdy materyalnej i formalnej, mianowicie okazawszy, jak wysoko cenimy sobie formy myślenia; obaczmy pod tym względem stanowisko niektórych znakomitych dzieł logicznych, zwłaszcza niemieckich.

1) Najprzód są logiki, które zupełnie znoszą logikę formalną, na czele tego staje Hegel (*Die Wissenschaft der Logik*, drugie zupełne wydanie pośmiertne w 3 tomach. Berlin r. 1833—1834). Logika Hegla jest spekulacyjną, jest metafizyką, bo wedle niej myśl a istnienie jest jedno i to samo, a zatem znika tutaj różnica między logiką formalną a materyalną. Logika jego rozwija jego *logos*, będące myślą, rozwijającą się w świecie rzeczywistym; jest to rozwój idei bezwzględnej, bezosobowej, więc idei wszechistnienia, niewiedzącej o sobie, niemającej świadomości siebie.

Logika ta stanowi pierwszą część systematu filozofii Hegla, drugą część stanowi filozofia natury, która okazuje, jako kategorie logiczne, objęte w części pierwszej znajdującą rzeczywistość swoje w naturze. Trzecia zaś część systematu obejmuje rzecz o duchu, w którym również, jak w naturze, urzeczywistniają się kategorie logiczne. (Czytelnik znajdzie bliższą charakterystykę stanowiska i metody Hegla w mojem piśmie p. t.: „Najcenniejsze, filozoficzne nauki o duszy przed sądem krytycznym obecnej nam filozofii,” umieszczonem w *Bibl.* Warsz. styczeń i luty 1867).

Autorowie logiki w duchu filozofii Hegla są: Werder, Erdmann, Rosenkranz, Kuno, Fischer.

Podobnie przykładem logiki spekulacyjnej może być moja logika, rozwinięta w pierwszym tomie dziełka p. t. „Wykład systematyczny filozofii, obejmujący wszystkie jej części w zarysie.” Kraków 1849, dwa tomy. Ta logika moja obejmuje w sobie część pod napisem I: Pojęcie podmiotowe (od str. 189 do str. 323), która zawiera treść, dziś zwykle mieszczącą się w logikach formalnych, ale ta treść wyłożona jest ze stanowiska spekulacyjnego.

Lubo ta książka moja często była rozbierana w literaturze naszej, przecież do najznakomitszych mężów, którzy raczyli się zająć jej krytyką, należy D-r Henryk Struve, prof. filozofii uniwersytetu Warsz. (w 3 zeszytcie dzieła: „*Wykład systematyczny logiki.*” Tom I Warszawa, 1870) i Bronisław Trentowski, ob. rozprawę jego p. t. „Hegel i Kremer w piśmie zbiorowem p. t. „Na dziś” tom I, Kraków, 1872.

Obaj ci uczeni gruntownie okazali różnicę między stanowiskiem Hegla a mojem, lubo chętnie przyznają, że ich sądy o mojej skromnej pracy zdają mi się zbyt pochlebne, bo mniemam, że w ich krytykach przeważa osobista przyjaźń i życzliwość dla mnie.

Dla młodszych czytelników dodajmy wyjaśnienie nazwy i znaczenia filozofii spekulacyjnej. Jest to w ogólności mówiąc i streszczając rzecz, stanowisko filozofii, opierającej się na zasadzie jedności myślenia i istnienia. Jest to więc ta filozofia, która ma tę pewność, iż rozwojowi myśli abstrakcyjnej naszego rozumu, odpowiada rozwój rzeczywisty wszelkiego istnienia rzeczywistego, że więc każdy stopień, każde ogniwo rozwijającego się myślenia ma odpowiedni stopień, odpowiednie ogniwo nietylko w stopniujących się jestestwach natury, ale również w dziedzinie ducha.

Filozofia spekulacyjna może być różną, bo albo twierdzi, że myślenie a istnienie jest bezwzględnie jedno i to samo; albo też twierdzi że myślenie a istnienie są różnymi stronami, przeciw obie strony ściśle sobie odpowiadają, bo są zgodne z sobą. Lecz czyli filozofia spekulacyjna zajmie pierwsze lub drugie z tych stanowisk, w każdym razie przejęta jest tą zasadą, iż myślenie znajduje wizerunek swój w istnieniu, że się w niem przeziera, jak w zwierciadle *uti in speculo*, ztąd nazwa *filozofii spekulacyjnej*. Zresztą uważmy, że filozofia spekulacyjna nie jest bynajmniej owocem nowożytnych czasów, ale ona sięga wieków dawnych, a bywała stanowiskiem wielu najznakomitszych filozofów greckich, zwłaszcza wielkiego Platona.

Następnie lubo spokrewnionę z logiką Hegla, bo łączące się z metafizyką, ale pod pewnym a ważnym względem wielce od logiki Hegla różne zajmują stanowisko te logiki, które powstały ze szkoły *F. Schlegelmachera* (1768—1834) autora dzieła: *Dialektik* 1839. W tych logikach twory myślenia nie mają bynajmniej wyłącznego, abstrakcyjnego, formalnego znaczenia, ale mają znaczenie w rzeczywistości, podmiotowe myślenie znajduje w doświadczeniu swoje potwierdzenie i urzeczywistnienie. Podobnie jak my, ta szkoła uważa, że zadaniem myślenia jest poznanie przedmiotu, więc wiedza prawdziwa.

Podobnie też, jak my, ta szkoła, choć twierdzi, że myślenie i istnienie jest w jedności; przeciw ta szkoła wręcz różni się od Hegla, ucząc, że istnienie a myślenie, nie jest bynajmniej jedno i to samo, ale że prawdą jest ich jedność, a zgoda obu tych różnych stron.

Do dzieł logicznych tej szkoły należą: „*Logische Untersuchungen* Frensdlenburga” 2 tomy 1840. Beneke’go: „*Lehrbuch der Logik* 1832, *System der Logik* 1842. „*Lotre’go: Logik* 1842.” Tu należy jeszcze Ulrichi, autor dzieł: *System der Logik* 1852 i *Compendium der Logik* 1860. Ueberweg, *System der Logik und Geschichte der logischen Lehren* 1857, drugie wydanie 1865, trzecie 1868. Hoppe, *die gesammte Logik* 1868. Reichlin Meldegg, *System der Logik* 1870, a nadewszystkich celuje gruntownym i jasnym wykładem Henryk Ritter. Wielce godne polecenia są dzieła jego: „*Abriß der philo-*



sophischen Logik 1824 r. oraz System der Logik und Metaphysik 1856, dwa tomy. To ostatnie dzieło jest owocem czterdziestoletniej pracy czcigodnego autora.

Teraz zwrócimy się do autorów logiki w ścisłym znaczeniu formalnej. Rzekliśmy już, iż głównym powodem logiki formalnej był Kant, i również wyjaśniliśmy powód, dla którego się tak stało.

Należy nam jednak zwolenników logiki ściśle formalnej, rozdzielić na dwie grupy. Jakoż są jedni którzy choć twierdzą, że do logiki nie należy bynajmniej dochodzenie prawdy materyalnej, przecież zwykle jeszcze dodają do swoich logik ściśle formalnych osobną naukę, bo *noetykę*, mającą zadanie wskazać prawidła, któremi dochodzimy do poznania prawdy materyalnej.

Inni zaś autorowie logiki formalnej powiększej części są tego przekonania, że lubo przyznać należy, że za pośrednictwem myślenia dochodzimy do poznania prawdy w przedmiotach rzeczywistych, to jest, w ogólności mówiąc, do poznania istnienia; jednak twierdzą, że do właściwej logiki to poznanie nie należy, bo logika powinna się ograniczyć wyłącznie do poznania czystych form myślenia, a zatem, że logika ma być wyłącznie umiejętnością formalną, to jest taką, jaką jest arytmetyka, która także nie wchodzi w znaczenie materyalne liczb.

Zdaje nam się, że to cośmy powyżej powiedzieli, wystarczy, aby przekonać o niedostateczności logiki ściśle formalnej; jednak dla uzupełnienia rzeczy, dodajemy poniżej jeszcze kilka uwag w tym względzie.

Jakoż rozpatrzywszy się bliżej w tém powyżej podaném twierdzeniu autorów logiki formalnej, widzimy, że w ich założeniu tkwi sprzeczność, która ztąd pochodzi, że wykonanie tego własnego ich założenia jest niepodobne, a zatem, że logika tak zwana *formalna*, ciągle zniewoloną jest przekraczać granice, które sobie sama wytknęła.

1. Logika ta zamierza nie zajmować się przedmiotami rzeczywistymi, to jest, w ogólności mówiąc, nie wdawać się w poznanie istnienia; ale pytamy, czyli to myślenie samo, którem się ta logika zajmuje i formy jego nie należą do istnienia? Gdyby myślenie samo i jego formy nie były istnieniem; gdyby one nie istniały, nie byłoby potrzeby zajmować się tém, czego na świecie nie ma.

2. Często ci autorowie lubią porównywać logikę formalną z arytmetyką, lecz to porównywanie nie jest bynajmniej właściwe, gdyż w arytmetyce widzimy stronę materyalną obok formalnej. Bo lubo prawda, że arytmetyka jest pod tym względem niby formalną, iż nam podaje wielkości, liczby, cyfry, nie wchodząc w treść ich, to jest, nie wchodząc, jakie rzeczy w szczególności przedstawiają te liczby; przecież arytmetyka z tego względu jest materyalną, iż mając rozwiązać zadanie, musimy zastanowić się nad tém, jakich działań arytmetycznych nam użyć należy. Następnie samo trafne i bezbłędne wykonanie tych działań jest tu znowu stroną formalną, a ilość jednostek, objętych w ostatecznym wypadku, może być albo materyalnie prawdziwą, albo materyalnie fałszywą.

3. Logika formalna twierdzi, że się zajmuje jedynie formami myślenia a zatem pojęciem, sądem i wnioskiem. Lecz gdy ta logika ma określić znaczenie pojęcia, już wtedy zniewoloną jest do wykładu nauki o cechach, tak istotnych, jak nieistotnych, o cechach zgodnych, lub niezgodnych, o pojęciach nadrzędnych, ogólnych (rodzajach) i o pojęciach szczegółowych, podrzędnych (gatunkach). Lecz pytamy, czyliby o tém wszystkiém logika formalna mówić mogła, czyliby ona mogła i te cechy i pojęcia rodzajów, gatunków wyprowadzić ze samej gołej myśli, gdyby nie była poprzednio zwracała uwagi na świat rzeczywisty? na materyalne znaczenie pojęć?

4. Logika formalna zakłada sobie wywodzić formy myślenia z samej czystej myśli, bez wdawania się w treść ich rzeczywistą, a jednak przytacza ciągle a ciągle przykłady z rzeczywistego świata wzięte, chcąc wyjaśnić te formy, to jest pojęcia, sądy i wnioski. Otóż to są nasze uwagi, które się nastroczają przy pierwszym rzucie oka na logikę, w najściślejszym znaczeniu czysto formalną, a które podają w wątpliwość jój uprawnienie; na nich też przestajemy, niechcąc powtarzać, co w tej mierze wypowiedział gruntownie i z wielką bystrością Trendelenburg (*Logische Untersuchungen*, I, od str. 4 do 22), do nich też odsyłamy czytelników naszych.

Jednak niechaj wolno będzie przytoczyć choć jeden z jego argumentów, nadzwyczaj trafny i przekonujący. Jakoż powiada Trendelenburg (t. c. str. 5), że nie możemy poznać organów ciała i ich formy, jeżeli nie zrozumiemy zarazem celu, dla którego one są przeznaczone. Tak np. możemy wtedy jedynie dokładnie pojąć budowę ręki ludzkiej, jeżeli zwrócimy uwagę na przedmioty, które ta ręka ma objąć, któremi ma zawładnąć. Myślenie jest takim najwyższym organem świata duchowego, więc też istoty myślenia, ani jego form zrozumieć nie zdołamy, jeżeli zarazem nie zwrócimy uwagi na przedmioty, które myślenie ma pojąć i zrozumieć.

Kończy atoli Trendelenburg swoją polemikę przeciw logice ściśle formalnej następującą uwagą (t. c. str. 22). Powiada on, że niektórzy (np. Twisten) odwołując się do filozofii zasadniczej (*philosophia prima*), mającej być wstępem do filozofii; są zdania, że dla celów dydaktycznych (np. dla młodzieży) uczenie się logiki ściśle formalnej może być użytecznym. Na to Trendelenburg odpowiada: i że nawet wtedy, gdyby to zdanie było prawdziwe, toby przecież nie było jeszcze dowodem wewnętrznej wartości tej nauki, mającej naginać się do celów zewnętrznych i przypadkowych.

Lecz Trendelenburg jest przekonany, że rozwój gołych abstrakcyjnych form jest daleko mniej uczącym, a przeciwnie, rozwój rzeczy samej jest daleko jaśniejszym, bo prostszym i więcej kształcącym, bo więcej nauczającym.

Uważmy nakoniec, że autorowie logiki formalnej twierdzą, że jój ojcem i pierwszym zaszczepcą jest Arystoteles. Widocznie ta logika rada się wywodzić, choć niesłusznie, od tak sławnego antenata,

jakim jest Arystoteles. Otóż i pod tym względem zasłużył się Fren-delenburg, wykazawszy jasno, że logika formalna podszywa się pod świetne imię Arystotelesa, do czego wcale jej nie służy prawo. Jakoż lubo Arystoteles rozbięra, bystro i gruntownie formy myślenia, ale nigdzie nie oświadcza zamiaru, jakoby chciał te formy wysnuć z samego gołego myślenia; owszem Arystoteles w swojej pracy logicznej (organon) ciągle ma na względzie rzeczywistość i w wielu trudniejszych przypadkach twierdzi, że tylko zapatrywanie się na naturę zdoła rozwiązać trudności logiczne.

Gdy powyżej wyłożyliśmy stanowisko tych myślicieli, którzy wyłączenie w poznawaniu form upatrują całe zadanie logiki, obaczmy teraz innych autorów, wręcz im przeciwnych, którzy również niesłusznie tak sobie mało wazą logiczne formy, iż nawet sylogizmowi nie przyznają należnego mu wielkiego znaczenia. Takim jest przedewszystkiem nie dawno zmarły J. Stuart Mill, jeden z najgłośniejszych nowoczesnych myślicieli angielskich. Dzieło jego ukazało się w tłumaczeniu niemieckim p. t.: *System der deductiven und inductiven Logik übertragen von Schil*, 2 tomy. Pierwsze wydanie tłumaczenia wyszło na jaw w roku 1849, a drugie w roku 1862 wedle piątego wydania oryginału.

To dzieło Milla zwróciło słusznie na siebie uwagę uczonej Europy, zaiste jest ono nader ważne, bo zawiera w sobie wiele uwag nowych i trafnych. Lecz mimo zalet téj książki Milla, nie brak w niej i twierdzeń mylnych, wyrzeczonych w zakresie logiki, które atoli są wprost następstwem filozofii pozytywnej, do której ten autor należy. Jakoż wśród innych ustępów książki Milla, na które się trudno z nim zgodzić, najwięcej jest uderzający ten, w którym pragnie udowodnić małego znaczenia sylogizmu. Jakoż Mill jest zdania, że układanie sylogizmu jest sprawą zupełnie zbyteczną. Bo ta sama prawda którą ma orzec konkluzya sylogizmu, wypływa na wprost drogą krótszą, naturalniejszą, bo wynika z doświadczenia, bo z jednostkowych faktów rzeczywistych. Mill czyni pod tym względem porównanie mówiąc, że kto dla dojścia do jakiegóś prawdy tworzy sylogizm, jest podobny do onego wędrowca, który zmierzając do jakiegoś miejsca, najprzód wspina się niepotrzebnym mozołem na górę a następnie z niej schodzi, a nie używa drogi równiej, krótszej i prościejszej, która również do tego miejsca prowadzi. Aby usprawiedliwić swoje zdanie, autor (str. 221, tom I) kładzie za przykład sylogizm, w którym premisa większa jest sądem ogólnym twierdzącym; lecz całe rozumowanie Milla nad tym sylogizmem dlatego jest błędnem, iż on sądy ogólne uważa być skutkiem wyłącznie grubej empiryi, to jest rezultatem doświadczenia opartego na mnóstwie faktów jednostkowych; gdy przecież wiadomo, że sąd ogólny jako zasada ogólna, jako prawda ogólna, jest głównie zdobyczą samego rozumu. Takie mylne zapatrywanie się Milla na sądy

ogólne, jest głównym powodem że on nie uznaje ważności sylogizmu <sup>1)</sup>.

Gdy już powyżej wyłożyliśmy z jednej strony, strony ujemne formalizmu sylogistyki, a z drugiej strony wysokie jój znaczenie, gdy będzie użytą jako niezbędna wskazówka do sposobu rozumowania; więc się godzi wspomnieć, choć kilku słowy o związkach logiki i sylogistyki i jój historii.

Arystoteles (urodził się w r. 385 przed Chr.) istne dziwo gieniuszu w dziejach duchowych świata. On ogarnął wielką liczbę umiejętności, któremi dziś zajmują się pracownicy w dziedzinie wiedzy. Jedne z tych umiejętności rozwinął, uzasadnił, innym dał nawet pierwszy początek, był ich twórcą; dość przypomnieć że Arystoteles uprawiał etykę, politykę, ekonomikę, estetykę, psychologią, metafizykę, historią zwierząt i t. d., jemu téż jak się powyżej rzekło, zawdzięcza logika gruntowne opracowanie. Jego *Organon* jest zbiorem pism w przedmiocie logiki. Arystoteles rozwijając swoją logikę, w niej objął cały przedmiot, który się stał treścią dzisiejszych logik formalnych, ale on sam był dalekim od gołego ich formalizmu. Jakoż ciągle zwraca w swojej logice statecznie baczną uwagę na rzeczywisty świat, zwłaszcza na naturę. Z tego téż powodu nie odłącza nigdy myślenia materalnego od formalnego, jak to czynią nowocześni autorowie logiki formalnej; ale już arcydziełem jest jego teoria wniosków czyli sylogistyka: on ją opracował samodzielnie czerpiąc ją wyłącznie z głębin własnego badawczego ducha. Dwa tysiące dwieście lat minęło z górą od czasu tych prac wielkiego człowieka, a aż do obecnej chwili jego teoria sylogizmów ciągle zajmuje poważniejsze umysły. W przeciągu tych dwudziestu dwóch wieków, dzieje ludzkie przechodziły ogromne przemiany i polityczne i społeczne, zwroty i wywroty pod względem religijnym i filozoficznym; ludzkość odbyła przeistoczenia głębokie, w przeciągu tych dwudziestu dwu wieków. Narody i państwa światowładne znikają z widowni dziejów, a inne narody i państwa występowały z kolei w historii, a sylogistyka Arystotelesa ciągle żyła; ona wszystkie te łomoty i przeistoczenia świata przetrwała, ona stała się po wszystkie następane czasy przedmiotem wytrwałego zajęcia ludzi myślących. To zajmowanie się nieprzerwane sylogistyką Arystotelesa, jak jest oznaką niewątpliwą wysokiego znaczenia samego przedmiotu

<sup>1)</sup> Kremer w tém miejscu ściślej rozbięra naukę Milla o sylogizmio. Jakoż gdy myśliciel angielski podaje przykład sylogizmu i na nim wykazuje zbyteczność wszelkiego sylogizmu, Kremer używa tego samego przykładu i na nim wytyka niedostateczne rozumowanie Milla. Gdy atoli ten ustęp Kremera może jedynie zajmować tych czytelników którzy są bliżej oswojeni z umiejętnością logiki, przeto go opuszczamy, ograniczywszy się powyżej na streszczeniu rozumowania Kremera, oiekawszych zaś czytelników odsyłamy do samego dzieła Kremera, które się wkrótco ukaze. (*Red. Bibl. Warsz.*).

dla ludzkiego rozumu, tak jest głośnym świadectwem gieniuszu wielkiego jej twórcy. Jeżeli słusznie powiedziano, iż w całej filozofii nie znajdziesz do dziś dnia dzielnicy ugruntowanej z taką ścisłą matematyczną pewnością, jak sylogistyka, toć ona tę wielką zaletę winna Arystotelesowi. Więc czytelnik pojmie, że teoria wniosków rozwinięta w naszej książce polega po większej części na orzeczeniach nieśmiertelnego greckiego filozofa.

Wyjaśnienia dzieł logicznych Arystotelesa rozpoczęły się jeszcze w starożytniej Grecyi, trwały i później za czasów bizantyńskich. Do późniejszego pokolenia tych komentatorów bizantyńskich należy Michał Psellus, urodzony w r. 1020. Wypracował on po grecku *Compendium* całej logiki Arystotelesa: dzieło to Psellusa stanowi epokę, wywarło ogromny wpływ na późniejsze czasy, tak dalece, iż z niem w tej mierze żadna książka literatury bizantyńskiej równać się nie może. Podręcznik Psellusa stał się podstawą wszystkich następnych na wiele lat.

Compendyum Psellusa, skreślone po grecku, zostało później opracowane w języku łacińskim przez Anglika Wilhelma Shyreswood (umarł w r. 1219, kanclerzem w Linkoln). Wilhelm już rozprawia o trzech figurach wniosków i dodaje do nich wierszyki wyjaśniające tak ogólne prawidła wniosków, jak i szczegółowe figury. Dzieło jego nie było drukowane, odkrył je dopiero przed kilku laty wielce zasłużony Prantl w bibliotece paryzkiej<sup>1)</sup>. Pomijając wielu innych dzielnych a bystrych pracowników na tém polu, wspominamy o autorze, którego książka przez kilka następnych wieków stała się przedmiotem badań mężów uczonych. Tym mężem był Petrus Hispanus, który wydał podręcznik: *Summulae logicales vel tractatus summularum*. Lubo wiadomości o życiu Piotra są niepewne, zdaje się atoli, że ci krytycy mają słuszność, że autorem tego dzieła był ten sam Petrus Hispanus, który urodził się w r. 1226 a umarł 1277, jako papież pod imieniem Jana, XXI. Piotr opracował swoje *summulae* na tle dzieła Wilhelma Shyreswood i takowe jak się zdaje, więcej rozwinął oraz do niego dodał *versus memoriales*. Bądź jak bądź, książka Piotra Hiszpana używała wielkiej powagi, uczono się z niej po szkołach, a wzięcie tego dzieła i jego rozpowszechnienie były tém większe, że je uważano za kompendyum, skreślone przez samego papieża.

Jak po wszystkich szkołach przez dwa stulecia dzieło Piotra było przedmiotem rozbiórów, tak się działo u nas w akademii krakow-

1) Ciekawszego czytelnika odsyłamy co do logik w średnich wiekach do dzieła obszernego: *Geschichte der Logik im Abendlande* von dr. Karl Prantl; do tychczas ukazały się cztery obszernie tomy (od r. 1855 do 1870). Szanowny autor zasłużył na uznanie całego świata filozoficznego, że dokonał tego dzieła olbrzymią pracą i erudycją, a cierpliwością prawdziwie nie znękaną, a to tém wyższa należy mu się cześć, iż przedmiot jest tak jałowy i oschły.

skiej. Mianowicie w drugiej połowie XV wieku liczny zastęp męzów znakomitych wykładając filozofią scholastyczną w naszej szkole, zjednał jej rozgłos i sławę za granicą kraju. Wspomniemy tu jedynie o Janie z Głogowy. Jan urodzony w Głogowie na Szlązku, uczył się w akademii krakowskiej, a później sam objąwszy w niej nauczycielstwo nie mało przyczynił się do świetności tej naszej szkoły i jej uznania tak między swojemi, jak obcymi. Były to czasy Kazimierza Jagiello-  
na, szczytujące się w Polsce znakomitymi ludźmi różnych zawodów. Spółczesnymi Jana byli: Kopernik, Długosz, Grzegorz z Sanoka, Wit-  
Stwosz i wielu innych. O Janie Głogowczyku dlatego tu wspominamy, bo był autorem wielu dzieł filozoficznych, a między innymi ogłosił opracowanie książki Piotra Hiszpana p. t.: *Exercitium super omnes tractatus parvorum logicalium Petri Hispani, magistri Joannis Glogoviensis almae florentissimaeque Universitatis studii Cracoviensis* etc. anno 1500.

Przebiegliśmy powyżej bardzo ogólnie i niedostatecznie dzieje logiki od czasów Arystotelesa do końca XV stulecia. Więc dla uzupełnienia, ile możności, naszego wykładu, dodajemy jeszcze ogólne uwagi o powodach, które głównie parły te czasy do zajęcia się tak gorąco logiką, zwłaszcza sylogistyką. Najznakomitsi Ojcowie kościoła (jak św. Augustyn) już wyrzekli, jako prawdziwa religija i prawdziwa filozofia są w zgodzie ze sobą, a zatem że twierdzenia i zasady teologiczne i dogmaty wiary, mogą być udowodnione mocą rozumu.

Co więc, uczyli oni, że jest nawet rzeczą użyteczną, starać się o udowodnienie treści wiary mocą rozumowania. Jednak obstawali wszyscy za konieczną zasadą: *Credo, ut intelligam*.

Posłuchajmy czego uczy pod tym względem Anzelm z Cantenbury (urodzony 1033 w Piemonckim). Chrześcianin niechaj na podstawie wiary posuwa się do poznania prawdy, ale niechaj nie postępuje odwrotnie, to jest niechaj nie dąży aby mocą poznania doszedł do wiary. A gdy nie zdoła rozumowaniem dosięgnąć prawdy objętej we wierze, wtedy niechaj nie staje się odstępca od wiary, lecz niechaj się modli.“

To *credo ut intelligam* stało się hasłem scholastycznej filozofii. Dziś filozofia orzeka odwrotną zasadę: bo *intelligo ut credam*, to jest zapowiada, że wtedy możemy wierzyć, jeżeli twierdzenia wiary rozumowo uzasadniemy. Lecz zwrócić należy uwagę, że każde twierdzenie uzasadnione rozumem, jest już wiedzą, więc już nie jest wiarą.

Otóż takie zapatrywanie się zrodziła filozofia scholastyczna. Zadaniem jej było udowodnić czyli raczej wyjaśnić przez rozumowanie osnowę teologii. Celujący filozofowie scholastyczni trzymali się co do treści filozofii Platona, lubo wielce zmienionej, bo idąc za przykładem św. Augustyna, idee Platona uważali jako myśli twórcze Boga. W ogólności cechą charakterystyczną filozofii scholastycznej jest to, iż ona nie rodziła sama z siebie treści swojej, ale pożyczala ją jużto z teologii chrześcijańskiej, jużto z tradycyi naukowej dawnych wieków.

Co zaś do formy zewnętrznej, to jest co do sposobu rozumowania, scholastycy używali *Organonu* Arystotelesa, zwłaszcza trzymali się jego teorii sylogistyki, chcąc dowodzić rozumowo zasad wiary.

Niedziw przeto, że w szkołach chrześcijańskich uczono *Organonu* Arystotelesa i że logika jego, czyli jak ją nazywano *dyalektyka*, należała do owych *septem artes liberales*, będących wówczas przedmiotem nauki szkolnej.

Lubo więc sylogistyka czyli sztuka dowodzenia była przeważnie jedynie środkiem dla filozofii scholastycznej, aby ugruntować dogmatyczne twierdzenia teologii i w tym głównie celu scholastycy zajmowali się teorią sylogistyki; więc też nic dziwnego, że wśród nich bywali i tacy, którzy rozwinięcie i udoskonalenie samej tej teorii, to jest samą formę dowodzenia obrali sobie za wyłączny przedmiot swoich badań. Do rządu pracujących w tej dziedzinie należą mężowie powyżej przez nas przytoczeni.

Z tego powodu, dbając jedynie o formę zewnętrzną rozumowania, nie oglądali się wcale na jego treść, a tak ich badania stały się gołym formalizmem. Więc układali swoje sylogizmy z premis niczém nieudowodnionych, z najdziwniejszych dziwadeł i z nich wyprowadzali konkluzje również urojonej treści, bacząc jedynie na to, aby konkluzya była wysnutą wedle najściślejszych prawideł sylogistyki.

Takowe postępowanie musiało się stać po niedługim czasie przyczyną zarzucenia całej tej roboty. Bo gdy później świat ruszył naprzód, gdy zaczęło świtać w głowach; wtedy też świat zażądał owoców rzeczywistych z pracy naukowej, a odwracał się ze wstrętem od tych trudów a łamigłówek zmuśnych a jałowych,

Lecz nietylko sam postęp czasu położył koniec filozofii scholastycznej i jej sylogistycznym przyborom, lecz w samym rdzeniu tej filozofii wylęgnał się zaród jej przyszłego skonu.

Jakoż już w pierwszych stuleciach, średnich wieków zrodziło się przeciwieństwo w dziedzinie filozofii scholastycznej. i powstały dwie szkoły wręcz sobie odwrotne, bo realistów i nominalistów. Realisci twierdzili, że nasze ogólne pojęcia, *universalia*, np. gatunki, rodzaje, nietylko znajdują się w naszej głowie, w naszym myśleniu ale mają odpowiednią rzeczywistość w przedmiotowym świecie, to jest iż myśli nasze (nasze idee) mają także znaczenie realne. Nominalisci zaś przeciwnie obstawali za tém, iż te *universalia* istnieją tylko w naszej głowie, w obec rzeczywistości są tylko nazwami pustemi, czczym dźwiękiem, a zatem że myśleniu naszemu, to jest ideom nie odpowiada żadna rzeczywistość w istniejącym świecie; bo w rzeczywistości, w prawdzie istnieją tylko zmysłowe jednostki.

Widzimy, że w średnich wiekach wyraz realista miał zupełnie inne, niż dziś, znaczenie; bo niegdyś realistą był ten, co uznawał, że idea, myśl ma byt realny w świecie, a dziś tego zowiemy realistą, który właśnie nie wierzy w te ideały, ale trzyma się wyłącznie zmysłowego doświadczenia, faktów jednostkowych, których się dotknąć może.

Zrazu nominalizm miał nie wielu stronników, ale na początku XIV wieku wystąpił z przeważającą nad realistów potęgą i ogarnął prawie wszystkie umysły. Jego tryumf musiał być zarazem upadkiem filozofii scholastycznej. Gdy bowiem ludzkie umysły, przystając do nominalizmu, nabyły przekonania, że myśli z jednej strony a rzeczywistość z drugiej strony, nie odpowiadają sobie, że myślenie a istnienie nie są w związku z sobą, zatem, że lubo myślenie wyrozumuje sobie istnienie jakichś bytności: toć z tego bynajmniej nie wypływa, żeby rzeczywistość ta bytność istniała, to jest, żeby była prawdą. Musiała więc upaść filozofia scholastyczna, która właśnie miała to zadanie, aby wyprowadzić mocą myślenia prawdę twierdzeń teologicznych. Lubo taki zwrot myśli ludzkiej podkopał podwaliny scholastyki, przecież nie obalił jej znienacka. Jakoż jedynie zwolna objawiały się oznaki przeradzającego się czasu, a pomagały potężnie temu przerodzeniu wysokiego znaczenia odkrycia XV wieku, a nadewszystko, jak wiadomo, obznajmienie się bliższe ze światem starożytności klasycznej.

Wszak widać, że już duch nowej nadchodzącej epoki owiał Jana z Głogowej, a nasz Grzegorz z Sanoka wyprzedził Franciszka Bakona, nazywając spółczesną mu filozofią: „*Marzeniem czuwających.*”

Nakoniec nastąpiła chwila, gdy duch przyszłej wiedzy, który dotychczas przecuciem wróżył w głowach ludzkich, jawnie i śmiało wystąpił i przemówił jasnym, wyraźnym językiem w nauce Franciszka Bakona z Werulamu (1561—1626). Bakon wprowadził do logiki wielce ważny żywiok, bo indukcyą, to jest metodę wysnuwającą z doświadczenia, czyli z jednostkowych, zmysłowych faktów, stopniowo coraz ogólniejsze zasady i prawdy.

Lubo indukcyjnej metodzie dał niegdyś początek Sokrates, przecież ona przez całe średnie wieki poszła w zapomnienie, a choć wedle najświeższych badań zaprzeczyc nie można, iż wielu ze spółczesnych Bakona już używali tej metody w badaniach swoich, jednak należy przyznać tę wielką zasługę Bakonowi, że on pierwszy jawnie w świat wystąpił z teorią metody indukcyjnej, i że wypowiedział nowy kierunek badań ludzkich.

Literatura polska posiada znakomite dzieło Michała Wiszniewskiego p. t. Bakona metoda tłumaczenia natury: Kraków 1834, w którym autor językiem pięknym, przeczystym, trafnie i dobitnie wyjaśnia postępowanie Bakona w odkryciu prawdy.

Lubo zasługi Bakona są wielkie, bo wskazał światu właśnie tę drogę badania, której nauki, mianowicie przyrodnicze, zawdzięczają swój zadziwiający postęp; jednak stanowisko Bakona grzeszy jednostronnością, bo nie poznał wielkiego znaczenia metody odwrotnej, to jest dedukcyjnej, która od ogółów postępuje stopniowo do szczegółów, a w końcu do jednostek, a dla tej drogi dedukcyjnej właśnie podaje wzór sylogizm a prawidła sylogistyka.

Obok Bakona staje Kartezjusz, jako uzupełnienie jego. Kartezjusz w tém przeciwny Bakonowi, że nie opiera się wyłącznie, jak



Bakon na faktach jednostkowych zewnętrznego świata; ale we wnętrzu ducha, w intuicji bezpośredniej śledzi prawd niewątpliwych. Kartezjusz uczy, że dwojaka jest metoda logiczna dochodzenia prawdy: analityczna, która od jednostek, od faktów podanych przez doświadczenie wznosi się do ogólnych prawd i zasad; druga syntetyczna, która od ogólnych prawd drogą dedukcyi zstępuje do zasad szczegółowych, jednostkowych.

Po Bakonie i Kartezjuszu filozofia poszła nowemi torami, zatem też mniej zajmowała się sylogistycznymi formami. Jednak nie zapomniano o nich, owszem wielki Leibnic (ur. 1646, † 1716) orzekł, „iż sylogizm jest jednym z najpiękniejszych a najcenniejszych wynalazków ducha ludzkiego.”

To orzeczenie Leibnica spowodowało jego następcę Chrystyana Wolffa (ur. 1679, † 1754), iż przesadził w używaniu sylogizmów, stosując je do rzeczy zwykłych i błachych.

Lubo z jednej strony przyznać należy, że takie postępowanie przyzwyczaiko umysły do form ściślejszego myślenia, jednak z drugiej strony ten formalizm rozwlekły i pedancki poszedł w XVIII wieku na szkodę samej filozofii, a to tak dalece, iż ta umiejętność straciła wiarę u ludzi; aż dopiero Kant odrodził ją nowym żywotem, w końcu przeszłego stulecia.

W naszym kraju używanie sylogizmów prawidłowych, wyłożonych z całym subtelnym tradycyjnym pedantyzmem a formalizmem, bez względu na treść wewnętrzną rozumowania, utrzymało się aż do ostatnich czasów w dysputach, zwłaszcza po zakonach. Krasicki w Monachomachii podał nam w tej mierze obraz również żywy, jak właściwym mu dowcipem skreślony:

Ojciec Łukasz  
 Zaczął od rzeczy Hidaspów, Paktolów,  
 I wzięwszy stronę przeciwną na oko,  
 Nabił argument i strzelił z Baroko;  
 Strzelił na odwrót, pocisk niezbyt dźwięczny,  
 Raził oppugnans w drugim nabijaniu;  
 Odstrzelił zasię z Celarent, jak z kuszy,  
 Ale grot słaby poszedł mimo uszy.

Krasickiemu wiadomo, że te nadużycia wprowadzone były przez komentatorów Arystotelesa, którzy trzymali się li jego form, nie przejąwszy się duchem wielkiego Greka. Mówi więc nasz poeta:

O! ty, którego żaden nie zrozumiał,  
 Gdy w twoich pismach błąkał się jak w lesie;  
 O! ty, nad którym nieraz świat się zdumiał  
 I dotąd sławi, wielbi, dziwuje się;  
 O! ty, coś głowy pozawracać umiał:  
 Bądź pozdrowiony Arystotelesie!

Bożku łbów twardych i próżnej mozoły,  
Witaj ozdobo starodawnéj szkoły!

Następnie Krasicki winę całą przypisując tym, co odzawszy się wielkiem imieniem Arystotelesa, zwodzili nieroztropnych, oddaje słuszne hołdy samemu starożytnemu mistrzowi:

Osiel w lwiéj skórce, nieostrożnych zwodził.  
Często niezgrabny płód, choć matka hoża;  
Nieraz cedr słabą latorośl urodził,  
Nieraz się zakradł kąkol pośród zboża:  
Nie twoja wina, żeś głupich napkodził i t. d ..

W pierwszych dziesiątkach lat naszego wieku Jan Sniadecki, mąż tak wiele zasłużony w literaturze ojczytstéj, a którego czystość języka zostanie po wszystkie czasy wzorem dla pokoleń następných; odezwał się z jakąś niechęcią przeciw sylogizmom. (Pisma rozmaite, tom IV). Jednak bliżej się rozpatrzywszy w téj jego rozprawie, znać, że on uderza jedynie na nadużywanie formalizmu sylogistycznego i na tych, którzy bez myśli nie pojawiaszy istoty przedmiotu, załatwić chcą rzecz pedancką formułą.

Zatém dodać należy, że niesłusznie jacy tacy w obec sylogistyki zadzierają nosa, nazywając ją staroświeckim rupieciem; lubo ta nauka, na którą oni z góry się patrzą, wielceby im się samym przydała: jakoż, gdyby oni zachowali owe staroświeckie prawidła, to i ich własne pisma i mowy odznaczyłyby się wyższą ścisłością i miałyby więcej systematyczności i ładu.

---

## EPIZODY

# Z ŻYCIA NERONA.

Według dzieł E. Renana.

### I.

#### Spalenie Rzymu.

Obłąd wściekłości Nerona nie znał już granic. Świat oddany był na straszne awanturnicze przygody jednego. Konieczność owych czasów powierzyła wszystko jednemu człowiekowi, dziedzicowi wielkiego, opromienionego legendą imienia Cezarów. Z takiego położenia wypływało niezmierne niebezpieczeństwo, bo kiedy Cezar tracił zmysły, kiedy wszystkie arterye biédnej jego mózgownicy, zmaconéj kolosalną, nieograniczoną władzą, zaczęły uderzać silnie, wówczas każde

uderzenie znaczyło nowe szaleństwo. Trzeba było być podległym temu potworowi. Ani sposobu odegnać się odeń; straż jego przyboczna złożona z Germanów, która wraz z nim straciłaby wszystko, pilnowała go zawzięcie, a zwierzę rzucało się zapalczywie; Neron stał się czémś okropnym, dziwacznym, wspaniałym i śmiesznym. Ponieważ był bardzo czytany i ukształconym literacko, zatem i szal jego miał cechę literacką. Marzenia wszystkich wieków, wszystkich poematów, wszystkich legend: Bacchusa i Sardanapala, Ninusa i Priama, Troi i Babilonu, Homera i częściej poetyczności współczesnej, tańczyły chaotycznie w biednej mózgowicy miernego lecz wielce w artyzm swój wierzącego artysty, któremu los pozwolił urzeczywistnić wszelkie zachcenia.

Wyobraźmy sobie człowieka mniej więcej tak rozumnego jak bohaterowie V. Hugo, osobistość karnawałową, zlepek szaleńca, błazna i aktora, opatrzonogo w wszechpotęgę i w moc rządzenia światem. Nie miał on tej czarnej złośliwości Domicyana, lubującego się w złém dla złego, ani nie był tak bezrozumny jak Kaligula, lecz był romantykiem sumiennym, cesarzem teatralnym, melomanem drżącym przed parterem i wprawiającym go w drzenie, tém, czémby był za naszych czasów mieszczuch, któremu w głowie przewróciło czytanie poetów współczesnych i który uważałby sobie za obowiązek, naśladować w swych czynach Hana z Islandyi lub Burggraffów. Romantyzm nie może mieć zastosowania w rządzie, ponieważ rząd jest przedewszystkiém rzeczą praktyczną. Romantyzm tylko w dziedzinie sztuki znajduje się na swoim miejscu, ale czyn stoi w sprzeczności ze sztuką. W ukształceniu zaś księcia, romantyzm bezwarunkowo być musi zgubny. Seneka pod tym względem, więcej złego wyrządził swemu uczniowi złym swoim smakiem literackim, aniżeli mógł zdziałać dobrego, swoją filozofią. Jakkolwiek był on wielkim umysłem, ogromnym talentem i człowiekiem w gruncie szanownym mimo popełnionych zdrożności, jednak był zarazem całkiem zepsuty deklamacją i próżnością literacką, niezdolnym czuć i rozumować bez frazesów. Wprawiając ciągle ucznia swojego w wysławianie się o rzeczach, wcale wprzód nie pomyslanych poważnie, w układaniu naprzód wyrażeń wspaniałych, zrobił z niego komedyanta zazdrosnego, retora złego, prawiącego wtedy o ludzkości, gdy był pewny że go słuchają. Stary pedagog rozumiał głęboko złe strony swjej epoki, swego ucznia i swoje własne, kiedy się mógł odezwać w chwili szczerości: *Literarum intemperantia laboramus* (chorujemy na niewstrzeżliwość literacką).

Śmieszności te wydawały się zrazu w Neronie nieszkodliwe; małpa bowiem pilnowała się czas jakiś zachowując pozę, jakiej ją wyuczono. Zdradził się dopiero okrucieństwem od śmierci Agrypiny, a wkrótce ogarnęło go ono całego. Odtąd każdy rok znaczy on zbrodniami; niema już Burrhusa, wszyscy wiedzą że go Neron zabił; Oktawia zesła ze świata shańbiona, Seneka jest na wygnaniu oczekując śmierci lada chwilę, nie śniąc i nie marząc o niczym tylko o torturach, hartując się w rozmyślaniu mąk i usiłując dowieść że śmierć jest oswobodze-

niem. Nic nie brak tym saturnaliom, bo Tygiellinus trzęsie wszytkiemi.

Neron obwieszcza codziennie, że tylko sztukę uważać trzeba za rzecz poważną, że cnota jest kłamstwem; że ten jest czowiekiem jak się należy, który przyznaje się szczerze do bezwstydu a ten jest wielkim, który umie nadużyć wszystkiego, zgubić i zniweczyć wszystko. Człowiek cnotliwy jest dlań obłudnikiem, buntownikiem, osobistością niebezpieczną, a przedewszystkiemi rywalem; to też gdy mu się zdarzy odkryć jaką podłość odpowiednią jego teoryom, czuje się wielce uradowanym, Niebezpieczeństwa polityczne nadętości i tego fałszywego ducha emulacyi, który stał się od początku rakiem toczącym kulturę latyńską, odstaniały się w całej nagości. Lichy komedyant zdołał nadać sobie prawo życia i śmierci nad swymi słuchaczami, *dilettante* zagroził ludziom torturą, jeżeli nie będą wielbić jego wierszy. Monoman upojony samochwałą literacką, obracający piękne maksymy których go wyuczono, w żarty Kanibala, ulicznik zdziczały, goniący za oklaskiem gawiedzi zaułkowej: oto obraz pana potężnego imperyum.

Dotąd nie widziano jeszcze takiego przesadnego dziwactwa. Władcy despotyczni Wschodu, straszni ale poważni, nie śmiali się tym śmiechem waryata, tą rozpustą, przewrotną estetyki, Szaleństwo Kaliguli krótkiemi było, był to tylko *napad* szału, a potem Kaligula był przedewszystkiemi błazenkiem, błazenkiem dowcipnym; przeciwnie szaleństwo Nerona, zazwyczaj głupie, stawało się często przerażająco-tragicznem.

A najokropnię było jeszcze patrzeć na niego, jak deklamacyjnie igrał z wyrzutami swego sumienia, układając je w rymy. Z miną melodramatyczną, jemu jedynie właściwą, opowiadał że jest trapiiony przez Furycy i cytował wiersze greckie o ojcobójstwie. Jakiś bóg szydery stworzył go chyba na to, ażeby mieć igraszke pajacowską natury ludzkiej, w której wszystkie sprężyny łamią się trzeszcząc, ażeby mieć widowisko świata epileptycznego, jakim zapewne musi być sara-banda małp Congo, albo krwawa orgia króla Dahomey.

Zdawało się, że wszyscy na wzór jego wpadli w obęd. Sformowała się kompania obrzydła, która nadawszy sobie nazwę: „Kawalerów Augusta“ obrała sobie za zadanie przyklaskiwanie szaleństwu Cezara i obmyślanie dla niego awantur nocnych. Wkrótce też wyszedł z tąd szkoła, nowy Cezar (Othon).

Potop wymysłów najgorszego smaku, płytkości, słów uważanych za komiczne, żargon jakiś idyotyczny, rozsiadł się w Rzymie i stał modą. Kaligula dał już z siebie smutny przykład komedyanta-imperatora. Neron obrał go sobie za wzór. Nie wystarczyło mu już: jeźdzenie wozem po cyrku, rozdzieranie gardła przed publicznością, włóczenie się po prowincjach w charakterze śpiewaka; więc łowił ryby siećmi ze złota, które wyciągał sznurkami utkanemi z purpury; więc tresował sam swych klakerów, urządzał fałszywe tryumfy, każąc się

wieńczyć w Grecyi starożytnéj; więc wydawał uczyty niedające się opisać i odgrywał w teatrze role najrozmaitsze.

Przyczyna tych zbroczeń leżała w złym smaku stulecia i w niestosownej wadze, jaką nadawano sztuce deklamacyjnej, dążącej do potworności i marzącej potwornie. Co zaś stanowczo przeważało, to brak szczerości, jakiś ton czczy i mdły, taki jak w tragediach Seneki, zręczność w malowaniu uczuć nieodczutych, sztuka w przemawianiu cnotliwie nie będąc cnotliwym. Olbrzymiość uchodziła za wielkość, estetyczność przeliczono na najfałszywszą drogę; była to bowiem epoka posągów kolosalnych i téj sztuki materyalistycznej, teatralnej i fałszywie patetycznej, której arcydziełem jest *Laokoon*, posąg bez zaprzeczenia podziwienia godny, lecz odznaczający się pozą jakiegoś piérszego tenora i śpiewającego swój *canticum*, u którego wzruszenie pochodzi głównie i jedynie z boleści ciała.

Nie zadawalniano się już boleścią czysto moralną Niob, błyszczących pięknością; chciano obrazu mąk fizycznych, lubowano się w nich podobnie jak w XVII w. w marmurze Pugeta. Zmysły były już zużyte; zabawy grube, których Grecy pozwalali sobie zaledwie w przedstawieniach czysto ludowych, stały się głównym żywiołem sztuki. Lud literalnie obżerał się widowiskami i to nie poważnemi, oczyszczającemi, ale scenami obliczonymi na efekt, fantasmagoryami. Rozszerzyło się téż zamiłowanie haniebne w „obrazach żywych.“ Już się nie zadawalano rozkoszą wyobraźni, płynącą z opowieści poetów, ale chciano widzieć myty przedstawione cieleśnie w tém zwłaszcza, co miały w sobie najdzikszego i najniemoralniejszego; unoszono się nad grupami i postaciami aktorów, szukając w nich efektów rzeźbiarskich. Oklaski pięćdziesięciu tysięcy osób, zebranych w ogromnej kadzi, rozgrzewających się nawzajem, były czémś tak podniecającém, że nawet monarcha zazdrościł ich, woźnicy, śpiewakowi, aktorowi; sława teatralna uchodziła za najpiérszą. Ani jeden z imperatorów, których umysł nie był zupełnie trzeźwy, nie umiał oprzeć się pokusie zbierania wawrzyńów w tych smutnych igrzyskach. Kaligula zostawił tu resztki rozumu; przepędzał dzień cały w teatrze na zabawie z próżniakami, później Caracalla będzie się starał wydrzeć Neronowi tę palmę szalonego obłędu. Musiano ustanowić prawa, zakazujące senatorom i rycerzom wstępowania w arenę, walczenia z gladiatorami, lub mocowania się ze zwierzętami. Cyrk stał się ogniskiem życia, reszta świata wydawała się stworzoną jedynie dla przyjemności Rzymu.

Coraz to nowe wynalazki i pomysły, a jedne dziwniejsze od drugich, układał i wykonywał orszak monarszy. Lud szedł z zabawy na zabawy, nie mówiąc jak tylko o ostatnim dniu, oczekując tego co mu przyrzeczono i zapowiedziano i oddając swe przywiązanie temu z panujących, który w ten sposób z życia swego, urządził jedną bachanalie. Popularność jaką Nero zyskał takimi haniebnymi środkami, nie podpada już wątpliwości; wystarczy ona na to, iżby po jego śmierci Othon dojść mógł do władzy cesarskiej, samém tylko odświeżeniem jego

pamięci, naśladownictwem i przypominaniem, że on był jednym z ulubieńców jego najpiérwszych.

Nie można twierdzić stanowczo, iżby nędznik ten pozbawiony był zupełnie serca i wszelkiego poczucia piękna i dobra. Zdolnym będąc do uczuć przyjacielskich, okazywał się czysto dobrym towarzyszem, ale i w tém właśnie dowodził okrucieństwa, bo chciał być kochanym i wielbionym dla siebie samego i jątrzył się na tych, którzy tych uczuć dlań nie mieli. Usposobienie jego było zazdrosne, obraźliwe, a małe zdrady wprawiały go w uniesienie bez granic. Prawie wszystkie swe zemsty wywierał na osobach, które pośrednio przypuścić do ścisłego swego zaufania (Lucyan, Vestinus), ale które nadużyły poufałego swego z nim stosunku. Do téj zaś poufałości podzegał on sam, ażeby tém lepiej sztydzić, ponieważ czując swe śmieszności, bał się ażeby ich i inni nie dostrzegli.

Główną przyczyną jego nienawiści przeciw Trazeasza było to że zwątpił, iżby mógł pozyskać jego przyjaźń. Przytoczenie złego hemistychu: *Sub terris tonuisse putes*, zgubiło Lucyana. Nie wyrzekając się nigdy niejakiéj Galwii Crispinilli, kochał rzeczywiście kilka kobiet i te kobiety: Poppea, Aktea, kochały go prawdziwie. Po śmierci Poppei, którą spowodował swoją brutalnością, uczuł żal godzien niemal litości; długi czas szukał wszystkiego co ją przypominało, usiłując cień jéj wywołać podsuwaniem innych osób do niej podobnych. Poppea także żywiła dlań uczucia, którychby kobiéta wyższa pod każdym względem, nie mogła żywić dla pospolitego człowieka. Poppea, zalotnica wielkiego świata, zręczna w podnoszeniu uroku nadzwyczajnej swéj piękności i nadzwyczajnej elegancyi, wyszukaną prostotą, zachowywała w sercu swoim mimo licznych zbrodni, religią instynktowną, skłaniającą się ku judaizmowi. Zdaje się że Nero przekładał szczególnie te kobiety, u których zalotność mieszała się z pewną pobożnością. Te zmiany ciągłe pokory i dumy u kobiety, która wychodziła na ulicę zawsze z zastonioną twarzą; ta mowa miła, a szczególnież to pielęgnowanie własnej piękności, które ją raz, gdy ujrzała w zwierciadle plamkę na twarzy, popchnęło do rozpaczu czysto kobiécéj, chcącój śmiercią zakończyć; wszystko to pociągało żywo wyobraźnię gorącą młodego rozpustnika, na którego przepotężnie oddziaływały, tego rodzaju pozory wstydliwéj czystości.

Pobożna i lubieżna Poppea, trzymała go w niepewnym kręgu uczuć, odpowiednich tym jéj usposobieniom. Już przypuszczać można ze samych okoliczności jéj śmierci, że w swych najpoufalszych stosunkach z Neronem, nie pozbyła się nigdy dumy, jaką mu okazywała w samym początku.

Co się tyczy Aktei, jeżeli nie była chrześcianką tak jak sądzono, to jednak nie brakło jéj téj cechy. Była ona niewolnicą pochodzącą z Azji, czyli z kraju, z którym chrześcianie Rzymu w codziennych zostawali stosunkach. Piękne niewolnice około których kręcili się wielbiciele, wyznawały zazwyczaj religie wschodnie. Aktea odznacza-

ła się zawsze prostotą i nie rozłączała się nigdy zupełnie ze swym małym światkiem niewolników. Należała zrazu do rodziny *Annaea*, około której grupowali się chrześcianie; dopiero popchnięta przez Senekę, odegrała w najhaniebniejszej i najtragiczniejszej okoliczności rolę, która zważywszy—jak powiada Tacyt—jój niewolnicze pochodzenie, nazwaną być może uczciwą. Ta biedna dziewczyna, skromna, łagodna, otoczona, jak kilka pomników wskazuje, gromadką ludzi z imionami prawie chrześcijańskimi (*Claudia*, *Felicula*, *Stephanus*, *Crescens*, *Onesimus*, *Artemas*, *Helpis*) była pierwszą miłością młodzieńczego Nerona. Pozostała mu wierną aż do śmierci, widziano ją bowiem oddającą pobożnie ostatnie posługi jego zwłokom, od których wszyscy odsunęli się ze wstrętem.

I jakkolwiek dziwnem się to wydać może, kobiety kochały Nerona. Byłto potwór, stworzenie dziwaczne, niekształtne, wytwór nieforemny natury, ale bądźco bądź, nie był potworem pospolitym. Rzeczy można, że los, szczególnym kaprysem, chciał na nim urzeczywistnić ów *hirocerf* logików: istotą mięszaną, fantastyczną, bezładną, najczęściej nienawistną, ale nad którą chwilami, trudno się było nie litować.

Uczucie kobiet, opierające się więcej na spółczuciu i guście osobistym aniżeli na ściśletem zastosowaniu etyki, dawało się opanować odrobiną urody lub dobroci. Będą one zawsze pobłażliwe przede wszystkim dla artysty zbłąkanego szałem sztuki, dla Bajrona, ofiary swj chimery, posuwając nawet naiwność aż do upatrywania istotnych czynów w jego poezyi, często imaginacyjnej.

W dniu, w którym Aktea złożyła skrwawionego trupa Nerona w grobie Domicjana, płakała zapewne nad profanacją zalet jego, jój tylko znanych.

Neron, jakkolwiek obdarzony miernym talentem, miał przecież niektóre znamiona duszy artysty; malował dobrze i rzeźbił, wiersze jego były składne mimo pewnej emfazy studenckiej, a pomimo wszystkiego co o nim mówiono, układał je sam. Swetoniusz widział nawet jego autografy, pokryte poprawkami. Dalej umiał on ocenić przepyszny krajobraz Subiacum, tam sobie zbudowawszy przepyszną siedzibę letnią. Umysł jego w obserwacyi natury, sądził trafnie: miał zamikowanie do doświadczeń, do nowych wynalazków, do ciekawych pomysłów; pragnął znać przyczyny i odróżniał doskonale szarlatanizm od nauk nazywanych magicznymi, jak również nicość zupełną od wszelkich religij społecznych. Swetoniusz opowiada, w jaki sposób obudziło się w nim powołanie na śpiewaka. Zawdzięcza on wtajemniczenie się w tę sztukę, najsławniejszemu współczesnemu cyтарыście w Terpnos. Widziano go przepędzającego nocę całe z tym muzykiem, którego grę studyował z natężeniem, z upojeniem, unosząc się chciwie w krainy innego świata, rozkwierającego się przed nim, w tém zetknięciu z wielkim artystą. Ztąd też datuje się jego wstręt do Rzymian, w ogóle słabych znawców, a szczególne względy dla Greków,

jedynie zdolnych, jak mu się zdawało, ocenić jego samego jak należy, i dla ludów wschodnich, które mu przyklaskiwały z zapamię. Odtąd nie pożądał innej sławy, tylko tej którą sztuka daje; nowe życie rozwarło się przed nim: zapomniał o sobie jako o cesarzu. Ktokolwiek wątpił o jego talencie, był uważany za zbrodniarza stanu; nieprzyjaciołmi Rzymu byli ci, którzy go nie wielbili.

Affektacya jego w dzierzeniu berła mody, była niezaprzeczenie śmieszna; atoli przyznać trzeba, że było w tém więcej polityki, nizeliby się zdawało. Pierwszym bowiem obowiązkiem Cezara w owych czasach zepsutych, było zajmować lud. Monarcha był przedewszystkiém wielkim organizatorem rozrywek, a jako przedstawiciel zabaw, musiał ostatecznie wmieścić się w nie osobiście. Wiele szkarady zarzucanej Neronowi, potrzeba sądzić ze stanowiska obyczajów rzymskich i surowej powagi, do jakiej dotychczas ogół Rzymian był przyzwyczajony. Świat ten mężki oburzał się, widząc cesarza udzielającego audyencji senatowi w haftowanym szlafroku, odbywającego przeglądy wojsk w negliżu, bez broni, z fularem na szyi, celem ochronienia swego głosu. Prawdziwi Rzymianie oburzali się słusznie na sprowadzenie zwyczajów Wschodu, atoli nieuniknioném było, iż najstarsza i najbardziej zużyta cywilizacya, owładnęła swém zepsuciem młodszą. Już Kleopatra i Antoniusz, marzyli o cesarstwie wschodniém. Przypisywano Neronowi myśl tę samą; on téż doprowadzony do ostateczności, chciał izby mu oddano prefekturę w Egipcie. Od Augusta do Konstantyna, dostrzedz się daje w każdym roku postęp w zwycięztwie tej części cesarstwa, która mówiła po grecku, nad tą, która mówiła po łacinie.

Trzeba sobie wreszcie przypomnieć, że szał tkwił w powietrzu. Wyjąwszy chwile doskonalszego związku społeczeńskiego arystokracji, który doszedł do władzy z Nerwą i Trojanem, ogół brał życie na żarty albo igrał z życiem. Osobistością przedstawiającą zbiorowo te czasy, „człowiekiem uczciwym” tego panowania transcendentalnej niemoralności, był Petroniusz. We dnie sypiał on, w nocy pracował i bawił się. Nie był marnotrawcą, wyniszczającym ducha i ciało w grubych rozkoszach; lecz sybarytą, głęboko obznajmionym z umiejętnością rozkoszy i zabaw. Naturalna swoboda jego mów i czynów, nadawała mu pozór prostoty, którą czarował. Podczas gdy był prokonsulem w Bitynii a potem konsulem, okazał zdolności niepospolite w rządzeniu. Powróciwszy do życia rozpusty, a raczej do fanfaronady tego życia, stał się jednym z poufnych w kółku Nerona, a zarazem wyrocznią dobrego gustu. Nic nie mogło być piękniem i czarującym, czego Petroniusz nie pochwalił. Obrzydły Tigellinus, rządzący podłością i złością, zląkł się rywala, przechodzącego go znawstwem w rzeczach rozkoszy i udało mu się zgubić go. Petroniusz szanował siebie samego zanadto, ażeby walczyć z tym nędznikiem, lecz nie chciał tracić tak nagle życia. Przeciąwszy więc sobie żyły, kazał krew zatrzymać, potem znowu otworzył ranę, rozmawiając z przyjaciółmi o drobiazgach, słuchając ich mowy nie o nieśmiertelności duszy lub zda-



niach filozofów, ale o piosnkach poezyi lekkiej. Tę również chwilę obrał na wynagrodzenie niektórych ze swych niewolników i na ukaranie innych. Zasiadł do stołu i zasnął. Sceptyk ten obłudny a wykwintny, pozostawił nam romans p. t. *Elegantiae arbiter*, takiej werwy i takiego dowcipu, a zarazem pełen tak wyrafinowanego zepsucia, że nam daje najdoskonalsze zwierciadło czasów Nerona. Nie każdy, co chce, może być królem mody.

Nie można zaprzeczyć, że zamiłowanie sztuki, nie było u ludzi owego czasu szczere ani też głębokie. Nie tworzono prawie wcale pięknych dzieł, ale poszukiwano chciwie pięknych dzieł ubiegłych wieków. Ten sam Petroniusz zanim umarł, pogruchotał swą wagę myrrhijską, ażeby się nie dostała Neronowi.

Przedmioty sztuki dochodziły do cen bajecznych. Neron przepadał za niemi. Opanowany ideą wielkości, ale nie łącząc z nią zdrowego rozsądku, marzył o pałacach czarodziejskich, o miastach takich jak Babilon, Teby i Memfis. Mieszkanie Cezara na Palatynie (dawny dom Tyberjusza) było dosyć skromne, zachowując charakter prywatny aż do czasów Kaliguli. Ten, którego uważać trzeba za twórcę szkoły rządzenia, w jakiej Neron według zdania wielu, doszedł do szczytu, nie mając sobie równego, powiększył znacznie dom Tyberjusza. Neron udawał, że mu w nim za ciasno, nie znajdując dosyć pocisków sztyrczych na swoich poprzedników, za to, że się zadowalniał lada czem. Kazał sobie zbudować tymczasową siedzibę, dorównywającą ogromnym pałacom Chin i Assyrii. Pałac ten, który nazywał „przechodnim,” zamysłując go później wykończyć, był jakby małym światem. Ze swemi portykami na trzy mile długości, z parkami, w których się pasty trzody, z pustkowiami ogromnemi, z winnicami, lasami, zajmował przestrzeń daleko większą, aniżeli połączone razem: Luwr, Tuillery i Pola Elizejskie. Ciągnął się od Pałatynu aż do ogrodów Mecenasa, położonych nad wzgórzami Esquilinu. Był on istnym czarem; architekci: Severus i Celes dokonali cudu. Neron chciał go wykończyć w ten sposób, iżby się mógł nazywać „Domem złotym.”

Jednano go sobie opowiadaniem o szalonych ogromem przedsięwzięciach, które unieśmiertelniają jego pamięć. Przedewszystkiemi pragnął Rzym odbudować od dołu do góry i nazwać go *Neropolis*.

Rzym od wieku stawał się cudem świata, wielkością swoją dorównywając dawnym stolicom Azji. Budynki jego były piękne, ale ulice wydawały się obrzydłe kawalerom modnym, ponieważ smak ówczesny lubował się coraz bardziej w budowlach dekoracyjnych. Goniono za owym efektem całości ogromu i wyszukiwano tysiące fałaszek, nieznanych dawnym Grekom.

Neron był na czele tego ruchu; Rzym, o jakim marzył, miał być czemś podobnym do dzisiejszego Paryża, czyli miastem sztucznym,

pobudowaném na rozkaz wyższy, planem którego, usiłował przede-wszystkiém zyskać sobie podziw cudzoziemców i prowincyj.

Młody szalenięc upajał się tymi chorobliwemi projektami. Chciał przytém mieć widowisko czegoś dziwnego, wspaniałego, godnego artysty; pragnął wydarzenia, któreby stanowiło epokę w jego panowaniu. „Aż do moich czasów—mówił—nie znano rozciągłości władzy, dozwolonej panującemu.” Wszystkie te poddmuchy wewnętrzne bezładnej fantazyi, zdawały się oblekać w ciało, w wydarzeniu równie dziwném a w następstwach swych ważném.

Niebezpiecznóm bywa, budzić w głowach słabych manią podpalania zaraźliwą, a często połączoną z hallucynacją. Jednym z rysów charakteru Nerona, była niemożność oparcia się zbrodni, która go raz ogarnęła niby idea stała. Pożar Troi, którym się zabawiał w dzieciństwie, dręczył jego wyobraźnię straszliwie. Jedną ze sztuk, którą kazał przedstawić, był *Pożar* Afranjusza uwidoczniiony na scenie; w jednym zaś ze swych napadów samolubnej wściekłości przeciw losom, zawołał: „Szczęśliwy Priamie, który mogłeś własnymi oczami oglądać zniszczenie swęj ojczyzny zarazem i miasta!” Innym razem, słysząc przytoczony wiersz grecki z Eurypidesa Bellorophon:

„Gdy mnie zbraknie, niechaj ogień ziemię pochłonie!”

— Nie—zawołał—niechaj ja będę żywy!

Tradycya, według której Neron spalił Rzym jedynie dlatego, ażeby mieć powtórny pożar Troi, jest zapewne przesadzoną, ponieważ Neron był nieobecnym w chwili gdy się ogień w mieście ukazał, atoli nie jest ona pozbawioną wszelkiej prawdy. Demon dramatów przewrotnych, który go opanował, stał się tak jak u zbrodniarzy innej epoki, jednym z głównych czynników straszliwej zbrodni.

Dnia 19 lipca r. 64, wybuchł pożar w Rzymie z niezmierną gwałtownością. Rozpoczął się przy bramie w pobliżu wielkiego cyrku, przytykającego do Palatynu i do wzgórza Coelius. Ta część miasta zawierała wiele sklepów, pełnych materyału palnego; tam też ogień wzmógł się z niezmierną szybkością. Ztamtąd przeniósł się na Palatyn, zniszczył Velabrum (świątynię Herkulesa), Forum, a przebiegłszy wzgórze i uszkodziwszy Palatyn zeszedł na dół, pochłonawszy w ciągu sześciu dni i siedmiu nocy, całą część miasta ścieśnioną a poprzerzynaną wązkiemi uliczkami. Zniszczenie ogromnej liczby domów u stóp Esquilinu, zatrzymało go na czas jakiś, poczem rozżarzył się na nowo i trwał jeszcze trzy dni. Liczba ludzi popalonych była znaczną. Z czterestu części na jakie miasto było podzielone, trzy zostały zupełnie zniszczone, z siedmiu innych, pozostały tylko poczerwiałe mury. Rzym był miastem niezmiernie ciasno zabudowaném, z ludnością gęsto osiadłą. Klęska okazała się straszliwą, taką jakiej jeszcze nigdy dotąd nie widziano.

W chwili wybuchu pożaru, Neron znajdował się w Antium. Powrócił dopiero wtedy do miasta, gdy już ogień zbliżał się do domu „przechodniego.” Niepodobna było ocalić czegokolwiek z płomieni.

Domy cesarskie Palatynu, nawet dom „przechodni“ z przyległościami, poszły w gruzy. Widocznie nie bardzo dbał Neron o zachowanie stolicy. Wspaniała groza widowiska, wprawiła go w zachwyt. Utrzymywano później, że wszedłszy na wieżę, przypatrywał się pożarowi, i że ubrany teatralnie z lirą w ręku, śpiewał wzruszającą elegię starożytną o zniszczeniu Ilium.

Była to legenda, która urosła spólcześnie a wzmogła się twierdzeniami przesadzonemi późniejszych, lecz co do jednego punktu opinia ogólna wyraziła się jednoznacznie natychmiast, mianowicie że pożar nakazanym był przez Nerona, a przynajmniej odżywionym przez niego wtedy gdy już miał zagasnąć. Podobno widziano osoby jego dworu, podpalające w różnych stronach. W niektórych miejscach — mówiono — ogień jął się na nowo, podłożony przez ludzi udających pijanych. Wydawało się też, że pożar wybuchnął nagle na kilku punktach odrazu. Opowiadano, że widziano podczas pożaru żołnierzy i strażników, mających czuwać nad ugaszeniem ognia, podniecających go właśnie i przeskakujących niosącym ratunek a to z dołączeniem groźby i jakby z obowiązku spełnienia danych sobie rozkazów. Ogromne budowle kamienne, przytykające do siedziby cesarskiej a których nabycia Neron pożądał, zburzone zostały jak gdyby w czasie oblężenia. Kiedy ogień wszczął się na nowo, wybuchnął on w budynkach należących do Tigellina; co zaś stwierdziło podejrzenia, to że po pożarze, Neron pod pozorem oczyszczenia z gruzów miasta swoim kosztem i zostawienia tym samym wolnego miejsca właścicielom, nie pozwolił nikomu zbliżyć się tam. Co gorsza, widziano wnet, jak umiał korzystać z gruzów swęj ojczyzny; bo pałac nowy, ów „Dom złoty“, który był oddawna marzeniem jego pieszczoném, zaczął się wznosić na miejscu dawnęj siedziby, zwiększony przestrzenią którą pożar oczyścił i wymiótł należycie. Mniemano powszechnie, że chciał przygotować miejsce na nowy pałac, usprawiedliwić tém samym odbudowanie dawno obmyślane, wy dobyć pieniądze potrzebne ze sprzętów wyratowanych z pożaru, wreszcie zadość uczynić swęj szalonej próżności, która mu doradzała dlatego odbudowanie Rzymu, iżby się ono datowało od niego, jego przyjmując nazwanie. Wszystko składa się na to, że posądzenie nie było oszczerstwem. Prawda w ogóle, gdy chodzi o Nerona, może nie być wcale prawdopodobną. Niechaj nikt nie mówi, że przy swęj potęgze, mógł on środkami daleko prostszemi aniżeli pożar, zdobyć sobie potrzebną na ten cel przestrzeń. Potęga bowiem imperatorów rzymskich, bez granic w jednym kierunku, rozbijała się w innym, o granice zwyczajów i przesądów ludu konserwatywnego, przywiązanego w najwyższym stopniu do swych pomników religijnych. Rzym pełen był świętych przybytków, ołtarzy, *areae*, budynków, których żadne prawo wywłaszczenia znieść nie mogło. Cezar i wielu innych cesarzy, widzieli wiele swych zamiarów użyteczności publicznej, szczególnież co się tyczy porównania prądu Tybru, pokrzyżowanych przez tę przeszkodę. Ażeby więc spełnić swęj plan szalony, Neron nie miał

rzeczywiście innego środka tylko pożar. Położenie podobne było do tego jakie istnieje w Konstantynopolu i innych wielkich miastach muzułmańskich, odnowieniu których stoją na przeszkodzie meczety. Na Wschodzie pożary nie wiele pomagają, bo grunt uważany jako dziedzictwo niesprzedalne wiernych, pozostaje świętością. W Rzymie gdzie religia przywiązana była więcej do budynku aniżeli do placu, środek taki okazał się skutecznym. Nowy Rzym z ulicami wytkniętymi szeroko, odbudował się dosyć szybko według planów cesarza.

Co tylko było w mieście uczciwych ludzi, wszystko czuło się oburzone. Zniknęły najszacowniejsze starożytności Rzymu, domy dawnych wodzów ozdobione tryumfalną zdobyczą, przedmioty święte, trofea, starożytne *ex-vota*, świątynie najbardziej czczone, i cały materiał dawnego kultu Rzymian. Nastąpiła niby żałoba po wspomnieniach i legendach ojczyzny. Neron nadaremnie starał się własnym kosztem ulżyć nędzy której był przyczyną; nadaremnie chciano w ogół wmówić, że ostatecznie miasto się oczyści i zyska pod względem sanitarnym, że nowe miasto przewyższy stare; żaden prawdziwy Rzymianin nie dał się obalać. Wszyscy ci, dla których miasto było czémś inném aniżeli prostém nagromadzeniem kamieni, uczyli się rażeni w serce. Skrzywdzono sumienie ojczyzny. Jak wynagrodzić stratę, tu kościoła zbudowanego przez Ewandra, tam przez Serwiusza Tulliusza, przybytku świątyni Jowisza Statora, pałacu Numy, tych penatów ludu rzymskiego, tych pomników tyłu zwycięstw, tych arcydzieł sztuki greckiej? Co znaczyły w obec tego, szerokie perspektywy, linie proste bez końca, i cała ta szumna parada? Ani ceremonie pokutnicze, ani zapytywanie ksiąg Sybilli, nie zatarły uczucia zbrodni i hańby. Neron rozumiał, że się posunął zadaleko.

## II.

### Wymordowanie chrześcijan. — Estetyka Nerona.

I wtedy przyszedł mu na myśl plan piekielny. Zastanawiał się, czy nie istnieją jacy nędznicy, bardziej jeszcze niecierpieni od niego przez obywateli rzymskich, na których mógłby zepchnąć całą przyczynę nienawistną pożaru. Przypomniał sobie chrześcijan. Wstąpił jaki uczuwał do świątyni i budynków najbardziej szanowanych przez Rzymian, mógł uprawdopodobnić przypuszczenie, jakoby chrześcijanie byli sprawcami pożaru, mając na celu zniszczenie tych przybytków. Rzym był miastem arcy-religijném, każdego więc protestującego przeciw religii narodowej, poznawano łatwo. Trzeba sobie przypomnieć, że niektórzy z najsurowszych żydów nie chcieli nawet dotykać monety, przedstawiającej bożyszcze, uważając za taką samą zbrodnię patrzenie na nią jako i noszenie. Inni nie chcieli przechodzić przez bramę miejską, ozdobioną posągami. Podniecało to szyderstwo i złość ludu.

Być też może, że rozmowy chrześcian o zniszczeniu ostatecznym, ich ponure prorocтва, ich powtarzania że świat rychło się skończy i skończy przez ogień, przyczyniły się do tego, że ich wzięto za podpalaczy. Jakież więc *piaculum*, jaka pokuta, mogła być skuteczniejszą od męczarni nieprzyjaciół bogów? Skoro ich lud ujrzy okrutnie męczonych, zawoła: „Oto są bezwątpienia winni.“ Trzeba także przypomnieć, że opinia publiczna wierzyła w prawdziwość najstraszniejszych zbrodni, przypisywanych chrześcianom.

.....Podczas klęski nareszcie zachowanie się chrześcian, mogło się wydać podejrzaném; niektórzy z nich, zapewne nie okazywali dosyć żalu nad spalonymi świątyniami. Oskarżenia o podpalanie dotyczyły często żydów, z przyczyny ich odosobnionego życia; taż sama zbrodnia była jedną z tych *flagitia cohaerentia nomini*, należących do oznaczenia chrześcianina.

Chrześcianie przeto nie przyczyniwszy się w niczém do owéj katastrofy, mogli być wszakże uważani za podpalaczy. Zniszczenie Rzymu przez płomień, było wprawdzie marzeniem żydów i chrześcian, ale było tylko marzeniem; pobożni sekciarze zadawali sobie widzeniem w duchu Świętych i aniołów, przyklaskujących z góry temu, co uznawali za własne zmazanie winy.

Trudno uwierzyć, iżby myśl oskarżenia chrześcian o podpalenie w miesiacu lipcu, przyszła Neronowi sama przez się. Zapewne, że gdyby był ich znał z blizka, byłby ich nienawidził serdecznie. Chrześcianie bowiem nie mogli zrozumieć zasługi w pozowaniu na „pierwszego tenora“ na scenie społeczeńskiej, a właśnie doprowadzało do rozpaczny Nerona, nieuznanie jego talentu artystycznego. Atoli Neron słyszał tylko zapewne o chrześcianach, nie będąc jednak nigdy z nimi w osobistej styczności. Przez kogóż więc dostał się do niego, ohydny podszept?

Prawdopodobnie, w kilku naraz częściach miasta, powzięto podejrzenia. Sekta w owéj epoce była dobrze znana w świecie urzędowym, mówiono o niej wiele. To także niezwyčajnie, że pomiędzy obietnicami danymi przez niektóre osoby Neronowi, w razie gdyby mu odebrano władzę, byłoby i panowanie nad Wschodem a głównie nad królestwem Jeruzolimy. Idee messyaniczne żydów rzymskich, przybierały często formę nadziei cesarstwa rzymsko-wschodniego; Wespazjan skorzystał później z tych marzeń, od czasów zaś Kaliguli aż do śmierci Nerona, intrygi żydów nie ustawały w Rzymie. Żydzi przyczynili się nie mało do przyjścia na tron i utrzymania się na nim, rodziny Germanicusa. Czy to przez Heroda, czy przez innych intrygantów, oblegali oni często pałac cesarski, ażeby zgubić swych przeciwników. Agryppa II byłbardzo potężnym pod Kaligulą i Klaudyuszem, Tyberysz Alexander był jednym z pierwszorzędných dygnitarzy. Poppea ochraniała żydów. Rzym posiadał nadto aktorów i aktorki pochodzenia żydowskiego; pod Neronem, była to droga naturalna dojścia do łaski cesarskiej. Między innemi wymieniają niejakię Ali-

tyrusa, mimika żydowskiego, bardzo lubionego przez Nerona i przez Poppeę. Neron nienawidzący wszystkiego co było rzymskim, chętnie zwracał się ku Wschodowi i otaczał się ludźmi ze Wschodu, chętnie też tam zawiązywał intrygi.

Czy to wszystko wystarcza jednak do ugruntowania hipotezy prawdopodobnej? Wolnoż przypisywać nienawiści żydów przeciw chrześcian, ów kaprys dziki, skazujący setki najniewinniejszych na najokrutniejsze męczarnie? Zapewne że podejrzany wydaje się przystęp żydów do Nerona i Poppel, właśnie w chwili, gdy cesarz powziął myśl piekielną przeciw uczniom Chrystusowym. Tyberyusz Alexander był właśnie naówczas w łaskach u cesarza, Rzymianie wreszcie łączą w jedno pojęcie chrześcian i żydów, dlaczegoż na ten raz umiano ustanowić taką różnicę? Dlaczegoż żydów, do których Rzymianie czuli taką samą niechęć moralną i religijną jak do chrześcian, nie tknięto tym razem? Wszakże męczarnie żydów, były równie skutecznym *piaculum* co i chrześcian?

Klemens Rzymianin, autor przypisywanego mu listu, daje objaśnienie w ustępie, w którym mówi o wymordowaniu chrześcian przez Nerona, w sposób bardzo ciemny, ale niemniej charakterystyczny. Wszystkie te wykrycia, twierdzi, są „skutkiem zazdrości.” Wyraz ten „zazdrość” oznacza tu rozterki wewnętrzne, pomiędzy członkami jednej korporacji. Ztąd rodzi się podejrzenie, wzmocnione faktem pewnym, że żydzi przed zburzeniem Jerozolimy przesładowali chrześcian. Tradycja bardzo rozpowszechniona w IV wieku niesie, że śmierć Ś. Pawła i Piotra, spowodowaną była nawróceniem na chrześcianizm jednej z ulubienic Nerona. Lecz z osobistością tak fantastyczną jak Neron, wszelkie przypuszczenia są ryzykowne. Być może, że wybór chrześcian, jako ofiar, był zachcianką Cezara lub Tigellina. Neron bowiem nie potrzebuje nikogo, ażeby powziąć zamiar, zdolny swoją potwornością pomieścić wszystkie zwyczajne zasady indukcji historycznej.

Tak więc uwięziono zrazu pewną liczbę osób, podejrzanych o brań udziału w sekcie nowej i wepchnięto je do więzienia, które już samo przez się było męczarnią. Osoby te uczyniły wyznanie swój wiary, co już uważanem było za przyznanie się do zbrodni. Te pierwsze więzienia, spowodowały masę innych. Większość uwięzionych zdaje się była neofitami i ci a nie prawdziwi chrześcianie, mogli wśród tortur osłabnąć na duchu. Ludzie rozsądni uważali oskarżenie o podłożenie ognia, jako nadzwyczaj słabo argumentowane. „Ich prawdziwą zbrodnią—mówiono—jest nienawiść Nerona dla rodu ludzkiego.”

Jakkolwiek wielu Rzymian wiedziało, że podpalenie było dziełem Nerona, jednak mieli to za zręczny manewr policyjny, mający na celu ochronienie miasta od zarazy arcy-zabójczej. Tacyt mimo wyrażenia litości, tegoż jest zdania. Swetoniusz zaś, uważa środek ten przedsięwzięty przez Nerona, to jest męczarnie zadawane zwolennikom „nowego i szkodliwego zabobonu” za chwalebne.

Tortury te, okrutne były. Niepodobna wyobrazić sobie większego wymysłu w okrucieństwie. Prawie wszyscy chrześcianie *humiliores*, czyli ludzie najubożsi, uwięzieni zostali. Męczarnia więc tych nieszczęsnych, kiedy chodziło o zbrodnię majestatu lub o świętokradztwo, zależała na oddaniu ich na pastwę zwierzętom albo na spaleniu żywcem w cyrku, z poprzedzeniem obficie wydzielonej chłosty.

Jednym z najohydniejszych rysów rzymskiego obyczaju, była właśnie przemiana tych męczarni w uroczystość, a widowisko morderstw w igrzysko publiczne. Persya w swych uniesieniach fanatyzmu, lubiła się również pastwić z pewną ponurą rozkoszą, atoli nigdy przed panowaniem Rzymu, nie stwarzała sobie z tych męczarni rozrywki publicznej, przedmiotu do śmiechu i do oklasków. Amfiteatru (cyrki) (naówczas drewniane, bo murowane pochodzą z epoki późniejszej), stały się miejscem egzekucyi; trybuni zaopatrywali arenę. Skazańcy całego świata pielgrzymili do Romy, ażeby stać się łupem cyrku i rozrywką ludu. Dodajmy do uzupełnienia obrazu zamęt, jaki panował we wszystkich pojęciach, albowiem proste przestępstwa karane były śmiercią, a nadto zdarzały się bardzo liczne pomyłki w wyrokach, skutkiem ztęj procedury kryminalnej. Skazańcy byli uważani nie jako zbrodniarze, ale jako nieszczęśliwi; wszystkie bowiem rzesze uważano za niewinnych: *innocia corpora*.

Lecz do barbarzyństwa męczarni, dołączono szydełstwo. Ofiary były zachowywane na dzień świąteczny, przezco nadawano im charakter expijacyjny.

W tęg chwili Rzym doczekał się dni nadzwyczajnych. *Ludus matulinus*, igrzysko przeznaczone na walkę zwierząt, przedstawiło zamiast tęg walki, szereg ofiar nieskończony. Skazańcy, pokryci skórami dzikich zwierząt, wypuszczeni byli w arenę, gdzie ich psy rozdzierały; innych krzyżowano, innych nareszcie poubierano w tuniki zaprawne olejem, smołą lub żywicą i przywiązywano do słupów na to, ażeby świecili jako pochodnie podczas nocy. Kiedy się przeto zmierzchno, zapalano te żywe pochodnie, a Neron dla lepszego ukazania widowiska, otwarł wspaniałe swe ogrody ciągnące się ponad Tybrem. Tam tęg znajdował się cyrk, którego budowę zaczął Kaligula, kończył Klaudyusz, a w którym obelisk jeden wydobyty z Heliopolis, stanowił metę. Ztąd przypatrywano się już morderstwom przy pochodniach. Kaligula tam się przechadzając, kazał przy blasku pochodni, ścinać głowy pewnęg liczbie senatorów i dam rzymskich. Pomysł jednak zastąpienia latarni żywemi ludzkimi ciałami, wydawał się arcy dowcipnym. Jakkolwiek ten sposób palenia żywcem nie był nowym, bo był on narzucony jako kara dla podpalaczy i zwał się *tunica molesta*, jednak dotąd nie przerobiono go jeszcze na system iluminacyi. Dopiero Neron, przy blasku tych straszliwych pochodni, ukazał się w arenie to zmieszany z tłumem w sukni żokeja, to powożący swym rydwanem i oczekujący oklasków.

Okazano jednak kilka oznak litości. Nawet ci, którzy uważali chrześcian jako winnych, uczyli wstręt do tych okrutnych igraszek. Ludzie rozsądni zgadzali się na wymaganie „pożytku publicznego“ t. j. oczyszczenie miasta z ludzi niebezpiecznych, ale nie chcieli, iżby poświęcano tyle ofiar, dzikości jednego człowieka.

Nie wyłączano z tej orgii zbrodniczej ani kobiet, ani dziewic. Zniosły one bezceństwo, na które niema nazwiska. Ustalił się zwyczaj za Nerona, iż skazańcy odgrywali w amfiteatrze role mitologiczne, pociągające za sobą śmierć aktorów. Te obrzydłe widowiska, w których maszyneryę doprowadzono do szczytu doskonałości, były rzeczą nową; Grecya byłaby zdziwioną, jeśliby jój przypisać chciano podobne zastosowanie estetyki do okrucieństwa, tortury do sztuki. Nieszczęsnego, ubranego bogato w szaty bożka lub bohatera, wprowadzano na arenę; przedstawiał on męczarnią swoją jakąś scenę tragiczną, z baśni uświęconej rzeźbą lub poezią. Więc jeden był Herkulesem, spalonym żywcem na górze Oeta, zdzierającym ze siebie skórę z palącą się żywicą; drugi Orfeuszem poszarpanym w kawały przez niedźwiedzi, inny Pazyfem znoszącym uścisk byka, inny Attisem pokrwawionym; czasami znowu były to straszliwe maskarady, z ludźmi przebranymi za kapłanów Saturna, z czerwonym płaszczem na ramionach, a w towarzystwie kobiet jako kapłanek Cerery; innym razem odgrywano sztuki dramatyczne, przedstawiano bohaterów, którzy ponieśli śmierć rzeczywistą, lub pojedyncze czyny tragiczne, jak up. Muciusza Scewoli. Nareszcie Merkury z różczką przypaloną w ogniu, dotykał się każdego trupa dla sprawdzenia czy żyje, a słudzy przebrani za Platona lub Orcusa ciągnęli umarłych za nogi, dobijając oddychających jeszcze młotami. Kobięty chrześcijańskie najszanowniejsze, musiały się poddać tym grom potwornym. Jedne grały role Danaid, inne role Dirce. Trudno oznaczyć w czém bajka o Danaidach, dostarczyć mogła krwawego obrazu, jakiego się domagał Neron i jego orszak. Być może, że nieszczęśliwe przedstawiały wszelkie męki Tantalą, dopóki po godzinach męki nie skonały.

Przedstawienia piekieł, były w modzie. Na kilka lat przedtém, Egipcianie i Nubijczycy, dawali w Rzymie z wielkiém powodzeniem przedstawienia okropności świata podziemnego.

Co do męczarni Dirce, niema wątpliwości. Znaną jest olbrzymia grupa, nazwana „Bykiem Farnezyjskim“, zachowana do dziś dnia w muzeum w Neapolu. Arafion i Zethus przywiązują Dirce do rogów nieposkromionego byka, który ją włóczy za sobą po skałach i cierniach Cytheronu. Ten lichy marmur rodyjski, przeniesiony do Rzymu za czasów Augusta, wznicił tam powszechne uwielbienie.

(Dokończenie nastąpi).



## BIBLIOTEKA UNIwersYTETU WARSZAWSKIEGO.

Zamierzając w ogólnych rysach skreślić stan obecny największej biblioteki naszej, od roku 1871 Biblioteką Uniwersytetu Warszawskiego zwaną, nie będę opisywał dziejów gmachu, w którym się mieści. Czytelnik ciekawy pod tym względem szczegółów, znajdzie je w Tygodniku Ilustrowanym, w artykule pana Skimborowicza p. t. „Pałac Kaźmirowski i Biblioteka Główna“ (tom XII str. 77—90 i 122). Nadmienię tylko, że gmach ten, w pięknej położony miejscowości, na wzgórzu, wpośród drzew, krzewów i zieleni, u stóp których poważna Wisła srebrnym szlakiem się toczy, różne przechodził koleje, podlegał zmiennym wypadkom losu, rozmaite miał przeznaczenia. Obecnie znany jest już to pod nazwą pałacu Kaźmirowskiego, dlatego że niegdyś stanowił letnią rezydencją Jana Kazimierza, już to, wraz z otaczającymi go gmachami pod nazwą koszar Kadecckich, gdyż w drugiej połowie wieku XVIII mieścił się tu korpus kadetów. W dniu 19 czerwca 1797 roku otworzono w koszarach Kadecckich kantor lombardu; w czasie wojen Napoleona 1-go za Księstwa Warszawskiego, urządzono w pałacu szpital wojskowy, przy końcu 1806 r. przez dwa lata mieszczący się; w r. 1808 otworzono tu najprzód szkołę prawa a następnie w rok potem szkołę lekarską. W r. 1814 pożar zniszczył większą część zabudowań koszar Kadecckich, do odbudowania których już w dniu 3 marca 1815 r. przystąpiono. Przy końcu r. 1816 do Kaźmierowskiego pałacu przeniesiono liceum warszawskie, którego biblioteka stała się zawiązkiem dzisiejszej. Minister Żubieński wcielił do jęj zbioru wiele ksiąg, które pozyskał z klasztorów w Lubieniu, Obrze, Bledzewie, Paradyżu, tudzież od kapituły pułtuskiej i częścią przez ofiary z daru obywateli, częścią przez kupno z własnych funduszów. Od r. 1817 t. j. kiedy się uorganizował uniwersytet, przybrała nazwę uniwersyteckiej. Po zwinięciu w r. 1819 w Królestwie zakonów, piérwszy jęj dyrektor Linde jeździł po klasztorach i przewiózł ztąd do Warszawy około 50,000 ksiąg drukowanych i tysiąc kilkaset rękopisów. Stanisław Potocki i professor Chromiński oddali do jęj składu swe zbiory. Następnie wzbogacona niezmiernie przez kupna na licytacyach przed r. 1830 liczyła przeszło 120,000 ksiąg 1,500 rękopismów. W roku 1834 przewieziono z nięj do Petersburga dzieła i rękopisma w językach ob-

cych, mianowicie z oddziałów: historycznego i filozoficznego, pozostawiono zaś dzieła teologiczne, medyczne i książki w języku polskim.

To samo stało się z biblioteką Towarzystwa Przyjaciół Nauk, której dzieła polskie weszły do składu biblioteki uniwersyteckiej, ta zaś pomnożona książkami pozostałymi po instytucie pedagogicznym, po szkole politechnicznej, po szkole Dominikanów i wielu innych, obdarzona dwukrotnie darami Cesarskimi w r. 1840 i 1843, wynoszącymi 21,669 tomów i zasilana zakupami, wzrosła do znacznych rozmiarów, stanowiąc bibliotekę główną okręgu naukowego warszawskiego. W skład jej weszły również biblioteki: komisji kodyfikacyjnej, komisji spraw wewnętrznych i duchownych, rady stanu, biblioteka ministra Turkułła, senatora Płatonowa, oraz biblioteczka Cyprysińskiego. Za czasów istnienia szkoły głównej, biblioteka główna była jej pomocniczą instytucją. Po zreorganizowaniu szkoły głównej na uniwersytet, biblioteka główna od r. 1871 stała się jego pomocniczym naukowym zakładem, przybrawszy nazwę Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego.

Ponieważ każdemu jest wolno obejrzeć tę poważną świątynię Minerwy, wprowadzam przeto czytelnika do jej podwoi, a ze względu że dzieła w ojczystym napisane języku, najwięcej interesować go będą rozpoczynam przegląd od książek polskich. Przedewszystkiem w sali I-jej, gdzie mieści się kancelarya i zwraca na się uwagę wspaniały zegar, zrobiony w Warszawie w r. 1820 przez „Gugenmusa Polaka“, w kilku szafach znajduje się bibliografia oraz historia literatury polskiej, nader w dzieła uboga, *niemał wyczerpująco*, w bibliotece reprezentowana. W III sali, wszystkie dzieła oryginalne i tłumaczone, odnoszące się do historii powszechniej, mieszczą się w jednej szafie, smutne dając świadectwo o ubóstwie na tém polu literatury naszej. W sali XVII stoją powieści i romanse kompletowane obecnie nadsyłanemi z komitetu cenzury, ale książki te publiczności do czytania wydawanemi nie będą. Jeżeli w powyższych salach spotykamy dzieła polskie, względnie do swego otoczenia, w drobnostkowej ilości, to za to sala IV z galeryą jest im poświęcona wyłącznie. Przedewszystkiem w téj sali zwraca na się uwagę historia polska, kroniki, herbarze, dyplomata, pamiętniki i inne historyczne źródła, stanowiące dla badacza nader szacowny materiał. Nie można powiedzieć, aby ten oddział był wyczerpującym, jest jednakże bardzo poważnie reprezentowany. Dalej mieszczą się: geografia, podróże, nauka języków, w skład której wchodzi słowniki, gramatyki, wypisy. Następnie dzieła z dziedziny nauk przyrodzonych, górnictwa, technologii, inżynierii, rozumie się w bardzo małej ilości. Potem kilka szaf zajmują nauki społeczne, dotychczas jak wiadomo, nader niedostatecznie u nas uprawiane. Jednakże spotykamy tu źródła do historii prawa polskiego, zbiory praw i przywilejów, statuta, konstytucje, Volumina Legum, kilkadziesiąt dzieł lub rozpraw z dziedziny prawa cywilnego i karnego, po większej części przez żyjących dotąd napisane praw-

ników; pewną ilość tłumaczeń, głównie ekonomii politycznej dotyczących, dziennik praw, zbiór przepisów administracyjnych i kilka tysięcy broszur. Zawierają one rozmaite dyarusze i mowy sejmowe, uniwersały, sprawozdania, uwagi, wykazy, wyroki, projekta, głosy marszałków sejmowych i t. p. Z działu nauk społecznych na wyszczególnienie zasługuje niewątpliwie „Obraz geograficzno-statystyczny Królestwa Polskiego“ napisany w r. 1830 przez Rodeckiego; dzieło rzadkie, mało dziś znane a jednak wyborne, pełne, nie mające dotychczas sobie równego. Nakoniec w sali IV są pomieszczone: poezya, sztuki piękne, teatr, filozofia i pedagogika, nader nieliczne, oraz zbiory dzieł różnych pisarzy polskich (opera). W dziale poezyi znajduje się również kilka tysięcy broszur. Są to po większej części zabytki epoki konceptowej XVII wieku; owe napuszone panegiryki, płuód tendencyjnego pochlebstwa, które z okoliczności zawieranych małżeństw, urodzin, chrztów i t. p., wierszokleci składali u stóp możnych, aby z ich miłości własnej złote dla siebie ziarna wydobywać. Takie środki dochodzenia do pieniędzy i władzy były, nader rozpowszechnione. Wiadomo iż jeszcze w końcu XVIII wieku możny i bogaty biskup Naruszewicz opiewa, że wierniej służy Stanisławowi Augustowi od jego suczki pokojowej, bo chce aby wielki, ubóstwiany monarcha spojrział nań miłosiernie z wysokiego tronu i nie dał mu z głodu umierać. Jako *curiosum* przytaczam kilka tytułów. „Zodyak polski południem płomiencyka hymeneuszowe zapalającego pochodnie przy weselnym akcie Jaśnie Wielmożney Imci Panny Maryanny Kaszczówny Wojewodzianki Bełskiej objaśniony, rokującemu szczęśliwie Apollinowi wesołe konstellacye przyswiecający.“ „Laur Nieśmiertelnego Imienia i Dziełw Jaśnie Wielmożney Jeymości P. Urszuli z Krasickich Lipskiej wojewodziny Kaliskiej, Medyckiej etc. Starościny śmiertelnym nieubłaganey Parki zamachem podcięty“ i t. d. Broszury te dla badacza mogą być cennym materiałem do obeznania się pod pewnym względem z duchem i obyczajami ówczesnej epoki.

Ważnym bardzo dla każdego czytelnika jest oddział *opera*, albowiem w nim spotykamy dzieła naszych pisarzy z XVI i XVIII wieku i początków XIX stulecia: Kochanowski, Rej, znakomity publicysta Modrzewski, Górnicki, Orzechowski i wielu innych, następnie Krasicki, Śniadeccy, nieoceniony Staszic i t. d. i t. d. Wszyscy oni przemawiają jużto pigknym, rodzinnym językiem; jużto poruszają najtkliwsze struny naszego serca, jużto zadziwiają na swój czas głęboością i oryginalnością poglądów; jużto jak np. Staszic, uwielbiany zarówno jak i nieznany, uczą bardzo wiele, podnoszą idee, uszlachetniają uczucia. Wydanie Turowskiego ułatwia znakomicie zapoznanie się z klasykami naszymi i dlatego zasługuje tu na wymienienie.

Cała galerya sali IV jest zajęta przez dzieła i broszury teologiczne, których ogół dochodzi do 10,000 tytułów. Mieszczą się tu

zarówno książki polskie oryginalne i tłumaczenia, jako téż i dzieła z dziedziny teologii w łacińskim języku przez duchownych polskich skreślone. Są rozprawy scholastyczne i wykłady nauk, którym dzielszy umysł niełatwo w rzedzie nauk stosowne miejsce znaleźe potrafi, np. Angeologia, czyli nauka o aniołach. W broszurach spykamy znowu wygłaszane przez duchownych, z okazji pogrzebów, slubów, chrzcin i t. p. panegiryki, kazania nawojujące do oddawania dzieięcin; mowy pełne fałszywych uniesień i pochlebstw, w których się mieści bogaty materiał dla obeznania ze smutnej pamięci epoką konceptową. Z pomiędzy dzieł, niektóre są pouczające, gdyż doskonale charakteryzują stan umysłowy współczesnej sobie epoki i nieszczęśne jego następstwa. Jakże np. wymowny jest tytuł następującego, nader poważnego w swoim czasie dzieła: „Młot na czarownice. Postępek zwierzchny w czarach; także sposób uchronienia się ich y lekarstwo na nie w dwóch częściach zamykający. Xięga wiadomości ludzkiej nietylko godna y potrzebna, ale y z nauką kościoła powszechnego zgadzająca się. Z pism Jakóba Sprengera y Henryka Instytora zakonu Dominika S. Theologów y w niemieckiej ziemi Inquisitorów po więtszej części wybrana y na polskie przełożona przez Stanisława Ząmkowica Sekretarza X-cia Jego Mci Ostroskiego Kasztelana Krakowskiego. Do której w teyże materzey przydana jest książka Jana Nideza tegoż zakonu Dominika S. Teologa y Inquisitora. Także Ulryka Molitora dialog o wieszczych białych głowach albo czarownicach w Krakowie 1614 r.” Co się tyczy działu medycyny, których niewielką liczbą poszczycić się możemy, są one pomieszczone w paru szafach w sali XII.

Nakoniec dla polskiego czytelnika, galerya II sali żywy przedstawia interes. Pominąwszy dzieła matematyczne, techniczne i wojenne, które się tu mieszczą dla zadowolenia oczu specjalistów, napotyamy kilka tysięcy dzieł, juźto z oddziału nauki języków, juźto objętych pod ogólną nazwą „Szkoly.” Na szczególną uwagę zasługują programata i opisy publicznych popisów w różnych szkołach pijarskich dorocznie odbywanych. Jest to źródłowy materiał, znajomość którego może się przyczynić do zapoznania się z historią polskiej edukacji w końcu XVIII i na początku bieżącego stulecia. Spotykamy tam fakta czasem smutne: Collegia nobilium scholarum piarum np. składały się z samych paniczuków „kawalerów.” Hrabiaćka, wojewodzice, kasztelanice, podczaszycy i tym podobne jasnie wielmożne panięta miały jedynie wstęp do owych kolegiów. Nauka była ich monopolem. Synowie braci szlachty, równiej w wyobraźni wojewodzie, żywili się okruciami wiedzy, czyszcząc bóty i posługując paniczom. Kiedy zabroniono im przywozić z sobą do kolegiów własnych lokajów, biedna szlachta srodze na to utyskiwała. Ślad owych gorzkich żalów pozostał w broszurze p. t.: „Skarga ubogiej szlachty na otworzone w Polsce konwikty, podczas sejmików zanieśiona.” Ale wróćmy do rzeczy.

Na téjże galerji w oddziale „Szkoly” jest znaczna ilość źródłowego materyału pedagogicznego, oraz podręczników pedagogicznych, wedle metody indukcyjnej napisanych, na podstawie których pan Jeske układa swoje szacowne wydawnictwo. Znajomość tego materyału ochroni piszących w téj materyi od deklamacyi, że poza niemi nic na tém polu nie było.

Oddziałowi, który tylko co obejrzelśmy, możnaby dać nazwę „mieszanina“ bo mieszczą się tu razem najrozmaitsze książki. Obok np. „Źródła spokojności duszy,” spotykamy „Tablice do jakościowo chemicznych rozbiórów.” Nic to jednak nie szkodzi w obec świeżo przyjętego systemu, jak poniżej zobaczymy: dość jest tylko rozsegregować karteczki i w oddzielne pokłaść pudełka.

Oddziałem najbardziej na galerji sali II-éj bijącym w oczy jest oddział pism peryodycznych polskich, pomiędzy któremi spotykają się w językach: łacińskim, francuzkim i niemieckim u nas wydawane. Z nich najstarszém jest „Merkuryusz polski, ordynaryjny,” sięgający roku 1661; po nim pod względem dawności, pierwsze miejsce zajmuje „Mercurius polonicus“ (r. 1698); dalej „Gazety polskie“ (r. 1735); „Merkuryusz historyczny y polityczny“ (r. 1737); „Kuryer Polski“ (r. 1752) „Gazette de Varsovie“ (r. 1758), „Kuryer Warszawski“ (r. 1761), „Gazeta Warszawska“ (r. 1777); „Avis divers“ (r. 1784). Inne powstały już w wieku XIX.

Są to wszystko pisma, wychodzące na terytoryum królestwa kongresowego, rozunie się po największej części w Warszawie; jest jednakże i pewna ilość za granicą wydawanych, ilość szczupła, obecnie wychodzącemi prawie się niepowiększająca. Ogół wszystkich pism wynosi 463 tytuły w liczbie 3450 tomów. Liczba ta z każdym miesiącem pomnaża się pismami nadsyłanemi z komitetu cenzury. Zbyteczném byłoby nadmieniac, jak ważnym dla badacza naszej przeszłości pod każdym względem jest ów poważny zbiór piśmiennictwa peryodycznego, w którym społeczeństwo upamiętniło swe ruchome, bieżące interesa, cele, dążności, obyczaje i t. p.

Opuszczając galerję II-éj sali, oprócz duplikatów, o których powiem poniżej, zwiedziliśmy wszystkie polonica. Na zakończenie, nie od rzeczy będzie podać ich cyfrę liczebną jużto dokładną, jużto w najbliższém wziętą przybliżeniu. I tak:

	tytułów.	tomów.
Historja polska wraz z broszurami zawiera . . . . .	1572	— 1861
Geografia, podróże . . . . .	576	— 913
Historja literatury i bibliografia . . . . .	100	(dal. więcéj)
Nauka języków, gramatyki, słowniki, wypisy . . . . .	1336	— 1482
Nauki społeczne (prawne, polityczne, ekonomiczne) . . . . .	5328	(nieco więcéj)
Poezja . . . . .	2250	— 2317
Teatr . . . . .	1002	— 1196

Nauki przyrodzone, technicz., budow., inżyn. . . . .	1066	—	1117
Filozofia i pedagogika . . . . .	539	—	638
Sztuki piękne . . . . .	99	(nieco więcej.)	
Opera (zbiory dzieł) . . . . .	274	—	721
Pisma peryodyczne . . . . .	463	—	3450
Matematyka, nauki wojskowe . . . . .	854	—	864
Teologia . . . . .	9778	(nieco więcej.)	
Medycyna . . . . .	około 1500	—	—
Historya powszechna . . . . .	—	400	—
Romansy i powieści . . . . .	—	2000	przeszło.
Zbiór książek mieszanych na galerii 2 sali . . . . .	—	3000	przeszło.

---

Razem tytułów 31,939, tomów daleko więcej.

W cyfrę tę nie wchodzi najmniej z jakie siedem tysięcy duplikatów osobno na parterze w XIX sali, oraz na pierwszém piętrze w V sali pomieszczonych. Nadmienić jednak wypada, że pewna liczba duplikatów, nieznaczna zresztą, stanowi część składową liczby powyżej przywiedzionej. Jest jeszcze wiele dzieł w polskim języku, pomieszczanych z innemi w ciemnej sali, o której wspomnę poniżej. Nadto w ogólnym zbiorze rzadkich i drogocennych druków, oraz rękopisów około 1000 numerów wynoszących, a znajdujących się pod zamknięciem w osobnej sali, mieści się wiele polskich egzemplarzy. Są np. dzieła własną ręką autorów pisane: Jakubowskiego, Kołłątaja, Michała Krajewskiego, Hip. Kownackiego, biskupa Krasickiego (12 tomów), Ludwika Platera, Ksawerego Szaniawskiego, Szopowicza, Trembeckiego, Woronicza i innych. Znajdują się w tym oddziale prawdziwe białe kruki, jak np. *Codex Theodosianus* z IX wieku na pergaminie pisany, który między innemi zawiera prawo salickie od str. 206 do 225, z odmianami nieznanymi się gdzieindziej; *Justyniana kodeks pergaminowy*, z wieku XI; *Statut Łaskiego* 1506 na pergaminie drukowany z kolorowaniami i złoconemi drzeworytami w nader pięknej oprawie; *Żywot Chrystusa przekładu Opecia* (1-sze wyd); *Psalterz* z r. 1535 Krak.; *Księgi lekarskie* Wacława Wolskiego z r. 1586; Jana Łęczyńskiego *Opis sądów królewskich* 1594 r.; *Bernardina Okina O papieżu* tragedia, Szamotyły 1558; *Kronika* Bielskiego 1550; *Pisni duchownej* s. l. 1564; *Zielnik* Syreniusa; *Reya Zwierzchnio* 1574; *Widoki zabytków starożytności w Królestwie Polskiem, służące do objaśnienia opisu tychże*, zebrane przez delegacyą archeologiczną Stronczyńskiego (7 vol). Z nowszych znajduje się tu nader rzadkie dzieło Staszica: *Ród ludzki* poema; dzieło potępione przez cenzurę duchowną. W téjże sali, mieszczącej w sobie drogocenne rzadkości, zwraca na się uwagę zbiór spraw, począwszy od roku 1528 do 1613, który rzuca światło na historią introligatorstwa. Mieszczą się tu również autografy przeważnie literatów, które biblioteka otrzymała w darze od senatora Hubego,

rzeczywistego radzcy stanu Kirikowa, Papłońskiego, prof. Jakowlewa oraz akademika Dubrowskiego.

Takim mniej więcej jest wielki dział—polonica, mieszczący w sobie dzieła w języku polskim lub przez autorów narodowości polskiej w obcych językach skreślone, składający się z kilkunastu pomniejszych oddziałów wedle przedmiotów. Drugi dział, na podstawie języka i narodowości autorów utworzony, stanowi dział książek russkich—russica. Rozpada się on również na kilkanaście pomniejszych poddziałów, wedle przedmiotów i zajmuje głównie salę II-ą, oraz małą część XVII-ój. Jest reprezentowany dotychczas mniej więcej przez 6000 tytułów, nie licząc w to pism peryodycznych, które mieszczą się w osobnej sali na parterze i dochodzą do 200 nazw w ilości około 4,000 tomów. Dopiero obecnie ważny ów dział wzrastać będzie w pożądanym stosunku. Na podstawie narodowości autorów utworzono niedawno dział, a właściwie działek trzeci: slawica et lithuanica, zawierający dzieła litewskie, oraz przez innych Słowian, prócz Rossyan i Polaków, pisane. Wynosi on zaledwie około 600 tytułów.

Wszystkie zresztą inne dzieła, bez względu na narodowość autorów, dzielą się wedle przedmiotu. Najwięcej książek zawiera oddział teologii, pomieszczony w sali XIII i VII z dwiema galeryami. liczący najmniej 11,000 tytułów, oraz oddział medycyny, mający około 10,000 nazw, a znajdujący się w sali XII i oddział historii powszechniej, i geografii, w sali VIII, IX, a po części na galeryi téjże sali, zawierający niemniej tytułów od medycyny. Nauki społeczne znalazły pomieszczenie w sali VI i na jój galeryi. Są reprezentowane przynajmniej przez 9,000 tytułów i stanowią dotychczas jeden oddział, który może z czasem na trzy zostanie podzielony: nauk prawnych, politycznych i ekonomicznych. Licznym także jest oddział nauk matematycznych i przyrodzonych, czystych i stosowanych, w sali III, X, oraz po części w XIII. Zawiera około 10,000 tytułów i rozpada się na poddziały, jak chemia, chemia technologiczna, zoologia i t. p. Filozofia i pedagogika, ustawione w sali XIII, liczą do 2000 tytułów.

W sali XVIII mieszczą się klassycy łacińscy, greccy, oraz nauka języków i słowniki, najmniej z 5000 tytułów; klassycy francuzcy stoją w sali X, sztuki piękne w XII na kilku pótkach. W sali XI znajduje się wiele słowników i encyklopedyj zagranicznych. Powieści, romanse, w ogóle belletrystyka zagraniczna, około 5000 tytułów mieści się w sali XVII i jest ubogo reprezentowana. W skład jój wchodzi książki stare, liche, bo o nowe nikt się nie troszczy, nikt ich nie zapisuje. Pisma peryodyczne zagraniczne, również nader niedostatecznie reprezentowane, zajmują salę XVI i XIX. Jest jeszcze sala XV ciemna, w której były porzucone najrozmaitsze książki przeważnie jednak duplikaty teologiczne. Po raz pierwszy obecnie zrobiono ich inwentarz, lecz dopiero po napisaniu kartek

będzie je można usystematyzować; jest tam około 9000 tytułów. W zupełnie podobnym stanie znajdowały się książki na galeryi IX sali porzucone, wynoszące nazw przeszło 3,000.

Prócz duplikatów russkich i polskich, których cyfrę wyżej podałem, znajduje się w sali XIV wiele zagranicznych, ogółem około 12,000 nazw. Licząc wraz z duplikatami, dział teologiczny przedstawia się znakomicie większym od każdego z innych, co się tłumaczy zbieraniną książek z klasztorów, o której we wstępie wspomniałem. I tak ogólna cyfra dzieł w bibliotece uniwersyteckiej znajdujących się, wynosi sto kilkanaście tysięcy tytułów, w ilości najmniej dwóch kroć sto tysięcy tomów. Poznawszy liczebną stronę biblioteki, wypada obecnie poznać się z tą naukową instytucją pod innymi względami.

Jak już wyżej wzmiankowałem, b. Biblioteka Główna od roku 1871 przybrała nazwę Biblioteki Uniwersytetu i powierzoną została panu Barsowowi, bibliotekarzowi, magistrowi historii russkiej i docentowi téjże historii. Pierwszą czynnością nowego zarządu było, dokładnie uporządkować i spisać inwentarz instytucyi. Zanim powiem słów kilka o owocach tego usiłowania, wypada mi nadmienić o stanie poprzedzającym biblioteki. Stan ten nie był zadawalający; niektóre oddziały były wcale nietknięte od chwili pierwiastkowego położenia książek na półki; jak w ciemnej sali, w tak zwanój szyi, sali V, oraz na galeryi sali IX wiele dzieł i pism peryodycznych, porzuconych w nieładzie, a nawet w uporządkowanych spotykała się niedokładna numeracya, tak że dość często zupełnie inny numer był w książce, a inny na odpowiedniej jej kartce. Były książki, do których brakowało kartek, było znów wiele kartek, ale bez odpowiednich im książek. Inwentarz zupełny dzieł, znajdujących się w bibliotece, nie istniał. Książki poustawiane były wędle kolejnych numerów, poczynwszy od pierwszego i t. d., a każdy oddział osobną miał numeracyą. Na równy format dzieł obok siebie stojących nie zwracano uwagi, ztąd obok wielkich książek, in folio, znajdowały się nierządno dziełka in 16-o. Taki układ grzeszył pod względem estetycznym i zabierał zbyt wiele miejsca. Powyższy stan rzeczy, był zupełnie naturalnym i dlatego wykazując niedostatki przeszłości, nie mam bynajmniej na celu ubliżać w czémkolwiek pożytecznej działalności poprzedniego zarządu pod przewodnictwem profesora Przyborowskiego. Pan Przyborowski zrobił wszystko, co mógł, uporządkowanie niektórych oddziałów, zwłaszcza polonica, wyłącznie jego należy przypisać zasłudze, ale objął sam w spuściznie po dawnych czasach materyał surowy i za mało posiadał środków, aby go w krótkim czasie swego zarządu zupełnie uporządkować.

W takim stanie rzeczy nowy zarząd wytknął sobie za zadanie: 1) zaprowadzić nowy system w uporządkowaniu działów: system uznany obecnie za najpraktyczniejszy i zaprowadzany nietylko w bibliotekach Cesarstwa, ale i w wielkich bibliotekach na Zachodzie;



2) spisać inwentarz wszystkich dzieł w bibliotece się znajdujących, a zarazem możliwie dokładnie je uporządkować i ustawić wedle jednokowego formatu; 3) wzbogacać bibliotekę najpoważniejszymi dziełami świeżo nabywanemi; 4) zresztą, zadość czynić interesom bieżącym.

Co do 1-go. Nowy najpraktyczniejszy system jest, że tak powiem, systemem *umiejscowienia*. Polega on na tém, że na wewnętrznej stronie okładki książki przylepia się bilecik z napisem, w której sali, szafie, na której półce i pod którym numerem książka jest umieszczona; też same cyfry odznaczają się na kartce zawierającej w sobie dokładny tytuł, wraz z oznaczeniem formatu, oraz miejscem i datą wydania odpowiedniej książki. Kartki, obejmujące tytuły dzieł, do pewnego oddziału wiedzy należących, układają się razem w pudełka, podług kolejnych liter nazw autorów. I tak np. kartki obejmujące dział historii powszechniej mieszczą się w jednych pudełkach; obejmujące dział historii polskiej w innych; obejmujące dział medycyny w obcych językach, znowu innych i t. d. Najprzód leżą kartki dzieł, których autorów nazwisko zaczyna się od litery A, następnie B, C i t. d. Jeżeli np. chcemy wiedzieć, gdzie leży historia polska Szujskiego, szukamy w pudełkach, na których grzbiecie jest napis: historia polska, kartki pod literą S. Przypuśćmy, żeśmy znaleźli na kartce takie numera: IV, 2, 3/15, to znaczy, że książka żądana znajduje się w IV sali, w szafie drugiej, na półce trzeciej, z kolei piętnasta. Taki system przedstawia tę wielką dogodność, że chcąc używane książki napowrót postawić na miejscu, dość jest spojrzeć na cyfry umieszczone na bileciku. Niepotrzeba zaś czytać tytułu, aby poznać, do którego działu książka należy, co zwłaszcza dla woźnych jest niedostępnem. Drugą ważną zaletą tego systemu jest to, iż nie ruszając wcale książek z półek, można tworzyć, modyfikować, dopełniać działy; można jeden dział rozłożyć na dwa lub więcej: np. dział nauk społecznych na działy nauk prawnych, politycznych i ekonomicznych, a wszystko to w nader prosty i łatwy sposób, wybierając odpowiednie kartki i kładąc je razem w osobnych pudełkach.

Co do 2-go. Spisanie inwentarza na papierze porubrykowanym, zawierającym rubryki: sala, szafa, półka, liczba, liczba opraw i uwagi—inwentarza takiej ogromnej ilości dzieł, jaka w bibliotece się mieści, w takim znajdujących się stanie, jak powyżej było powiedzianem, jest pracą olbrzymią, trwającą lata. To też nic dziwnego, że praca ta dotychczas zupełnie ukończoną nie została. Ponieważ podczas jej trwania czytelnia publiczna otworzoną być nie może, przeto miały miejsce narzekania prasy na działalność zarządu, narzekania usprawiedliwione jedynie nieznanomością stanu rzeczy. Dzisiaj, dzięki energii pracujących i czasowej pomocy trzech dyetaryuszów, inwentarz w  $\frac{11}{12}$  częściach jest już ukończony. Jedynie pewna część duplikatów teologii zagranicznej w sali VII pomieszczonej, oraz obcych pism peryodycznych pozostała nieopisana; ale z początkiem wiosny roku bieżącego i ta

będzie ukończoną, a wtedy czytelnia publiczna, zapewne z początkiem akademickiego roku, odżyje. Z powyższego widzimy, że zarząd prawie już spełnił naważniejsze zadanie, wprowadził bowiem zupełniejszy porządek, wierne katalogi, dokładny system i wykończa inwentarz, co wszyskto, że tak powiem, stanowi duszę biblioteki. Inwentarze rozmaitych dzieł, w osobne księgi poprawne, stanowiąc będą piękny pomnik działalności obecnej. Z czasem nawet drukowane katalogi urządzone zostaną.

Co do 3-go. Zarząd nieustannie wzbogaca bibliotekę świeżo nabywanymi dziełami. Fundusz roczny na kupno książek wynosi 6,000 rs. Professorowie uniwersytetu kilka razy do roku przedstawiają swoje desiderata, które przesyłają się do zagranicznych księgarń, głównie do księgarń Brockhauusa w Lipsku, ta następnie żądane dzieła nadsyła. Nabyte książki opisują się wedle ogólnie przyjętego systemu i wchodzą w skład biblioteki. Od czasu zamiany biblioteki głównej na uniwersytecką, po dziś dzień nabyto dzieł wyborowych z najrozmaitszych gałęzi umiejętności i w różnych językach, oraz mapp geograficznych, atlasów, litografii i rękopismów 6808 tytułów, mianowicie w r. 1871—501 tytułów; w r. 1872—1522, w r. 1873—2836, w r. 1874—1949 nie licząc w to dzieła, które w grudniu r. z. nabyto za półtora tysiąca rubli. Pism zaś peryodycznych russkich i zagranicznych ogółem nabyto 224 tytuły. Pisma peryodyczne, wychodzące w Warszawie są bezpłatnie nadsyłane z komitetu cenzury. W liczbie świeżo zakupionych pism peryodycznych, zasługuje na wyszczególnienie bardzo rzadkie londyńskie wydawnictwo peryodyczne: „Philosophical Transactions of the Royal Society in London.“ Pewną część świeżo nabytych dzieł biblioteka otrzymała bezpłatnie od russkich i cudzoziemskich zakładów, oraz osób prywatnych. Ponieważ w tym stosunku i nadal stałe książki przybywać będą, przyszłość przeto biblioteki jest świetna.

Co do 4-go. Bezpośredniem zadaniem biblioteki jest służyć do użytku professorom uniwersytetu. To téż znaczną część zajęć urzędników stanowi wydawanie do domu i przyjmowanie od professorów zwracanych książek. Osobom prywatnym książki do domu nie wydają się nawet za kaucyą. Chcąc téj niedogodności zaradzić, zarząd, dopóki czytelnia publiczna otwartą nie będzie, pozwolił zajmować się osobom prywatnym w kancelaryi biblioteki między 9-ą z rana, a 3-ą po południu i z całą uprzejmością zawsze zadość czynił ich żądaniom. Ale pomimo narzekañ w pismach peryodycznych i ustnie wygłaszanym na brak czytelní, nader szczupła garstka publiczności korzystała z zezwolenia zarządu. Istnieje w bibliotece wykaz statystyczny, w który każda osoba prywatna zapisuje swe nazwisko i dzieła które czyta. Otóż z tego wykazu widzimy, że zaledwie kilka osób, kilku ludzi poświęconych seryo nauce, zajmowało się istotnie studjami i wiele dzieł zażądało. Te to osoby niejednokrotnie wyrażały uznanie, że napróżno pukając do bibliotek prywatnych, w uniwersyte-

ckiej znalazły zawsze życzliwe przyjęcie. Wiele innych osób również książek żądało, ale osoby te ograniczały się obejrzeniem okładek i przerzuceniem kartek.

Studenci również z biblioteki uniwersyteckiej nie mają prawa brać książek do domu. Posiadają oni bibliotekę własną, studencką, z której książki są im wydawane. Biblioteka ta, stanowiąca drobny oddział b. biblioteki głównej, stała się obecnie integralną częścią uniwersyteckiej. Szczupły wszakże jej zasób nie odpowiadał potrzebom i dlatego z inicjatywy i za staraniem j. w. rektora uniwersytetu, powstała w roku bieżącym nowa instytucja, stojąca na wysokości swego zadania: *czytelnia studencka*. Dla wzbogacenia owej czytelnicy najlepszymi dziełami, ministerium oświecenia przeznaczyło 3,000 rs. na kupno dzieł, wskazanych przez profesorów uniwersytetu, z których znaczna ilość już nabytą została. Do czytelnicy nadto przeniesiono z biblioteki uniwersyteckiej mnóstwo dzieł najżywotniejszych i wszelkie żądane dzieło przynosi się tam na czas, dopóki przeczytanem nie zostanie. Czytelnia otwarta codziennie w godzinach rannych między 9-ą a 3-ą, wieczorem zaś trzy razy tygodniowo w poniedziałki, środy i piątki od 7-jej do 10-jej, jest w stanie zadowolnić wszelkie wymagania. Zwrócono uwagę i na czas, w którym ubodzy studenci są wolni od zajęć na kawałek powszedniego chleba i na wszystko co ułatwia naukę, a nawet na otoczenie zewnętrzne. Sala bowiem, gdzie się mieści czytelnia studencka, taż sama, gdzie dawniej była czytelnia publiczna, została wyrestaurowaną, upiękkszöną i urządzöną w sposób odpowiedni wymaganiom wygody i smaku. Studenci nie mogą obecnie narzekać na brak środków naukowych a postęp samoistnych studyów, wydobycie się z zaczarowanego koła niedokładnych notatek, od ich woli wyłącznie zależy.

Dla dopełnienia wiadomości o bibliotece, należy się jeszcze wzmianka o jej składzie osobistym i o gmachu, w którym się mieści.

Skład osobisty jest następujący: bibliotekarz, trzech pomocników, sekretarz i kilku woźnych. Czasowo, do chwili ukończenia inwentarza, zajmują się nadto tą czynnością trzej dyetaryusze i kilku woźnych nadetatowych. Roczny etat biblioteki wynosi 11,636 rs. 82½ kop. Co się tyczy gmachu, jak na początku niniejszego artykułu wspomniałem, znajduje się on w pigkném położeniu, a lubo przedstawia wszelkie ujemne strony, wynikające ze starości i spróchnienia belek; lubo co chwila grozi pracującym w nim reumatyzmem, albo inną chorobą, jednak na zewnątrz okazale wygląda. W ostatnich czasach został powierzchownie ozdobiony. Wzmiankowałem już o gustowném urządzeniu czytelnicy, należy dodać że i korytarz, który do niej prowadzi, wykwiłtną przybrał postać. Posadzka została wylana asfaltem i przekładana mozaiką, przeprowadzono gazowe rury i ustawiono ozdobne lampy; wschody wiodące na pierwsze piętro do biblioteki są powleczone dywanem i płótnem, a na ścianach wiszą dwa zwierciadła okazałe.

Biblioteka składa się dotychczas z 23-ch sal, na pierwszym i drugim piętrze rozmieszczonych, po większej części wielkich. Zwiedzającemu je po raz pierwszy, trudno się oryentować. Czytelnia i biblioteka studencka mieszczą się na parterze; na dole również niedawno urządzono sal kilka, w których ustawiono pisma peryodyczne russkie, wiele polskich duplikatów oraz rzadkie i drogocenne wydania i rękopisma.

Na zakończenie trudno powstrzymać się od wyrażenia uwagi, że biblioteka warszawska dużo jeszcze pochłonie pracy, starań i funduszów, zanim usystematyzowanie dzieł i ich dobór pozostawić nie będą nic do życzenia. Dzisiaj, pomimo znakomitego postępu, daleko jęj jeszcze pod powyższemi względami do doskonałości, jeśli tylko w ogóle o doskonałości mówić można. W każdym jednak razie należy ona do większych w Europie, a w Cesarstwie wraz z Królestwem, o ile wiadomo, zajmuje trzecie miejsce, zasługuje więc na uwagę powszechną. Przyznają to osoby w ostatnich czasach ją zwiedzające, które, jak mówią, widząc biblioteki francuzkie, niemieckie i angielskie, ani przypuszczały, aby w Warszawie u swoich mogło istnieć coś podobnego. Niestety! takie a priori powzięte przypuszczenie na niekorzyść rzeczy swojskich, wyradza ich nieznajomość, a nieznajomość rodzi lekceważenie.

Spodziewać się jednak należy, że z otwarciem czytelni publicznej, biblioteka uniwersytecka przyczyni się do dziejowego rozwoju naszego społeczeństwa, że stanie się jednym zę środków krzewienia oświaty, pożądanęj przedewszystkiem.

*M. Wisłomł.*

## KILKA SZCZEGÓŁÓW NIEZNANYCH Z ŻYCIA ŁUKASZA GÓRNICKIEGO.

PRZEZ

*Aleksandra Wejnerta.*

Jeden z najznakomitszych pisarzy złotego wieku literatury naszej, Górnicki, jako historyk, filozof i polityk, który cały swój żywot poświęcił na usługi kraju, a naród i cnotę szczerze kochał i nie dworował tam wcale, gdzie należało mówić prawdę; nie doczekał się do-  
tąd, mimo najskrzyżniętych usiłowań dzisiejszych pisarzy, dokła-

dnego życiorysu, któryby tę olbrzymią postać, ten kolos w złoto oprawny, mógł nam należycie go przedstawić.

Wprawdzie, w Bibliotece Warszawskiej dwukrotnie <sup>1)</sup> i po innych pismach, znajdujemy dopełnienia przez różnych autorów ogłaszane. Ale jak dalece są one niewystarczające, najdotykalniejszym dowodem jest, iż nawet nie wiemy dotąd: gdzie ujrzał światło dzienne, którego roku, a co smutniejsza, gdzie ciało jego spoczywa, lubo miejsce, gdzie miał zakończyć życie we wsi Lipnikach, jest przytaczane. Taki brak niezbędnych wiadomości co do Górnickiego, był powodem dla nas, iż usilnie wertując w metrykach i po innych archiwach, staraliśmy się zbierać pokłosie o szczegółach bliżej jego dotyczących. Wiedząc zaś iż był sekretarzem i bibliotekarzem Zygmunta Augusta do r. 1565, a następnie, że otrzymał w nagrodę wielkich zasług dwa starostwa: Tykocińskie i Wasilkowskie, które trzymał przez lat 87, wpadliśmy na myśl śledzenia lustracyi tychże starostw, czy w tém źródle czego o nim nie znajdziemy.

Poszukiwania nasze pomyślnym zostały uwieńczone skutkiem. Wszystko więc co dotąd wygrzebaliśmy, pośpieszamy ogłosić w tém przekonaniu, że lubo poniższe wiadomości nie uzupełniają jeszcze pragnień naszych, w każdym razie mogą rzucić światło na dalsze poszukiwania innych i zachęcić ogół do tego, aby jeden z najskynniejszych pisarzy naszych, mógł się przecie doczekać po trzech wiekach, w miejsce ozdobnego sarkofagu, dokładnego opisu swego żywota.

Epoka w której Górnicki był sekretarzem Zygmunta Augusta, należała do najświetniejszych tego panowania. Dwie bowiem najzbawienniejsze instytucje dla kraju powstały w roku 1562: pierwsza ustanowienie lustracyi po wszystkich dobrach królewskich w całej Rzeczypospolitej, dla wynalezienia z nich czwartej części dochodów na utrzymanie nieustającej siły zbrojnej do obrony granic, i po drugiej, samo zaprowadzenie wojska stałego, zwanego od téj czwartej części kwarcianém. Jak wiadomo z dziejów, w skutek tego prawa, delegowani z ramienia króla, senatu i stanu rycerskiego, za poprzedniem zlustrowaniem czyli *okazowaniem*, spełnili żądania narodu w roku 1564 co do wszystkich królewszczyzn. Szczegółowo zaś wysłani do pojedynczych starostw, zajęli się z całą prawością, aby wielką myśl Zygmunta Augusta w życie narodu wprowadzić, a tym sposobem zabezpieczyć kraj, od ustawicznych napadów z południa, wschodu i północy.

Ile takie pierwsze szczegółowe obliczanie dochodów z wszystkich królewszczyzn, zajęło osób i czasu, ile trudów i usilnej pracy temu poświęcono, nie potrzebujemy dodawać <sup>2)</sup>. Było to olbrzymie

<sup>1)</sup> Z r. 1843 w tomie III, przez Trębińskiego i z r. 1862 w tomie II przez Aleksandra Przędzieckiego.

<sup>2)</sup> Podług kilkoletnich naszych zbierań, można było wówczas nalicyzyć samych starostw 1000. Przypuszczająo frakcyjnie po 5 wsi na każde, wypad-

dzieło, które stało się chlubą dla Zygmunta Augusta. Że do takich zatrudnień, bardzo wiele mógł pomagać Górnicki królowi, jako tajny jego sekretarz i powiernik, wątpliwości żadnej nie ulega.

Czas tak krótki, bo zaledwo lat dwa upłynione od ustanowienia prawa w r. 1562 do jego spełnienia w r. 1564, przekonywa dotykalnie, ile on poświęcał się dla kraju, aby tak wielkie dzieło przeprowadzić w tak krótkim czasie i z tak dokładnym skutkiem.

Wysłani lustratorowie po wszystkich królewskich czynnościach, byli opatrzeni nieograniczoną władzą. Uchybienie najmniejsze co do ich osoby, było uważane za obrazę majestatu a wyroki jakie przy tej czynności wydawali, stawały się prawomocnymi bez żadnej apellacyi.

Tak wysokie stanowisko lustratorów, bezzawodnie wpłynęło, iż wielkie to dzieło przy energii Górnickiego, w tak krótkim przeciągu czasu uwieńczone zostało pomyślnym skutkiem.

Owoce najzbawienniejsze z tego prawa, okazały się szczególnie w położeniu i bycie włościan wszelkiego rodzaju po królewskich czynnościach mieszczących się; każdy bowiem z nich bez żadnego wyjątku, mógł być przed lustratorami krzywdy swoje przedstawiać, ci zaś natychmiast je zakatwiali przez swoje wyroki, które wciągano do aktu lustracyjnego wraz z niektórymi dowodami. Tym sposobem lustracya taka stanowiła pewny i wiarogodny dokument na przyszłe czasy, gdy w następnych pięciu latach, nowa wedle prawa z r. 1562 miała się odbywać czynność podobna. W razie gdyby włościanin ukrzywdzony został, podług swego mniemania, przez lustratorów, udawał się w drodze łaski do samego króla, który takową skargę na piśmie podaną, przysyłał lustratorom, przy wyrażeniu swojego w tej sprawie rozkazu.

Osobiście i codziennie spoglądał Zygmunt August na ciągłe trudy i prace, jakie Górnicki w wykonaniu jego woli dla dobra Rzeczypospolitej ponosił. Zasługi szczególne jakie w tém położył nasz historyk, nie mogły ująć baczności monarszej. Hojność i wspaniałość panującego nakazywały wynagrodzić go sowicie. Z drugiej strony dobiegało lat 30, jak Górnicki ciągle zatrudniony po dworach najpierwszych dygnitarzy i w metryce królewskiej, mógł się być uczuć znużonym i zapragnąć spokoju, po położeniu tyłu zasług dla Rzeczypospolitej. Ziściły się jego nadzieje, gdy Zygmunt August chcąc go hojnie wynagrodzić udzielił mu zaraz, bo w r. 1565 dwa starostwa: Tykocińskie i Wasilkowskie, przy sobie leżące. Odtąd nowy okres jego życia rozpoczyna się. Opuścił dwór królewski, opuścił

---

nie 5000 siół. Jeżeli zaś dodamy: dobra stołowe, wojewodziańskie, kasztelańskie, lenne, wszystkie wójtostwa, sołtystwa, koniuszostwa, leśnictwa, ciwunos-twa, folwarki i t. p. które w Rzeczypospolitej, z pewnością naczynić można, że około 100,000 nomenklatur było wówczas do obliczenia.

swego dobroczyńcę koronowanego, aby jako starosta mógł być użytecznym dla kraju, dla tysiąca osób i utrzymywać w karbach cały zarząd królewszczyzn, na dożywocie jemu powierzonych.

Oddalony od zgiełku światowego, od intryg dworskich, użył spokojniejszych chwil życia na wydawnictwo dzieł swoich. Zaraz bowiem w następnym roku 1566 widzimy go, iż drukuje w Krakowie swą perłę drogocenną, owego *Dworzanina Polskiego* i że następnie ciągle już oddaje się pracom literackim.

Starostwo tykocińskie było za jego czasów grodowe i powstało z dawniejszej ekonomii królewskiej; pod względem zaś podziału politycznego, zaliczało się do województwa podlaskiego i Ziemi Bielskiej. Wasiłkowskie jednak lubo z poprzedniem graniczące, mieściło się już w województwie trockiém, powiecie grodzieńskim. O ile pierwsze było wówczas znacznej bardzo obszerności, o tyle drugie obejmowało tylko miasteczko Wasiłków i wieś jedną z folwarkiem. Same obowiązki urzędu starościńskiego wymagały, aby w obudwóch tych donacjach Górnicki przebywał; widzimy go więc odtąd mieszkającego bądź w zamku tykocińskim, bądź wę wsi Lipnikach.

Śmierć Zygmunta Augusta w r. 1572 i zmiana formy rządu w Polsce, dała mu pole do objawienia, jak wielu innym, rad swoich politycznych dla kraju. W kilku pracach w tym celu pisanych, dał poznać swoje myśli do utworzenia rzeczypospolitej arystokratycznej, na wzór weneckiej, co objawiło w nim ducha nabytego w ciągłym dawniej przebywaniu, z najwyższej położonymi dygnitarzami. Kilkomiesięczne panowanie Henryka Walezyusza i powrót jego do Francyi, nie mogło mieć żadnego wpływu na położenie Górnickiego, wyłącznie oddanego obowiązkom literackim i starościńskim; natomiast objęcie berła przez Stefana Batorego, energiczne jego działania względem utrzymania w karbach stanu rycerskiego, zaraz dały się uczuć nie jednemu po koronacyi. Z tego to czasu wyszukaliśmy niektóre szczegóły z życia jego, które następnie przedstawiamy.

Po upływie trzeciego pięciolecia, delegowani zostali do sporządzenia lustracyi królewszczyzn w województwie podlaskiem: Wodzisławski kasztelan małogostski, Adam Pilchowski proboszcz warszawski sekretarz królewski i Biejkowski stolnik przemyski. Między posiadłościami starostwa tykocińskiego, wliczało się wówczas także i wójtowstwo mazurowskie. Poddani tej nomenklatury, zmuszani do ustawicznych robót przy zamku tykocińskim, do nieustających przy nim napraw i stróży, jakkolwiek te były nakazane jeszcze przez poprzednich lustratorów za życia Zygmunta Augusta, nie mogąc u Górnickiego jako starosty żadnej ulgi znaleźć, udali się gromadnie do Batorego, po swęj koronacyi <sup>1)</sup> bawiącego w Tykocinie. O ile z listu

---

<sup>1)</sup> Koronacya odbyła się dnia 1 maja 1576 r. w Krakowie.

poniższego króla można wnioskować, włóścianie ci wszystkie swoje zażalenia spisali i stosowną prośbę na ręce samego króla złożyli.

Właśnie w tym czasie powyżej wymienieni lustratorowie, odprawiali rewizyą starostwa tykocińskiego, a skoro nadeszła kolej na wójtostwo mazurowskie, poddani z niego wszyscy, zaopatrzeni w przychylną dla siebie odpowiedź piśmienną Batorego, złożyli lustratorom list królewski następujący <sup>1)</sup>:

„Stefan z Bożej łaski Król Polski i. t. d. Urodzonym Wodzisławskiemu kasztelanowi Małogoskiemu, Adamowi Pilchowskiemu proboszczowi Warszawskiemu i Sekretarzowi Naszemu, Biejkowskiemu stolnikowi Przemyskiemu, rewizorom Naszym z sejmu Krakowskiego koronacyi do Podlasia wysłanym, Wiernie Nam Miłym łaskę Naszą Królewską. Urodzeni Wiernie Nam Mili! Przyszli tu do nas poddani Nasi ze wsi Mazurowa starostwa Tykocińskiego, skarżąc się na Urodzonego Łukasza Górnickiego Starostę Naszego Tykocińskiego, i że ich przymusza na ciężkie a ustawiczne roboty na każdy dzień, odpoczynku im nie dając nad postanowienie rewizorskie i na insze ciężkie rzeczy, jako szerzej w tój żałobie, którą tu nam podali jest opisano, którą wam posyłamy i wam rozkazujemy, jako już tam namienionym rewizorom, iż, gdy tam insze sprawy na Podlasiu odprawować będziecie, tamże na ten czas zaraz tę żałobę ich przeczytawszy, we wszystkim postanowienie i sprawiedliwość uczynili, w czem by im jedno krzywda była, nie broniąc jednak nikomu od głównej rzeczy do nas apellacyi, a inaczej pod łaską Naszą abyście nie czynili.“

Dan w Tykocinie 18 miesiąca lipca roku Bożego MDLXXVI Panowania Naszego pierwszego.

Na własną rozkazanie Króla Jego miłości.

Położenie wówczas Górnickiego nie było do zazdrości. Zaledwo bowiem nowy i dzielny król ukończył akt koronacyi, przybywa w miesiąc potem nagle do Tykocina, aby przekonać się bliżej o stanie dóbr królewskich a zwłaszcza zamku obronnego; wtém gromada włóścian nadchodzi do Batorego, rozpościerając swoje żale na starostę i to jeszcze na ulubieńca narodu i Zygmunta Augusta.

Trzeba było użyć w takiem położeniu Górnickiemu, całej siły i mocy charakteru nieposzlakowanej prawości, aby być na to zimnym i obojętnym. Jego przeświadczenie jednak wewnętrzne, iż wszystko co robił względem włóścian mazurowskich, spełniał tylko podług prawa i woli panujących, uspokoiło go nieco duchowo. Następnie zaś lubo Batory z całą surowością wystąpił przeciw niemu, przesyłając skargę sądowi bez jego wysłuchania, chociaż Górnicki bawił także z królem w samym Tykocinie, on jednak stanawszy przed lustratorami, rzecz całą wyjaśnił i udowodnił pismami oraz listami króla Zy-

<sup>1)</sup> Znajduje się w archiwum główném Królestwa, w księdze Lustracyi 64, na str. 92.



gmunta Augusta, że obowiązki swoje starościńskie spełniał podług brzmienia prawa i woli zmarłego króla. Sąd więc po uznaniu słuszności Górnickiego i stwierdzeniu własnoręcznych pism Zygmunta Augusta, aby ujawnić iż gromada wójtostwa mazurowskiego, niewłaściwie skargę na niego podała do króla, zamieścił dosłownie przy końcu lustracy tego wójtostwa, tłumaczenie się Górnickiego w osnowie następującej <sup>1)</sup>:

„*Opowiadanie Starosty Tykocińskiego.*“ „Na ten czas przy spisowaniu przytków skarbu Króla Jego Miłości i Rzeczypospolitej w starostwie Tykocińskim, opowiadał się przed nami Urodzony Pan Łukasz Górnicki starosta Tykociński, około wydatku, który za rozkazaniem Króla Jego Miłości, na każdy rok pan starosta z procentów starostwa Tykocińskiego czynić ma. To jest pokazał list Króla Jego Miłości, którym Jego Królewska Mość potwierdzić raczył postanowienie rewizorskie, za rozkazaniem Króla Jmci ś. p. Zygmunta Augusta uczynione, aby do klasztoru Bernardyńskiego Tykocińskiego z procentów tego starostwa i z folwarków, było dawano na każdy rok za dań miodową, którą im przedtém z Złotyri dawano, ma być im płacono na każdy rok po Złp. 21 gr. 10 <sup>2)</sup>. K temu z łaski Króla Jmci ma im być dawano na każdy rok do wolój i łaski Króla Jmci żyta korcy 20, pszenicy na stód korcy 15, na krupy jęczmienia korcy 2 a gryki korcy 2, grochu korzec 1, jałowic 2 albo za nie Złp. 4, wieprzów 2 albo za nie Złp. 4, soli becзка albo za nie Złp. 2.

„Pokazawał tenże pan Starosta list Króla Jmci do siebie pisany, na którym Jego Królewska Mość rozkazała raczy, aby pan starosta przyjął dwunastu drabów do Zamku Tykocińskiego, którym na każdy kwartał aby po 5 Złp. płacił z procentów tego starostwa a k temu aby na tym Zamku dwu puszkarczów chował a tym na każdy kwartał po f. 12 <sup>1</sup>/<sub>2</sub> płać.

„Pokazał list Króla Jmci którym Jego Królewska Mość rozkazała raczy, aby pan starosta płać na każdy rok Bartłomiejowi Nacz Zeügwartowi z tychże procentów, po półtorasta Złotych pieniędzy za służbę i strawnych. Nadto opowiadał pan starosta iż Augustynowi cieśli Zamkowemu, wedle rozkazania Króla Jmci płać pieniędzy strawnych 40 groszy polskich na każdy tydzień, na co list ma Jp. Podkanclerzego Koronnego.

„Które opowiadanie pana Starosty Tykocińskiego około wydatków z dochodów starostwa Tykocińskiego, za rozkazaniem Króla

<sup>1)</sup> Opowiadanie to zastępuje dzisiejszy protokół sądowy, których w owych czasach jeszcze nie znano, a w takiej formie w jakiej tu sąd lustratorski użył go, w żadnej następnie lustracyi z całego kraju, nie dało nam się dostrzedz.

<sup>2)</sup> Ówczesny złoty równał się dzisiejszym złp. 10 czyli rs. 1 kop. 50.

*Jmci wedle żądania pana Starosty do rejestru naszego lustratorskiego wpisać rozkazaliśmy“<sup>1)</sup>.*

Szczegóły powyższe po ich odczytaniu pobieżném, zdają się nie mieć żadnej styczności ze sprawą Górnickiego a właścianami wójtostwa mazurockiego do sądu wprowadzoną. Można by nawet mniemać z pierwszego myśli przelotu, że służą tylko do usprawiedliwienia Górnickiego z wydatków starościńskich, które bynajmniej nie obchodziły właścian rzeczonych, a zwłaszcza że to do nich nie należało, ale do sądu lustratorskiego. Wszakże, rozpatrzywszy położenie ówczesne kraju, położenie samej osoby Batorego, a wreszcie ówczesne znaczenie samego miasta Tykocina, rezydencyi natenczas Górnickiego, w innym zupełnie świetle powyższe szczegóły nam się przedstawia, skoro je porównamy z dziejami.

Sejm po koronacyi króla Stefana zakończył się w Krakowie dnia 30 maja r. 1576. Mimo takiego aktu uroczystego, znaczna część narodu i dygnitarzy nie uznawała jeszcze nowego króla, trzymając się strony Maksymiliana, także na oddzielném polu obranego królem polskim. Prymas nawet Jakób Uchański przodując stronie domu Rakuzkiego z wszystkimi swymi adherentami, po wysłaniu posłów do Maksymiliana z zaproszeniem do tronu, nazaczył już w tym celu zjazd nowy w Łowiczu na miesiąc czerwiec, gdzie miano powtórzyć zatwierdzenie go na króla polskiego. Cała Litwa, większa część Wielkopolski i całe Prusy trzymały się jeszcze strony Rakuzkiej. W takiém rozdzieleniu narodu, położenie kraju było nader rozpaczliwe, bo groziło najsrozsą wojną domową i straszliwym rozlewem krwi braterskiej. W czasie trwania sejmu koronacyjnego, Batory wsparty dobrimi radami Jana Zamoyskiego, oddał mu po Piotrze Wolskim pieczęć mniejszą i odtąd jako podkanclerzy, we wszystkiém wpływał, na dalsze acz smutne i rozpaczne nawet położenie Polski.

Warszawa w tych chwilach nader ważne i wybitne stanowisko zajmowała. W czasie jeszcze sejmu koronacyjnego całe Mazowsze, które po śmierci ostatnich książąt w r. 1526 przyłączono wprawdzie do Korony, rządziło się jeszcze dotąd swémi prawami oddzielnými i posiadało namiestnika królewskiego, który wszelką władzę panującego w całej rozciągłości tamże wykonywał. Zniesiono tę niewłaściwość na sejmie koronacyjnym, ustał zarząd namiestniczy i odtąd najściślej Mazowsze zostało z Koroną połączone. Warszawa zaś stawszy się środkowym punktem między Wielkopolską, Litwą i Małopolską, mając swój stały most na Wiśle, nabierała przez napływ i osiadywanie ludności z całego kraju wielkiego znaczenia. Szczeg-

<sup>1)</sup> W tém wyliczeniu wydatków, niema wyszczególnionych na służbę grodzką, wójtowską, folwarczną, na reparacye zamkowe i t. p. Widocznie więc szło tu tylko o robooizny.

śliwe to położenie w ówczesnym stanie kraju, uwydatniło się najsilniej. Batory z Zamoyskim chcąc działać pojednawczo na wszystkich przeciwników, wybrali na to Warszawę, jako miasto bliżej Łowicza położone, gdzie właśnie zjazd stronników Maksymiliana miał się odbywać już w czerwcu. Król więc po ukończeniu sejmiku koronacyjnego w dniu 30 maja, zaledwie miał kilka dni czasu, aby bezzwłocznie przybyć do stolicy Mazowsza. Co też i wykonał. Gwałtowne to jednak i niespodziewane przybycie Batorego do Warszawy, zatrwożyło wielce całą partję opozycyjną. Nuncyusz przestraszony wydał się spieszenie z Łowicza do Wrocławia. Sam prymas pozbawiony pomocy nuncjusza, już się zaczął chwiać i lękać. Napisał nawet polityczny list do Batorego, wymawiając się wiekiem podeszłym i słabością zdrowia, że nie może udać się na jego powitanie. Kiedy zaś opisano mu, iż sam król przybędzie do niego dla odwiedzenia w Łowiczu, tą uprzejmością pokonany prymas, na początku lipca przybywszy do Warszawy pojednał się z monarchą, wraz z całą swą partją i wieloma senatorami oraz dygnitarzami. W tym także czasie Litwa cała, skłouiona przez Jana Chodkiewicza kasztelana wileńskiego, jeszcze w czerwcu nadesłała swych delegatów do Warszawy, z uznaniem osoby Batorego za króla. Poczém stosowną przysięgę dla zachowania praw i wolności litewskich monarcha w Warszawie wykonał.

Zapewniwszy sobie tym sposobem panowanie, Batory, po załatwieniu ważniejszych spraw w Warszawie, udał się natychmiast do Tykocina, gdzie go bardzo ważne zajęcia i państwowe i osobiste jako małżonka już Anny Jagiellonki zagnały. Powyższe zeznania z lustracji, jakie Górnicki złożył przed sądem delegacyjnym, dokładnie nam te prawdy przy zestawieniu z dziejami wyświecają.

Że nagły przyjazd Batorego do Tykocina, mógł być zmieszać i zadziwić samego Górnickiego, wątpliwości nie ulega. Pobyt zaś króla w tém mieście, rozpoczęty od przesłania na niego skargi włościan, z jego donacyi do sądu lustratorskiego, tém więcj musiał go zadrażnić, bo to było pierwsze w życiu oskarżenie na jego osobę. Żeby więc w tak bolesném dla cnotliwego i tyle zasłużonego męża położeniu, kiedy król jeszcze bawił w samym Tykocinie, usprawiedliwić się dostatecznie, musiał Górnicki pismami autentycznymi przekonać i sąd i Batorego, że skarga poddanych jego była tylko pozorną. Aby wreszcie bliżej jeszcze i szczegółowo wyjaśnić i poprzeć to, musimy przytoczyć z dziejów, co dało powód Zygmunтови Augustowi, do wydawania licznych rozporządzeń listownie Górnickiemu względem Tykocina a zwłaszcza jego zamku, jak o tém przekonywamy się z powyższego zeznania Górnickiego w sądzie złożonego.

Wiadomo z dziejów jak ulubioném miejscem dla Zygmunta Augusta było miasto Knyszyn. Tam najprzyjemniejsze chwile przepędzał z ubóstwianą przez siebie Barbarą. Tam po ciężkich troskach panowania, szukał często przyjemnej rozrywki w łowach. Tam wre-

szcie po śmierci Barbary, w miłych wspomnieniach pobytu dawniejszego, uprzytomniał w pamiętkach swego pałacu, ową istotę przez siebie tyle ukochaną. Tam nakoniec nagromadzał wszystkie swe skarby, utraciwszy jedyny i najdroższy w osobie Barbary. Żeby zaś zabezpieczyć je przeciw zaborom wojennym, a położenie Knyszyna mniej było obwarowane z natury, umyślił więc Zygmunt w Tykocinie wystawić zamek, gdzieby wszystkie skarby światowe, miał w pobliżu przez siebie ulubionego Knyszyna. Zbudowany więc z jego rozkazu zamek obronny w Tykocinie, ciągle doznawał jego opieki, jużto pod względem ozdoby i trwałości, już tóż strategicznym co do zaopatrywania go w rozmaita strzelbę, działa i wszelkie zapasy wojenne. Że ustawiczna ta troskliwość Zygmunta Augusta o ten gmach obronny, stała się powodem zwiększenia ciężarów dla włościan: jużto przy ciągłych robotach nowych, naprawach lub co do stróży tego zamku, wątpliwości nie ulega. Kiedy zaś Górnicki został w r. 1565 starostą tego miejsca, będąc poprzednio wtajemniczony co do wszelkich zamiarów Zygmunta, jako tyloletni jego sekretarz, z urzędu więc swego wiedział dokładnie, jakie w tym gmachu król posiada skarby i jak nad nimi pilnie czuwać było jego obowiązkiem. Przyzwyczajony zaś sumiennie wykonywać rozkazy monarsze, z całą energią i poświęceniem spełniał takowe szczególnie co do zamku. Ta ciągła czujność nad skarbami i zamkiem, zdwojoną jeszcze została, gdy po śmierci ostatniego potomka Jagiellońskiego po mieczu, zaszłój w r. 1572 w Knyszynie, ciało jego przewieziono do zamku Tykocińskiego i gdzie jeszcze przeszło rok cały zostawało. Znow nowo straże i liczne usługi, przez włościan mające się wykonywać dniem i nocą. W takim zbiegu wydarzeń, przy całej energii Górnickiego jaką się odznaczał, mogło się być stać, iż pomnożone nadzwyczaj prace i zatrudnienia włościan naprzykrzyły się im bardzo. Nie mogąc zaś znaleźć żadnej ulgi u swego starosty Górnickiego, skorzystali z wyboru nowego króla Stefana Batorego i skargę na niego podali. Ze wszystkich atoli szczegółów zeznania naszego historyka, jakie uczynił na własne żądanie co do wydatków przed sądem lustratorskim, oczywiście i dotykalne płynnie przekonanie, po naszym wyjaśnieniu na źródłach dziejowych opartém, że tylko zbieg gwałtownych okoliczności, wywołanych ustawicznymi zmianami i rządu Rzeczypospolitej i osób panujących, był do tej ustawicznej czujności powodem <sup>1)</sup>.

Wspomnieliśmy już, że Batory po pojednaniu się w Warszawie z prymasem i z Litwą, pierwsze zaraz kroki obrócił do Tykocina.

---

<sup>1)</sup> Wielka szkoda że sąd lustratorski nie przytoczył szczegółów wszystkich zażaleń, jakie włościanie mazowiecy w swój skardze spisali. Widać więc, że nie uznawali tego potrzeby, gdy szło o same tylko nieustające robocizny do zamku.

Tam bowiem jako małżonek Anny Jagiellonki, miał już prawo do skarbów w zamku złożonych, które, po załatwieniu w tém mieście kilku prac ważniejszych Rzeczypospolitej, przewiózł następnie w powrocie swoim do Warszawy. Górnicki więc pod tym względem, wywiązał się także z całą dumą szlachetną z wielkiego zaufania, jakie w nim królowie polscy i cała Rzeczpospolita położyli.

Również w sprawie powyższej z włościanami, usprawiedliwiony przed królem i sądem, zdawało się że już spokojnie nadal żywot swój będzie pędził w swoich starostwach. Sumienne jednak i energiczne jego postępowanie, w spełnianiu urzędu swego starościńskiego, zjednało mu nowe dalsze troski i zatargi. Przeddziecki w szacownych swoich poszukiwaniach, wykrył nam i ogłosił sześć takich spraw, a mianowicie: 1) o grunta z plebanem tykocińskim ks. Stanisławem Fogelwedrem, co załatwiono za powagą Anny Jagiellonki w r. 1585, przez wyznaczoną do tego kommissyę; 2) z włościanami wsi starościńskiej Siekierki w r. 1590, którzy skargę na niego zanieśli do królowej, o krzywdy w poborze danin od nich przypadających. Monarchini poleciła Górnickiemu, aby sami włościanie wnosili podatki do rąk poborców; 3) z mieszkańcami okolicznymi o myto pobierane na moście tykocińskim. Sprawę odesłano do sejmu; 4) r. 1592 w obronie włościan wsi starościńskiej Jeżewa o napady i gwałty na nich przez niejakiego Pogorzelskiego; 5) r. 1596 w obronie włościan starościńskich z wsi Leśniki i Sawino, co do zdzierania ich przez wymaganie myta na Bugu pod miastem Kamieńcem; 6) r. 1599 z Katarzyną Pilchowską leśniczyną tykocińską, która w czasie wydalenia się naszego historyka do Ziemi Sandomierskiej, odmówiła dostawy drzewa do zamku i folwarków.

Widzimy więc, że Górnicki do samej prawie śmierci w r. 1602 nastąpniej, ciągle miał jakieś zatargi ze złej woli obcych osób wynikające, bynajmniej zaś z nadużyć, jakie mu przez podawanie skarg do Batorego i Anny Jagiellonki przypisywano. Owszem sprawy wyrażone pod liczbą 3, 4, 5 i 6, właśnie sam rozpoczynał w obronie włościan swego starostwa, lubo niektórzy z nich przedtém gromadnie skarżyli go do króla. Jest to więc znamięm zacnego jego sposobu myślenia, że zamiast mścić się na swoich wrogach, bronił ich owszem, gdzie tego była potrzeba.

W przekonaniu, że dzisiejsza wzmianka nasza o Górnickim, zachęci innych do robienia poszukiwań, nad żywotem tak znakomitego naszego pisarza, załączamy spis wszystkich posiadłości, składających starostwo Tykocińskie, jak zawarte było i spisane w r. 1576 za czasów Górnickiego. Dzierżył je lat 37, być więc może, że ktoś znajdzie w aktach nomenklatur poniższych, jakie o nim zajmujące rysy jego życia; będzie więc mógł dalej poszukiwania robić we właściwych księgach grodzkich lub ziemskich.

Starostwo to po raz pierwszy dostało się Górnickiemu, gdyż dawniej przed r. 1565, stanowiło dobra stołu królewskiego. Podział

więc, jaki znajdujemy w lustracyi z r. 1576, jeszcze zachowano dawniejszy, tojest na folwarki, wójtostwa i wsie.

Oprócz samego miasta i zamku tykocińskiego, składało się z 3 folwarków:

I. Stelmachowski obejmował trzy wójtostwa: 1) *Sannickie* z wsiami: Sanniki, Sawino i Leśniki; 2) *Broniszewskie* z wsiami: Broniszewo, Radule, Pajewo, Jeżewo; 3) *Łopuchowskie* z wsiami: Łopuchowo, Stalmachowo, Kapicze, Kobyłino i Makowo. Wieś Kapicze król Zygmunt August oddał na dziedzictwo Jaszewskiemu.

II. Lipnicki obejmował wójtostwo Złotoryjskie z dwiema wsiami Złotorya i Siekierki.

III. Mazury z jedném wójtostwem Mazurowskiém, które nieściło w sobie cztery wsie: Mazury, Brok, Wólkę i Kalinowo.

W samym Tykocinie było jeszcze kilka wólk za mostem, zwanych Szelałgowo, które z rozkazu Stefana Batorego oddano w posiadanie Stanisławowi i Herubinowi Herartowiczom, pod obowiązkiem pełnienia służby puszkarskiej w zamku tykocińskim. Nadto z 20 wółek odbywano przez osiadłych służbę, tak zwaną *putną*, których przeznaczeniem było, na każde zawołanie starosty, rozsyłać listy i wszelkie korespondenecye. Wreszcie z 21 wsi i osad okolicznych, wymienionych w lustracyi, posiadacze obowiązani byli w czasie wojennym dostawiać 28 koni. Dochód ogólny ze starostwa tykocińskiego w r. 1576 wynosił ówczesnych złp. 2,695 groszy 29, czyli dzisiejszych przeszło 4,000 rubli.

Z powodu braku w Warszawie wszelkich lustracyj starostwa wasiłkowskiego, wzywamy uprzejmie badaczy przeszłości naszej, aby, jeżeli natrafiają na podobny spis z lat od 1565 do 1602, raczyli ściśle odczytać i porównać z temi szczegółami, jakie dziś ogłaszamy o Górnickim. Znajdą tam bowiem z pewnością jeszcze więcej ryśów jego żywota.

## KORRESPONDENCYA.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Z końcem ubiegłego roku wyszły z pod prassy rytowniczej w Stockholmie cztery obrazy, a raczej plany obrazową znakomitęj wartości, jedyne może w swoim rodzaju. Obrazy te wykonane przez rysownika, architekta pana O. A. Mankel, przedstawiają cztery najważniejsze momenta wielkiej orężnej epoki narodu szwedzkiego, jako to: *Bitwy pod Lipskiem 1631; pod Warszawą 1656; pod Lund 1676 i zwycięstwo pod Narwą 1700 roku.*

Cztery te artystycznie wykonane plany obrazowe wielkiego rozmiaru zaliczyć należy do najcenniejszych nowości i możemy je zalecić

jako rzeczywiście przyjemną i estetyczną, a bardzo pouczającą ozdobę bibliotek i pracowni każdemu lubownikowi i badaczowi wspomnień dziejowych.

*Bitwa pod Lipskiem*, przedstawia nam tę europejską chwilę w najdrobniejszych szczegółach. Obraz zdjęty jest od strony północno-wschodniej i obejmuje widnokrąg walki zamkniętej pomiędzy rejtaryą Pappenheima, a prawym skrzydłem Wielkiego Gustawa Adolfa. Wszystkie najdrobniejsze szczegóły, z pewnym rodzajem pedantycznej dokładności, oparte są na gruntownych badaniach historycznych ze źródeł pewnych, z pomników autentycznych zachowanych w archiwach państwa. Przypatrując się pięknemu temu obrazowi, niemal każde poruszenie porozrzucanych brygad i licznych szwadronów można zrozumieć i ocenić. Wszystko głęboko wystudyowane i tak umiejętnie przedstawione, iż można odrazu zrobić sobie dokładne wyobrażenie chwili ówczesnej i uplastyczyć ją w całej prawdzie, na jaką ciekawość i fantazyja nasza w dziedzinie badania historycznego zdobyć się mogą.

Jest to prawdziwe dzieło sztuki i pracy sumiennej, godne zaiste uznania i naśladowania.

Artysta w ogóle, obok głębokiej a sumiennej nauki i pracy historycznej w poszukiwaniach swoich, wziął sobie za wzór wielkich poprzedników, ilustratorów szwedzkich: Erika Dahlberga, generała kwatermistrza ówczesnej armii, i Lembkego, którzy zawsze swoje historyczne ryciny i obrazy w perspektywie *à vol d'oiseau*, pozwalającej przedstawić całość, rysowali, uplastyczniając prawdę historyczną w całym znaczeniu tego wyrazu.

Prawda jednakże w wykonaniu ówczesnych mistrzów a zwłaszcza pod rylcem Dahlberga poetyzowaną bywała, ustępując estetycznym fantazyjom autora, który goniąc przeważnie za dobrym smakiem, pięknnością rysunku, podobieństwem portretów, szukał w obrazie swoim więcej wypracowania niż sprawozdania historycznego.

Artysta dzisiejszy, pan O. A. Mankel, w głównej tylko postaci sportretuje nam wiernie bohatera swojego obrazu, rzuca wizerunków kilka wybitnych, ale więcej mu chodzi o całość bitwy, o dokładność historyczną obrotów armii, o uplastycznienie pozycyi. W obrazie artystycznym plan naukowy w całej jego powadze i prawdzie historycznej nam przedstawiając, nie historią sztuce, lecz sztukę historii, fantazyję prawdzie, w usługi oddaje.

W bitwie pod Lipskiem np. pan O. A. Mankel w głównej tylko postaci zobrazował nam portret Gustawa Adolfa, który króluje w całości na ślicznym swoim siwoszu; przy nim Bannér i całe otoczenie monarsze, w dramatycznym uchwycone obrazie, a oddane z takim artyzmem, z takim wyrazem prawdy, wykonane tak gruntownie z całym efektem perspektywy i kolorytu, że słusznie praca autora znaną i ocenioną być po za granicą ojczyzny jego powinna.

Obraz bliżej nas zajmującej bitwy *warszawskiej* z roku 1656, na tych samych jest zasadach oparty i wykonany. Jak Gustaw Adolf pod Lipskiem, tu pod Warszawą na pierwszym planie artystycznie sportretowany jest Karol X w zapasach z oddziałem Tatarów. Dzień pośpny, szczegóły spraw orężnych z całą prawdą i swobodą sumiennego artysty są wykonane wybornie; perspektywa dokładna, całość pod każdym względem zajmująco ugrupowana, a czerpana przeważnie podług oryginalnych własnoręcznych rysunków Eryka Dahlberga.

Pod miastem *Lund*, w obrazie trzecim, widzimy znów jasny pejzaż zimowy. Jest to jeden z najkrwawszych a najważniejszych momentów historycznych Północy: starcie się Danii z Szwecją, która pamiętny dzień bitwy w historii swojej wojennej, krwią zapisała chwalebnie.

Tutaj występują na pierwszym planie i górują w obrazie dwaj królowie Północy na czele swoich szeregów.

Najwięcej zaś, naszym zdaniem, efektu robi utwór ostatni obraz słynnej bitwy pod *Narwą*, przedstawiający ów bój wiekowy w śnieżnej oprawie północnego klimatu. Jest to obraz zasługujący na szczególną uwagę, tak pod względem artystycznym jako i dokładności historycznej; rytowany głównie według bardzo ciekawych wzorów, które są przechowane dziś tylko w *unikacie* będącym w posiadaniu słynnego muzeum prywatnego, p. Chrystyana Hamer, w Sztokholmie. Są to piórem wykonane rysunki naocznego świadka, współbohatera z pod Narwy, półkownika, hr. Per Georg Sparre, a wykończone w rok po zwycięstwie zaledwo, i przechowywane długo w bogatych arhiwach familii hr. De la Gardie. Rycerski pochód reitarów szwedzkich, *Karolowe drabanty*, mury i wały forteczne Narwy, znana powszechnie postać północnego rycerza, ten wiekopomny w historii Karol XII otoczony rycerskim sztabem, wpośród którego widny generał Renskild, stanowią w całości rzeczywiście obraz niepospolity, którego wykonanie zadowolnić może pod każdym względem.

Wszystkie te rysunki w ogóle odznaczają się tém więcej prawdą historyczną i rzetelnością, iż wiemy że autor osnuł je na głębokiem badaniu starych podań, rysunków i opisów ówczesnych, przechowywanych w arhiwach państwa, jako spuścizna świadków naocznych. Widoki więc ówczesnych miejscowości, zarówno z portretami, skład i pozycje wojska łącznie z dokładnością ubiorów, broni i całego przyboru, są prawdziwe, wystudyowane i poprawiają błędy fantazy mistrzów dotychczasowych, w dawniejszych rysunkach udowodnione.

Zalecając więc pracę pełnego zasługi ilustratora, historyka, zwracamy na dzieło niniejszą uwagę zajmujących się tego rodzaju utworami, amatorów wszelkiej narodowości, mając przekonanie, że równie w Polsce, jak Rosyi i innych krajach Europy praca pana O. A. Mankel, z zasłużoną sympatją i należnym uznaniem przyjętą i ocenioną zostanie.



Cena w proporcji do kosztów ozdobnego wydania nadzwyczajnie przystępna. Karta pojedyncza kosztuje 10 koron, wszystkie cztery razem 30 koron. Korona szwedzka mniej więcej 35 kopiejek. Nabyć można w magazynie p. Henryka Bukowskiego w Stockholmie. Jacobstorg nr. 3, jako też w znaczniejszych księgarniach stolicy.

W. Eng.....

## KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Dzieło p. Odysse-Barrot. *Historja literatury współczesnej w Anglii od 1830 do 1874 roku.* — Dziennikarstwo. Poezya. — Burns. Pocii rzemieślnicy. — Współdziałanie poezji w reformach społecznych. — Życiorys Micheleta, przez Gabriela Monod. — Torwaldsen, jego żywot i dzieła, przez Eugeniusza Plon. Stosunki z Byronem i Walterskotem. Konferencya Legouvego. Samson. — Towarzystwo artystów dramatycznych. — Przyjęcie Aleksandra Dumasa do akademii Francuzkiej. — Mowa akademicka: odpowiedź p. Haussouville.

Pod ogólnym tytułem: *Historja literatury współczesnej w rozmaitych krajach Europy*, księgarnia Charpentier wydała niedawno *Historję literatury włoskiej*, p. Roux, której dotknęliśmy już mimochodem, zanim powiemy o niej szczegółowo. Obecnie ukazał się w druku nowy tom p. Odysse-Barrot, p. t.: *Historja literatury współczesnej w Anglii od 1830 do 1874 roku.* Aby uczynić obraz pełnym i dokładnym, autor umieścił na czele obszerną rozprawę, zajmującą sto trzydzieści stronnic, o całym biegu literatury angielskiej, od czasów najdawniejszych, to jest od anglo-saxońskich kronik i ballad. W owej rozprawie znajdujemy wspaniały zarys epoki *Elizabetynskiej*, nad którą panuje nieśmiertelna postać Szekspira. P. Odysse-Barrot oddając hołd należny gieniuszowi angielskiemu, dowiódł że zarzut zrozumienia czyniony Francuzom, nie zawsze bywa słuszny. Zobaczmy jak francuzki krytyk określa tę epokę.

„Pod względem samodzielności gieniuszu, różnaitości utworów i niesłychanej potęgi myśli, wątpię — mówi autor — aby którykolwiek lud, w jakimkolwiek państwie wieków, wydał równie bogatą literaturę, jak

Anglicy w epoce zwanej *Elizabetyńską*. Ani wiek Peryklesa w Grecyi, ani Augusta w Rzymie, ani Leona X we Włoszech, ani wiek Ludwika XIV we Francyi, żaden z nich nie może współzawodniczyć z tą pamiętną epoką.“

Autor w śmiałych rzutach pióra, szkicuje postacie wielkich koryfeuszów: Szekspira, następnie Milтона; przechodzi wreszcie do przewrotu jaki się spełnił w literaturze angielskiej w końcu XVIII wieku. Okres rozpoczęty wówczas, ciągnie się do chwili obecnej. Zamiast poezyi i dramatu występują dwie nowe potęgi, podbijają dziedzinę literacką, rozdzielają władzę pomiędzy siebie: jedną z nich powieść, drugą prasa dziennikarska.

Do owych czasów, dziennik nie istniał w świecie, ledwie gdzie niedzide dostrzegane słabe jego zarody. Rzymianie mieli tak zwane *Acta diurna*, Wenecya w r. 1533, w chwili zapasów z Turkami, postanowiła udzielać co miesiąc mieszkańcom wiadomości tak wojennych jak i handlowych. Spisywano je na świstkach i dawano czytać za małeńką opłatą. Drobną monetą używaną w Wenecyi, zwana *gazetta*, nadała nazwę owym świstkom. Podejrzliwa rzeczpospolita nie pozwałała na ich drukowanie. Wkrótce potem powstały we Francyi *afisze* z różnego rodzaju obwieszczeniami. Zrazu przylepiano je na murach; później puszczano w obieg. Anglia poszła dalej. Z czasów Jakóba I-go poczęły ukazywać się od czasu do czasu, małeńkie zbiory wiadomości zagranicznych; następnie w skutek ciekawych wypadków wojny trzydziestoletniej, zaczęto drukować Kronikę Tygodniową: *the weekly news*. Agenci redakcyi snuli się po ulicach i kawiarniach, zbierali wiadomości brukowe, ogłaszali sądowe procesa i nowiny z dworu królewskiego. Wojna domowa nadała większe znaczenie owym pisemkom i pomnożyła znacznie ich liczbę. Niektóre miały charakter humorystyczny jak: *Mercury z Acheronu*, *Wiadomości z piekła*, *Sowa* i t. p. Z powrotem królewskości, owe świstki mnożyły się coraz bardziej, lecz nie rozszerzały ram swoich. Każdy z nich składał się z dwóch małeńkich karteczek, z tych jedna biała służyła do pisania.

W takim stanie dziennikarstwo przetrwało do końca XVII wieku, kiedy nagle Daniel de Foe, sławny autor Robinsona, wprowadził je na nowe drogi i uczynił prawdziwą potęgą. Wtrącony do więzienia *Newgate* za pamflet przeciw kościołowi anglikańskiemu, Foe z głębi więziennój celi rzucił w świat w r. 1704, pierwszy dziennik godzien tego imienia, dziennik jakiego nie miała dotąd żadna literatura w Europie. Pismo to pod tytułem *The Review*, wydawane trzy razy w tydzień, zarazem polityczne, literackie, handlowe, krytyczne i anegdotyczne, chłostało surowo obyczaje, wyszydzało bez litości wady współczesnych, rzucało wszystkim stronnictwom prawdę w oczy, tak torysom jak wighom. Daniel Foe przebił pierwszy lody i utorował szeroką drogę; w ślady jego poszło dwóch publicystów: Steele, wydawca *Gaduby* (the Tatler) i Adisson wydawca *Spektatora*. Zacięta polemika tych dwóch szermierzy, zajmowała żywo publiczność i przyczyniła się

dzielnie do szybkiego rozwoju dziennikarstwa. *Spektator* poświęcony przeważnie sprawom literackim, objęty w ósmiu tomach stanowi najważniejszy pomnik literatury angielskiej.

Tak nagły rozrost publicystyki przeraził torysów. Bolingbrook, chcąc położyć mu tamę, obciążył dzienniki podatkami. Walpole w inny umyślił działać sposób. Rozrzucił milion franków z górą pomiędzy najemnych pismaków. Żaden wyższy talent nie uległ tej pokusie. Zabroniono ogłaszać posiedzenia parlamentu; dziennikarze potrafili ominąć prawo. Figury poetyczne przyszły im dzielnie w pomoc. Przeistoczyli izbę w rzymskie Forum: Walpole występował odziany w togę Tulliusza Cyncerona. Pokonany parlament uległ w końcu: był to potężny tryumf pióra!

Długo jednak dziennikarstwo przyciśnięte podatkami, nie mogło przyjść do prawdziwego rozwoju. Jeszcze w r. 1836, stempel każdego egzemplarza wynosił cztery pensy (20 groszy). Zniżono go do pensa, aż nakoniec sławny powieściopisarz Lytton Bulwer, w skutek usilnych zabiegów, skłonił izbę do usunięcia tej ostatniej zapory. Odtąd datuje się olbrzymi rozrost dziennikarstwa w Anglii.

P. Odyse-Barro porównywa prasę angielską do francuzkiej i przyznaje pierwszej nieskończoną wyższość nad drugą. „Demokratyzując się coraz bardziej—mówi autor—tania prasa angielska stała się łagodną i umiarkowaną, wyrobiła w sobie godność, dobry smak, i powagę. Kłótnie dawnych szermierzy pióra, byłyby dziś prawdziwym anachronizmem. W praktycznej Anglii dzienniki nie trwonią czasu na próżną polemikę, gdy tymczasem wojowniczość prasy francuzkiej świadczy o smutnym stanie podrażnionych umysłów. Jak tłumy zbierają się około psów rozartych, tak publiczność nasza otacza kłócące się dzienniki; szuka wrażeń, inaczej zabawy, nie zaś prawdziwego pożytku.“

Przed usunięciem podatkowego stempla, Wielka Brytania liczyła niespełna 400 dzienników; w roku 1874 liczba ich wzrosła do 1,585! Z tych 314 przypada na Londyn, 915 na resztę Anglii, 58 na kraj Gallów, 149 na Szkocję, 131 na Irlandyę, 18 na drobne wyspy. Oprócz tego istnieje 639 przeglądów, z których 242 poświęcone wyłącznie religii.

W tej ogromnej liczbie, prasa peryodyczna przedstawioną jest przez 121 pism codziennych. Na Londyn przypada ich 13, na prowincję 108. Ogromna i w tém różnica od centralistycznej Francji, gdzie sam Paryż pochłania dwa razy tyle dzienników, niżli wszystkie razem departamenta. Londyn ma oprócz tego mnóstwo pism niedzielnych, w których lud roboczy znajduje streszczone wybornie wypadki polityczne z ubiegłego tygodnia. Najpopularniejszy z tych tygodników *Lloyds-Weekly newspaper*, rozbiega się w 500,000 egzemplarzach!

Król dzienników angielskich „Times“, założony w r. 1788, przed lat trzydziestu obejmował zaledwie cztery stronnice, dziś liczy do 120 kolumn. Numer jeden gdyby wydany był zwykłym drukiem w ósem-

ce, utworzyłyby od dwóch do trzech tomów. Drukarnia Timesa należy do ciekawości londyńskich.

Daniel Foe, pierwszy promotor dziennikarstwa w Anglii, był niemniej twórcą nowoczesnej powieści. Swoim nieśmiertelnym Robinsonem otworzył drogę, równie genialnym, równie prawie popularnym, przynajmniej w swym kraju, pisarzom: dość tu wymienić Ryszardsona, Fieldinga, Sterna i Goldschmidta, którzy tak błyszczą w paśmie XVIII wieku, a których nie przyćmił w wieku XIX gieniusz Walterskota, ani Dickensa.

Przejdźmy do poezyi. Na tém polu dziwną sprzecznością rzezy ludzkich, prozaiczna, zimna, pozytywna Anglia, w końcu zeszłego wieku rzuciła w świat hasło nowego porządku, stworzyła szkołę romantyczną. Z łona oligarchicznego społeczeństwa wyszła najdemokratyczniejsza literatura, jaka istnieje w świecie. Rzućmy pobieżnie okiem na jej rozwój.

Po słonecznej epoce XVI wieku, której Milton acz późniejszy, ostatniem był odbiciem, nastąpiły czasy upadku i uśpienia. Nagle w końcu XVIII wieku, poezya występuje na widownią. W roku 1798 w cieniu gór szkockich rodzi się prawdziwy poeta, samodzielny gieniusz, który popchnie poezją w nowe, nieznane szlaki, który wyleci z gniazda jak jaskółka, zwiastunka nowej wiosny. Tym odnowicielem poezyi, tym promotorem romantyzmu był Robert Burns, ubogi szkocki rolnik. Nie wyuczony w żadnej szkole, poganiając woły na roli, wyśpiewał on pieśń świeżą, z pełni młodego serca, pieśń tak rzewną i uroczą, że poruszył nią cały naród. To ubolewa nad dolą stokrotki polnej, którą wyorał pługiem, to nad losem biednego kreta, któremu spustoszył legowisko. To humorystyczny, to uczuciowy, na przemiany, niekiedy nawet realista, śpiewa na wszystkie tony, w najrozmaitszych barwach maluje krajobrazy szkockie i obyczaje szkockiego ludu. W dwudziestym siódmym roku życia wydaje pierwszy zbiorek pieśni; te pieśni przebiegają kraj cały, są wkrótce w ustach wszystkich. Śliczne obrazki jak: *Sobotni wieczór w chacie wiejskiej*, *Swobodni żebracy* a szczególnie *Tom o Shanter*, to prawdziwe klejnoty poezyi. W dziesięć lat potem umarł Burns, ale imię jego stało się nieśmiertelnem, nie przyćmiła go nawet sława Byrona!

Burns stworzył nową szkołę. Pierwsi uczniowie jego, tak w Szkocyi, jak i w Anglii, pochodzą w wielkiej części z prostego ludu, śpiewają przy pługu lub warsztacie. Robert Tannahill, znakomity liryk w balladach dobiega mistrza swego; w trzydziestym szóstym roku zakończy życie samobójstwem. James Hogg, pastuszek z Ettrick śpiewa dumy pełne twórczego ducha, i wspólnie z Walterskotem zbiera poezye z ust szkockiego ludu. Alan Cunningham, czeladnik mularski, pracą i siłą, woli staje się nietylko poetą, lecz znakomitym prozaikiem i krytykiem. Kirke White, syn i pomocnik rzeźnika, później tkacz, w czternastym roku chwyta za książkę i za pióro; w dziesięć miesięcy wyucza się łaciny, czyta Horacego, bada język grecki, włoski,

hiszpański; w siedemnastym roku wydaje zbiór poezyi: w dwudziestym pierwszym umiera z wysilenia! Robert Bloomfield, ubogi szewc, bez nauki, w *Powiadkach wiejskich* okazuje prawdziwie twórczy talent; kończy dni w nędzy i obłąkaniu!

Najwyższym dowodem, do czego silna wola doprowadzić może człowieka, jest sławny John Clare, wieśniak z Northampton, autor *Grajka wiejskiego*, ślicznej powiastki ludowej. Do trzynastego roku pogania woły, umie trochę czytać i pisać. Zbiera po miedziaku, pracuje za dwóch, aby kupić tomik poezyi Thomsona, który przypadkiem wpadł mu w rękę; wreszcie zebrał szyllinga! Biegnie przed świtem do pobliskiej mieściny; czeka z bijącym sercem rychło księgarz otworzy kramik. Chwyta gorączkowo książkę, czyta ją wracając do wioski. Znużony zatrzymuje się chwilę, siada na powalonym pnju i kreśli pierwsze rymy. Odrazu pozyskuje wziętość. Dzienniki wysławiają go, możni obsypują dostatkiem. Poeta żyje szczęśliwy z żoną i gronem dzieci, obok starych rodziców, chlubiących się ze sławnego syna. Szczęście to krótko trwało. John Clare upojony powodzeniem, rzuca się w jakąś rolniczą spekulacyą, traci wszystko co zebrał. Nędza przyprowadza go do rozpacz: umiera w domu obłąkanych!

Inny poeta Ebenezer Elliot, gisernik z Yorkshire, opiewa rodzinne góry, a co więcej przykłada rękę do serca braci robotników; oblicza ich rany, wyraża je natchnioną pieśnią. Rozpoczął dzieło podjęte później prozą, przez sławną powieściopisarkę panią Gaskell. Wziął on czynny udział w ruchu robotników z Manchester z pieśni jego: *Corn-laws-rhymes* (O prawach zbożowych), przyczyniły się wielce do zniesienia podatku ciężącego na ziarnie, w skutek zabiegów Roberta Peel.

Popęd raz dany nie ustaje. Szkocya ojczyzna Burnsa, przezwaną parnasem Wielkiej Brytanii, wydała w drugiej połowie bieżącego wieku znaczną liczbę samorodnych bardów. Wśród tych znakomite miejsce zajmuje kramarz wędrowny William Thom. Przebiega on wieś i miasteczka z żoną i liczną dźwiatwą; kołacze we wszystkie progi; sprzedaje ubogi towar, powtarza cudne wiersze, w końcu umiera w nędzy. Pieśni jego zyskały popularność. Do najpiękniejszych liczą: *Figle ślepego dziecka*; *Pieśń przy tkackim warszłacie*, a szczególnie *Dziecię bez matki* (the Mitherless Bairn) prawdziwe arcydzieło. James Ballantine, malarz na szkle, pozostawia pieśni liryczne, niemniej sławne jak szyby jego pendzla w pałacu westminsterskim. MacLagan kreśli wymowny obraz nędzy ludzkiej, w zbiorce p. t. *Rymy szkolne dzieci w łachmannach*.

W Anglii, muzą rzemieślnicza podąża w ślad za szkocką. Tomasz Ragg powroźnik z Nottingham, dziś pastor anglikańskiego kościoła, opiewa Boga i religią. Tomasz Cooper, szewc z Leicester, nie wypuszczając sztyki ani kopyta z ręki, uczy się sam po łacinie, po grecku, po hebrajsku i po francuzku. W dwudziestym trzecim roku zostaje nauczycielem w szkółce, później dziennikarzem. Mianowany

głową *Chartistów* w Leicester, bierze udział w ruchach rzemieślniczych r. 1841. Skazany na dwuletnie więzienie, pisze za kratą: *Czyszciec samobójców*, później *Boże Narodzenie u Barona*. Wypuszczony rzuca w świat powieści socjalistyczne, wydaje dziennik, organ szalonych teorii. W późnej starości powraca na drogę religijną, aby wypełnić ziarno bezbożności jakie długo posiewał, przebiega dziś Anglią i Szkocją, powołuje rzemieślników od warsztatu, uspokaja wzburzone ich umysły. Wyższy od niego talentem Tomasz Miller, koszykarz z Linkholn, dzięki poparciu Moora i innych, zajmuje dziś wysokie stanowisko w literaturze. Jako prozaik i poeta, jest to najpłodniejszy pisarz tych czasów. Imię jego zyskało niesłychaną popularność.

Do tych pisarzy dołączamy ślepą Irlandkę, Franciszkę Brown, która postradawszy wzrok w siedmnastym roku, rzuciła się z zapalem w literaturę. Jój *Pieśni o kraju naszym* zwróciły uwagę Roberta Peela: ten mąż stanu otoczył ją opieką i wyjednał jój dożywną pensję. W ostatnich czasach nakreśliła rodzaj smętnej autobiografii p. t. *Moje miejsce pod słońcem* (My share of the World).

Oprócz tych poetów czysto ludowych, Anglia od pięćdziesięciu lat wydała całą falangę obrońców nędzy ludzkiej, na polu poetycznym. Szereg owych poetów-filantropów rozpoczyna Jerzy Grabbe. Syn zamożnej rodziny mieszczańskiej, nagle przyszedł z dostatków do ubóstwa; zmierzył się z nędzą oko w oko. Upokorzony wzgardą wielkich, jał malować cierpienia nędzarzy. Rozwija on po jednej wszystkie plagi toczące społeczeństwo: przedstawia je w najczarniejszych barwach. To staje nad wezglowiem skazanego na śmierć delikwenta, wypowiada jego wyrzuty, jego sny rozpaczliwe; to znów kreśli obraz koczowisk cygańskich, ukazuje kryjówki kontrabandzistów i brakonierów; to zagląda do chaty konającego rybaka, to wchodzi w cuchnące progi Workhauzu.

Równie gorzki ton zaprawia wszystkie poezye Crabbego. Poemata *Regestr parafialny*, *Wiś*, niesłychane miały powodzenie. Dzienniki powtarzały liczne ustępy z Workhauzu. Są to po prostu obrazki rodzajowe. Poeta nie wypowiada wojny społeczeństwu, nie wyprowadza wniosków, maluje tylko ludzkie rany.

Inny poeta Tomasz Hood dzielniej jeszcze wystąpił w sprawie ubogiego. Obrazki jego pełne sily dramatycznej, połyskują często kroć humorem; uśmiech pomieszany w nich ze łzami; żart rzucony zniechcenia jakby przypadkiem, porywa czytelników, wyciska im łzy z oczu. Właściwa to cecha geniuszu angielskiego, widzimy ją w Szekspirze i Dickensie. Hood prawdziwie jest narodowym poetą.

Pierwszy zbiór jego pieśni: *Whims and Oddities*, jest dziś we wszystkich rękach: liczby wydań określić niepodobna. Znany też powszechnie satyryczny poemacik: *Up the Rhine* (Na Renie), wyszydza w nim poeta śmieszności turystów angielskich. Pisał on także obszerniejsze poemata, ale w drobnych obrazkach najsilniej odbija jego talent.

Tomasz Hood umarł przed kilkunastu laty, w czterdziestym siódmym roku życia. Ostatni utwór jego: *Pieśń nad koszulą* (The song of the shirt), najżywotniejszym jest wyrazem demokratycznych jego uczuć. Maluje w nich czarnemi barwy smutną dolę ubogich szwaczek londyńskich. Ten bolesny wykrzyk nędzy i głodu poruszył w Anglii wszystkie serca.

Taż sama dążność postępowa, toż samo współczucie ku wszystkiemu co cierpi, odbija w utworach poetek angielskich. Jedna z nich pani Northon, sześćdziesięcioletnia dziś kobieta, przezwana *Byronem niewieściem*, oprócz wielu innych napisała poemat: *Dzieci z wysp* i poświęciła go małemu podówczas księciu Walii. Jestto gorąca odezwa na rzecz robotników. Pytania społeczne były zawsze głównym tematem jęj prac tak pisanych wierszem, jak prozą.

Inna poetka Elżbieta Browning, zmarła przed kilką laty, z równym zapałem rozwija myśl demokratyczną. Celem jęj zbliżyć do siebie wszystkie społeczne warstwy. W poemacie *Geraldina* przedstawia córkę lorda zakochaną w prostym wieśniaku. Piękna hrabianka oceniając szlachectwo duszy i poetyczny geniusz młodziana, oddaje mu rękę, dumna z wyboru swego. W innym maleńkim poemaciku: *Wykrzyk dzieci*, stawia w obronie biędnych dzieci, pracujących po wielkich rękodzielnich i kopalniach podziemnych.

Poemacik ten mimo wszelkich niedostatków, mimo braku prostoty jaki jęj zarzucają, wywarł przecież niesłychany wpływ na umysły; poruszony nią parlament, postanowił prawa łagodzące los nieszczęśliwój dziatwy: uregulował pracę ich po warsztatach. Słowo odniosło najpiękniejszy tryumf, jakiego zapragnąć może poeta, droższy nad wieńce i oklaski. Wierna przyjętėj zasadzie autorka, mówi we wstępie do pieśni swoich: „Poezya była zawsze dla mnie poważną sprawą, niemniej poważną jak życie, które zawsze brałam na seryo. Nie pojmuję, aby sam dźwięk pieszczący ucho, miał być ostatecznym celem poezyi!“

Poeta Karol Mackaj stał się dziś apostołem reform politycznych i społecznych. Ulotne jego pieśni krążą po wszystkich pismach i dziennikach. Do najlepszych utworów jego zaliczają: *Głosy tłumu* (Voices from the crowd), *Legendy z wysp* i *Pieśni miasta*. Ostatni zbiór: *Pod błękitném niebem*, wydany był przed dwoma laty.

Naczelnikiem dzisiejszėj szkoły poetów angielskiej jest Schelley, współczesny Byrona, zmarły na krótko przed nim w sile wieku. Byron, który tak potężnie oddziaływał na literaturę wszystkich ludów europejskich, który znalazł tylu naśladowców w najdalszych stronach świata, nie stworzył nigdy szkoły w własnej ojczyźnie. Anglia miała Byrona, ale nie miała Byronizmu, nie miała i nie ma Byronistów. Kto wie, czy przyszli krytycy za jakie lat pięćdziesiąt nie powiedzą zarówno: Anglia miała Darwina, ale nie miała Darwinizmu!

Schelley, mało znany Europie, pociągnął za sobą całą falangę poetów angielskich, a pociągnął ją w czterdzieści lat po skonie.

I w pojęciach Schelleya poezya to nie sztuka dla sztuki, raczj oręđ do osiągnięcia celu: celem tym szczęście ludzkości! „Zaden z poetów angielskich, mówi Odysse Barrot, nie uległ tyle jak on wpływowi rewolucyi francuzkięj. Urodzony w przeddzień 10 sierpnia 1789 r. przy konaniu królewskości we Francyi, wyssał on z macierzyńskim mlekiem wrazenia wielkiego przewrotu. W dziecinnych latach słyszał o gilotyynie, o głowach spadłych na rusztowaniu, o starcach i niewiastach przepełniających więzienia, o smutnych ofiarach i nieprześląganęj konwencyi. Wszystkie te wrazenia oplotły myśl dziecka zaklętem kołem, wrosły w jego krew i w szpik kości. Krótkie życie poety było pasmem szaleństw, niemniej romantycznych jak jego poemata. Zagnany pod obce nieba, poznał się we Włoszech z Byronem, związał z nim najściślejszą przyjaźń: przeżyli razem lat cztery.

Śmierć Schelleya równie dramatyczna jak cały żywot jego. Okręł *Don Juan*, na którym płynął, rozbił się napędzony burzą na skały. Poeta utonął w falach morza Śródziemnego. Po sześciu tygodniach majtkowie wydobyli ciało; ze względów higienicznych, spalono je na stosie. Był to pogrzeb prawdziwie homeryczny. Lord Byron w obec płonącego stosu, powtarzał po grecku pieśń z Illiady, w której Achilles oddaje ostatnią posługę drogiemu Patroklesowi. Popiół zgarnięto w urnę, przewieziono do Rzymu; tam złożono na cmentarzu protestanckim, u stóp zburzonego fortu Serwiusza Tulliusza.

Schelley próbował różnych rodzajów poezyi: we wszystkich okazał się mistrzem. Jest on poetą filozoficznym w *Prometeuszu*, *Królowej Mab* i *Alastorze*. Alastor to drugi Child Harold, z tą różnicą, że daleki od sceptycyzmu, pełen zapału młodzieńczego, wierzy w przyśkość ludzkości.

W *Buncie islamu* występuje Schelley jako poeta polityczny. Pod osłoną tytułu wschodniego, jest to apoteoza rewolucyi francuzkięj. Potrzeba było wielkięj odwagi, aby w roku 1817 wnosić idee, zdeptane świeżo przez tryumfującą Anglią. W poemacie *Julian i Maddalo* wygłasza poeta zasady moralne. Pod wpływem tego utworu Byron zapragnął zrehabilitować się w obec świata i przed własnem sumieniem; porwany poematem *Hellas*, pośpieszył do Grecyi!

W elegii Adonais, Schelley oplakuje przedwczesny skon poety *Keats'a*; w humorystycznym obrazku *Peter Bell*, okazuje niezrównaną werwę sarkastyczną. W dramacie *Beatrice Cenci*, potęgą słowa i wyrzeźbieniem charakterów przypomina Szekspira. W sonetach i pieśniach lirycznych staje na równi obok najpierwszych poetów tego wieku. Jego sławna pieśń *Do ludu angielskiego*, istna Marsylianka, rozlega się przy warsztatach i na meetyngach rzemieślniczych.

Poprzestajemy dziś na tém. W kwietniowęj kronice wspomnimy jeszcze o dramaturgach i historykach współczesnych w Anglii. Z dziełem tak bogatę w materyały, jak dzieło p. Odysse-Barrot, skończę w kilku słowach niepodobna.



Praca człowieka nigdy nie była więcej jak dziś szanowaną; możemy to przynajmniej o Francyi. Niech tylko umrze zasłużony człowiek, który podniósł się nad tłum w jakimkolwiek zawodzie, przyjaciele i uczniowie chwytają najdrobniejsze rysy, charakteryzujące zgasłą osobistość, i z pobożnością synowską budują pomnik zmarłemu pracownikowi, dziełem mniejszych lub większych rozmiarów. Niekiedy są to panegiryczne nekrologi; krytyka milknie czasami w obec nieporośniętego trawą grobu, częściej jednak wygłasza śmiało sąd swój, tém śmieliej, że nie lęka się zadrasnąć drgającego jeszcze serca. Publiczność chwytą z upodobaniem takie utwory, zwłaszcza jeśli autor, oddając rysy fizyczne, umiał zarazem odtworzyć psychiczny obraz zmarłego; jeśli rozbierając wykonane prace, wnikał zarazem w budki, jakie dawały do nich pochop.

Wybornie z tego zadania wywiązał się pan Gabryel Monod w świeżo wydanym zyciorysie Micheleta. Był on prawdziwym przyjacielem sławnego historyka, a przecież nakreślił obraz wierny; nie pomija bynajmniej skaz, co szpeciły drogie mu oblicze.

Biograf tłumaczy jednym rzutem pióra, tajemnicę tego niepopolitego geniuszu. Michelet był usobieniem ludu francuzkiego, miał jego zalety i wady: wolę wytrwałą, wyobraźnię poetyczną, gwałtowne uczucia. Sam on mówił o sobie: „Zachowałem po prostych ojcach, tradycyjne przywyknienie do pracy. Dziecko ludu, zawsze nićm pozostałem. Jeżeli wyższe warstwy społeczne mają więcej ogłady, my zato mamy więcej żywotnego ciepła. Ci którzy jak ja, wydobyli się na wierzch z mozołem, o własnych siłach, wprowadzają do sztuki prąd nowy, odradzający, zakreślają sobie wyższy cel; nie mierzą sił własnych, idą raczej za głosem serca.“

Michelet wiele przecierpiał nim wydzwignął się z tłumu. W dziecinnych już latach, twarde przechodził próby. Wątki i chorowity, rósł jak sam mówi, „niby trawa między kamieniami bruku paryzkiego, bez słońca i bez rosy.“ Skazany na przedwczesną pracę, składał czcionki w drukarni dziadka. Podczas gdy ręka pracowała mechanicznie, myśl dziecka wybiegała na skrzydłach fantazyi, w jakieś nieznanne światy. W chwilach wolnych zwiadał pomniki i muzea paryzkie. Tu spotkał się z historją. Te marmurowe posągi stawały mu w oczach niby widma przeszłości, szeptały mu jakieś zakłęte słowa. Rodzice widząc niesłychaną zdolność dziecka, umieścili go w kolegium. Staby fizycznie i ubogi, znosił tu codzienne upokorzenia od szkolnych towarzyszków. Targany ciągłą walką zamknął się też sam w sobie, stał się dzikim i nieprzystępnym. Ale od chwili jak poczuł własne siły, duch jego urósł, serce się rozszerzyło. Wrócił jako profesor do téj szkoły w której tyle przecierpiał. Nowa generacya młodzieży lepiej była usposobioną od dawniejszój. Młodzież ta gorąca, pełna zaufania, pogodziła go wkrótce z ludzkością! Michelet miał dar nieoceniony w professurze: poruszał umysły, budził zapal do pracy; kochał naukę, kochał uczniów, miłością panował nad nimi!

„Jeżeli— pisze sam o sobie—zdobyłem jako historyk wyłączną jakąś zasługę, obok sławnych poprzedników moich (Guizota i Thierrego) zawdzięczam to professorskiemu zawodowi i stosunkom z młodzieżą. A wielcy historycy, mieli świetne pomysły, głęboki sąd o rzeczach. Ja lepiej kochałem niż oni!

Czuł on szczególniejszą wstępną do Guizota. Wymawiał mu że nie jest Francuzem, że w ideach politycznych zapatruje się na Anglików, a nadewszystko że mu brak żywotności. Razu jednego w akademii, podczas rozprawy o indyjskich poematach, kiedy Guizot ganił w nich zbyteczną rozbujalność, Michelet wybuchnął oburzony:

— Pan ich nigdy nie zrozumiesz—zawołał z gniewem—tyś nienawidził życia!

Z pomiędzy wielkich geniuszów starożytności, ukochał on szczególniejszą Wirgiliego; wyraża się o nim z głębokim uczuciem: „On mnie wykarmił pieśnią; dzieckiem podjął mnie na kolana. Ten wieśniak z Mantui, nieśmiały jak dziewczyna, z długim włosiem spuszczonego po więksku na ramię, stał się przecież pomimo wiedzy, jakoby wieszczym Augurem co stoi na rozdrożu dwóch światów, w połowie drogi dziejowej. Indyjanin zakochany w przyrodzie, a zarazem nicomal chrześcianin rozmiłowany w bliźnich, odtwarza on postać człowieka w wielkim sercu, pełnym miłości i twórczej potęgi!“

„Potrzeba i zdolność kochania, mówi słusznie biograf, wycisnęła charakterystyczne piętno na wszystkich pracach Micheleta. Czyli to ożywia martwą przyrodę, czy wskrzesza do życia dawno zmarłe osobistości, serce jego współdziała zawsze z twórczą myślą. Równy bierze on udział w walkach rozhukanych żywiołów, jak w walkach rozpasanych namiętności ludzkich. Kocha lub nienawidzi. Opowiada zdarzenia zaszłe przed tysiącem lat, niby naoczny ich świadek, niby zagorzały współdziałacz. Opisuje życie zwierząt i roślin, jak gdyby żył ich życiem, bolał ich boleścią. Styl jego więcęć poruszony niż obrazowy.“

Z tego to powodu Monod porównywa Micheleta z Wiktorem Hugo; określa różnice ich twórczej wyobraźni. Hugo chwyta zewnętrzną stronę rzeczy, oddaje ją w śmiałych zarysach, z całym bogactwem kolorytu. Michelet głęboki psycholog, nawet mistyk, szuka zawsze strony wewnętrznej. Hugo materializuje duszę, Michelet uduchowia materją. Pod piórem Wiktora Hugo, uczucia mają formę, wydają dźwięki, błyszczą. Pod piórem Micheleta forma, dźwięk i barwa, są tylko objawem uczuć i myśli, ukrytych w głębi duszy.

„Każda istota, którą Michelet ożywia albo wskrzesza—mówi biograf—była dla niego przedmiotem wyłącznej kontemplacji; każdą ukochał gorąco, z każdą się żył, w każdą wrosł całym sercem. Ilekroć rozpoczął pracę jaką, nie był w stanie oderwać się od niej na chwilę, tonął w niej cały. Nie brał do ręki żadnej obcej książki, żadnego pisma, zapominał o wszystkim. Myśl skupiona głęboko,

zwrócona w jedyny przedmiot, przenikała go na wskroś; wpadała jakoby w jasnowidzenie!<sup>4</sup>

Dar to wielki ale nadzwyczaj niebezpieczny. Dzięki tej zdolności, Michelet dopatrywał tak w historii, jak później w fizyologii żywych istot, strony niedopatrzone przez nikogo. A jednak ta przewaga wyobraźni i uczucia nad zmysłem krytycznym, prowadziła go nieraz na bezdroża. Wielki ten umysł nie umiał utrzymać się w równowadze i zanadto ulegał otaczającym go wpływom. Każda epoka historyczna do której przystępuje, budzi w nim najwyższy zapał. Kiedy maluje średnie wieki, tonie w nich duszą całą. Słowa gorące jak lawa, buchają z jego piersi, porywają słuchaczy i czytelników. Przechodzi następnie do czasów odrodzenia: ta epoka przewrotu społecznego porywa go zarówno. Przeklina wieki średnie, pali to co niedawno ukochał. W czém jednak nie zmienia się nigdy Michelet, oto w miłości ku słabym i wydziedziczonym. Czyto jako historyk, czy jako psycholog, wszędzie i zawsze staje w obronie tych co cierpią! W historii podnosi spotwarzone jednostki i ludy; w przyrodzie szczególną otacza miłością słabą ptaszynę, wzgardzonego robaczka; w społeczeństwie apoteozuje kobietę, zranioną gołąbkę, jak ją zowie!

Monod, z całym poszanowaniem dla zmarłego, pokazuje przecież słabą stronę ostatnich jego utworów, kreślonych pod wpływem chorobliwej halucynacji.

W końcu tomu znajdujemy długi szereg prac wielkiego pisarza, z których *Historya Rzymu* i sześć początkowych tomów *Historji Francji* będą wiecznotrwałym pomnikiem Micheleta.

Nie ostatnia to jeszcze biografia, słyszymy że wdowa zmarłego, z notat pozostałych po nim, pisze dokładny i obszerny jego życiorys. Nie przesądzając rzeczy, wyznamy szczerze, iż nie spodziewamy się aby ta praca, miała wartość biografii p. Mond. Będzie to egzaltowana apoteoza i nic więcej. Zarzucają powszechnie pani Michelet, że atmosfera czci jaką otoczyła męża, przyczyniła się wiele do skrzywienia jego pojęć. Temu zaprzeczyć trudno, że od powtórnych związków małżeńskich datuje się upadek jego umysłowy. P. Monod milczy o tém.

Dowiadujemy się z dzienników, iż spadkobiercy wielkiego historyka sprzedali w tych czasach prawo wydawcom, do publikacji licznych jego dzieł, za 196,000 fr.

---

Eugeniusz Plon, członek akademii sztuk pięknych w Kopenhadze, wydał powtórnie ważną pracę swoją p. t.: *Thordwaldsen, jego żywot i dzieła*. Nowa publikacja wzbogaconą została trzydziestu siedmiu drzeworytami, przedstawiającemi portret rzeźbiarza i najcenniejsze jego utwory. Wzbogaciły ją niemniej nowe szczegóły biograficzne, jakie autor otrzymał z obu półkuli świata, w ciągu lat ośmiu, to jest od czasu pojawienia się tej znakomitej pracy w r. 1867.

Nie będziemy rozierać tego dzieła, którego poprzedniczka nasza nie mogła i nie powinna była pominąć w swoim czasie. Musimy tylko wyrazić podziw, że wydawcy warszawscy, tak pochopni do drukowania tłumaczonych romansów i powiastek, nie zwrócili dotąd uwagi na pracę pełną życia obok erudycyi, zarówno ciekawą jak nauczającą. Studium nad Thorwaldsenem, mogłoby stanowić prawdziwą ozdobę każdego ilustrowanego pisma, zwłaszcza dopełnione drzeworytami według rysunku p. Gaillard, które zdobią nowe wydanie. O wartości dzieła poświadczyć mogą przekłady dokonane w innych krajach. Przekład włoski Amadeusza Roux, wydany był przed rokiem we Florencyi; przekład niemiecki z ilustracją, ukazał się roku zeszłego w Wiedniu. Z dwóch przekładów angielskich, jeden wyszedł w Londynie, drugi w Bostonie; ten ostatni miał już dwa wydania.

Szczegóły o stosunkach Thorwaldsena z Byronem w Rzymie, niewiadome były autorowi przed pierwszą publikacją. Powtarzamy je zatem; nikt nam nie zarzuci odgrzebywania rzeczy znanych.

W roku 1817 Thorwaldsen wykonał popiersie Byrona, Zobaczmy jak opowiadał Andersonowi pierwsze spotkanie z angielskim poetą:

„Kiedy sławny lord wszedł do pracowni mojej i zasiadł naprzeciw mnie w miejscu wskazaném, przybrał natychmiast postawę dziwną, odrębną zupełnie od jego zwykłej fizygnomii.

„Mylordzie—rzekłem—proszę siedzieć spokojnie, a nadewszystko proszę porzucić tę minę zrozpaczoną.

— To zwyczajny wyraz mojej twarzy—odpowie na to Byron.

— Czy tak?—odrzekłem—i niezważając na tę pretensjonalność, zacząłem pracować według méj własnej myśli. Gdy popiersie było wykonane, wszyscy podziwiali uderzające podobieństwo: sam tylko lord nie był zadowolony.

— „To nie moja postać—mówił—ja się przedstawiam daleko nieszczęśliwszym w rzeczywistości, niżeli na tym marmurze.

„Chciał koniecznie mieć postać nieszczęśliwego!“

Thorwaldsen w prostocie ducha, nie mógł w żaden sposób zrozumieć owych bolesnych udręczeń wyobraźni. Charakter tych dwóch gieniuszów zupełnie był przeciwny. Każdy téż z nich odrębne wyrył ślady w dziejach sztuki współczesnej!

Popiersie to obudziło w Anglii wielki podziw. W lat kilka później, po śmierci Byrona w Missolonghi, ziomkowie postanowili uczcić go pomnikiem grobowym. Komitet urządzony w tym celu, zgłosił się do Thorwaldsena; mistrz jakkolwiek niezbyt przychylny poecie, podjął się pracy najchętniej. Widział on wówczas w Byronie, już nie zrozpaczonego twórcę Child-Harolda, ale jednego z bohaterów, w wojnie o niepodległość pięknej ojczyzny Fidyasza!

W roku 1829, prezes komitetu angielskiego, napisał do mistrza ofiarując mu za pomnik tysiąc funtów szterlingów. Thorwaldsen od-

powiedział, że tak wielka summa pozwoli mu wykonać nie sam tylko posąg, lecz niemniej płaskorzeźbę na piedestale.

Pomnik przedstawia Byrona siedzącego na złomie kolumny greckiej. W prawém ręku trzyma pióro, w lewém rękopism Child-Harolda. Rysy oblicza objawiają zachwyt poetyczny. Na piedestale geniusz rozpościera szeroko skrzydła. Wspaniały ten pomnik dziwnie przechodził koleje. Wystany był do Londynu w roku 1835. Zwolennicy poety pragnęli pomieścić go w Westminsterze, lub w kościele świętego Pawła, wreszcie na cmentarzu w Kensalgreen; ale duchowieństwo anglikańskie oparło się temu stanowczo. Powstała zacięta walka w opinii powszechniej. Przeciwnicy Byrona zwyciężyli: niemoralny i bezbożny poeta, jak mówiono, niegodzien był takiego hołdu.

W dziesięć lat potem dopiero, pomnik Byrona znalazł miejsce w Trinity-College w Cambridge, gdzie poeta pobierał nauki. Postawiono go w bibliotece kollegialnej: tam go podziśdzielić widzieć można.

O ile Thorwaldsen obojętnym był dla Byrona jako poety, o tyle skłaniał się sercem do Walterskota. Słynny ten powieściopisarz, był w Rzymie w roku 1831. Tu poznał się z wielkim rzeźbiarzem, zwiedził jego pracownię. Ale Walterskott lubo lingwista, mówił tylko językiem ojczystym; Thorwaldsen zaś nie umiał ani słowa po angielsku. Uczony Kestner, autor *Studyów rzymskich*, obecny był temu spotkaniu. Opowiada on jak dwaj genialni starce pobiegli ku sobie z otwartemi ramionami i uścisnęli się wzajem z całą serdecznością. Rozmowa ich składała się tylko z poliglotycznych wykrzykników i monosyllab. Z ust jednego i drugiego wybiegały oderwane wyrazy: *conoscenza, charme, plaisir, happy, conaissance, piacere, delight, heureux* i t. p. Dwaj nowi przyjaciele rozumieli się jednak; ręka chwyciła rękę z zapamiętem. Jeden drugiego poklepywał po ramieniu. Oczy ich więcej mówiły, niż wypowiedzieć mogą najwymowniejsze nawet usta.

Thorwaldsen prosty i naiwny z natury, kochał wszystko co proste, szczerze i prawdziwe. Nie pojmował on melancholii Byrona, mienił ją przesadą i dziwactwem. Przeciwnie zaś poczuł odrazu do Walterskota niewysłowiony pociąg. Wykonał piękne jego popiersie.

Pan Plon wspomina o pobycie Thorwaldsena w Warszawie i Krakowie, załujemy że bliższych w tym względzie nie podaje szczegółów. Dowiadujemy się tylko, że przybył do Warszawy 19 września 1820 roku, że wykonał biust obecnego tam cesarza Aleksandra I; że wszedł w umowę z Towarzystwem Przyjaciół Nauk, o pomnik na cześć Kopernika. W trzy lata potem ów pomnik nadesłany z Rzymu, stanął w miejscu gdzie go dotąd widzimy.

W przypisie czytamy że Polacy chlubili się zawsze pracami Kopernika, który w r. 1504 *mianowany był członkiem Akademii Krakowskiej*, o taki zaszczyt—mówi autor—ubiegali się uczeni w tej epoce. P. Plon jak widać nie zna bynajmniej narodowości Kopernika.

Współzucie Polaków przypisuje temu jedynie, że wielki astronom był członkiem ich akademii!

Thordwaldsen długo bawił w Warszawie, skoro dopiero w końcu października wyjechał do Krakowa. W Warszawie przebył chorobę jak widać dosyć ważną, w której pielęgnował go lekarz cesarski. Do Krakowa—mówi Plon—pośpieszył na wezwanie księżnej (?) Potockiej, która powierzyła mu wykonanie mauzoleum dla małżonka poległego w bitwie pod Lipskiem (!) w 22 roku życia. Autor popłatał jak widać Włodzimierza Potockiego z księciem Józefem Poniatowskim, którego posąg jak wiadomo wykonywał także Thorwaldsen. Pomnik Potockiego zamieszczony w katedrze na Wawelu, wyobraża młodziana opartego na szabli w bohaterskiej postawie. Przepomina on—mówi Plon—Apolina Belwederskiego, czego usilnie żądano od artysty.

Niezliczone konferencye tak poranne jak i wieczorne, tłumnie ściągają publiczność paryzką. Przybyły do nich, zaprowadzone w tym roku poniedziałkowe sprawozdania p. Pontmartin o tygodniowym ruchu teatrów paryżkich. Jest to po prostu feuilleton wypowiedziany żywym słowem, a przez to samo więcej zajmujący od pisanego. Byliśmy na kilku rozmaitych konferencyach; słyszeliśmy panią Clemencyę Royer, głoszącą swoje autropologiczno-filozoficzne wywody, o śladach cywilizacji spoczywających pod falami Atlantyku. Słyszeliśmy panią Derainę, piorunującą na Wiktoryna Sardou i odzierającą wszystkie bluszcze z jego czoła. Słyszeliśmy pana Leger, ubolewającego nad dolą łużyckich Słowian, zalanych wodami, już nie Atlantyckiego oceanu, lecz germańskiej powodzi, z pod której sterczą zaledwie drobne wysepki po nad Łabą; słyszeliśmy nie mniej żale tego sławisty, nad dolą miast między Bugiem a Dnieprem, tonących pod powodzią judeizmu: w samym Berdyczowie naliczył pan Leger 80,000 żydów (!) w przeszłorocznej podróży swojej na kongres kijowski.

Z pomiędzy tych konferencyi, wspomnimy dziś obszerniej jedną, która tak żywo zajęła publiczność paryzką, że prelegent ulegając prośbie tysiąca głosów, powtórzyć ją musiał po raz drugi. Mówimy o konferencyi pana Legouvé na poranku dramatycznym, o sławnym artyście Samsonie, zmarłym parę lat temu. Wymowny akademik ocenił Samsona jako aktora, jako autora wielu udatnych komedyi, jako nieporównanego profesora, a przedewszystkiem jako twórcę stowarzyszeń artystów dramatycznych.

Z licznych uczennic jego, jedna szczególniej zasłynęła nieporównanym blaskiem. Była nią sławna Rachel. W dziwnie żywotny sposób, Legouvé określa przeważny wpływ tego mistrza, bogatego długiem już doświadczeniem, długoletnią pracą, na ducha młodej, rozpoczynającej zawód artystki.

Jedno słowo Samsona otwierało świat sztuki przed jęj okiem. Opowiada prelegent jak razu jednego zastał ją zanoszącą się od łez. Pyta o powód?

— Wszystko straciłam—ręce Rachel—obraziłam Samsona! ja tego nie przeżyję! .. Opuszczę scenę... bez niego niczemu nie podołam.

— Jakto? bez niego!... a twój gieniusz?

— Mój gieniusz!.. tak... ja mam skrzydła... mogę lecieć wysoko... lecz nie ulecę o sile własnej! Samson kierował mną, ukazywał mi drogę! rzucał myśl, z tój rodziły się nowe myśli w duszy mojej, niby iskry z rzuconej głowni. On był mi przewodnikiem, był mi pochodnią! Ja mu wszystko zawdzięczam!

Uczennica prześlagała mistrza; odtąd nic już nie zmąciło harmonii pomiędzy niemi. Do ostatnich chwil życia, starzec wspominał ze łzami, zmarłą przedwcześnie wychowankę.

Zawiązaniem towarzystwa artystów, Samson uwieńczył swój zawód i unieśmiertnił imię swoje we Francyi. Pan Legouvé pięknie określa znaczenie *towarzystw* we wszystkich społeczeństwach i obfite owoce jakie się z nich zrodziły w pasmie wieków. „Wszystkie profesye—mówi on—wszystkie rzemiosła, z wyjątkiem rzemiosła rycerskiego, były niegdyś przedmiotem wzgardy. Handel, przemysł, literatura, nauka prawa nawet, liczone były do zatrudnień podrzędnych. Jakimże sposobem członkowie tych upośledzonych klass, wyzwalali się z ciężącego nad nimi przesądu? Oto stowarzyszając się nawzajem. Jak mieszczaństwo wywalczyło swobody? dzięki stowarzyszeniu! Jaką drogą rzecznicy i lekarze, ludzie pióra i palestranci doszli do miejsc jakie dziś zajmują? drogą stowarzyszenia! Jak kupcy pozyskali przywileje? stowarzyszając się w jedno ciało! Odkąd zasada korporacyi, wzmocni jakąkolwiek warstwę społeczeństwa, ta warstwa podnosi się coraz wyżej. Dlaczego? nie dlatego tylko, że zbiorowa siła rośnie w stosunku połączonych z sobą jednostek; ztąd głównie że zasada wywiera wpływ moralny. Członkowie jednego ciała, połączeni solidarnie z sobą, pilnują jedni drugich; zasługi ich złane razem, tworzą wspólny kapitał cnoty i honoru!

Samson zawiązując towarzystwo artystów dramatycznych, pragnął podnieść do prawdziwej godności zawód któremu poświęcił życie całe. Przez dwadzieścia lat z górą był on duszą stowarzyszenia. Przez lat dwadzieścia czuwał nad niem jak ojciec, zasilał je doświadczoną radą, zagrzewał do zacnych czynów i ofiar. Wytrwałe te trudy nagrodzono wreszcie orderem Legii honorowej, z zastrzeżeniem że nagrodzony artysta, nie wróci już nigdy na deski teatralne. Zastrzeżenie to oburzyło zacnego weterana.

— Nie przyjmuję nagrody!—zawołał—mamże zaszczyt okupić podłością—mamże nad grobem zaprzeć się całej przeszłości mojej? Nigdy!

Z równem oburzeniem powstaje Legouvé na tak krzyczącą niesprawiedliwość. Jaktol—woła on—krzyż Legii honorowej, dostępny

prawie wszystkim! Otrzymują go przemysłowcy, uczeni, artyści, kupcy i urzędnicy! Nadają go tym, co z bliska lub z daleka dotykają teatrul... co budują gmachy teatralne lub malują dekoracye! Dają go autorom dramatów i komedyi, a odmawiają tym, przez których żyje i kwitnie teatr! I cóż im kto zarzuci? może ród? a którażto rodzina poszczycić się może takimi antenatani, jak Moliere, Szekspir i Sofokles? Narażają się—powie kto— na wygwizdanie! A co czynią professorowie, mówcy sejmowi i wyborcy? Ci przynajmniej—odręcze ktoś—występują w postaci własnej, bez przebrania; ci nie zmieniają, nie maskują twarzy. Przebrani! maska! O! jakżebym pragnął aby wszystkie przebierania na świecie, tak były niewinne jak tych artystów dramatycznych! aby ci co się pyszną z odkrytej twarzy, nie kładli też maski na duszę!

Kto znieważa godność człowieka? pyta mówca—oto wy obłudnicy, przybrani w maskę nabożeństwa; wy oszusty przybrani w maskę uczciwości, wy samoluby, przybrani w maskę poświęcenia, wy nakoniec gotowi kłaść naprzemian wszystkie maski, według potrzeby dziennej; pochlebcy i poplecznicy wszelkiej siły! wy to przewyższacie komedyantów, zwłaszcza w rolach lokajskich! Tamci kładą liberyę na godzinę, wy nosicie ją bezustanku, a skarb publiczny wie ile kosztują te galony!

„Rzucmy więc zastarzały przesąd. Powiedzmy śmiało, że dwójkie są tylko rzemiosła: zacne albo nikczemne; a nie lekceważmy zawodu, z którego wychodzą nietylko genialni tłumacze ludzkich uczuć, ale dzielni wykonawcy prawa miłości bratniej. Niechże wybuchnie jakaś kłęska publiczna lub prywatna; kogo naprzód powołujemy? kto pierwszy przychodzi z pomocą? zawsze artyści dramatyczni! Od lat trzydziestu nie było we Francyi czynu nacechowanego ludzkością, nie było fundacyi pożytecznej, w którejby artyści nie wzięli udziału. Jak tu zapomnieć o tém, cośmy widzieli w naszym mieście podczas pamiętnego oblężenia. Czem były teatry? szpitalami! Co czyniły aktorki? Pielęgnowały chorych! Co czynili aktorowie? Wylewali krew za Francją! Byłem, pomnę, w sali teatru francuzkiego, kiedy przyniesiono tam przeszycę kula młodziana. Biędny chłopiec skonał w témże samém miejscu, gdzie niegdyś powtarzał role swoje. Położono wtedy krzyż Legii honorowej na wezgłowiu konającego, jako pociechę ostatnią, jako zapłatę za krew! Kto wylewał krew za Francją nie jestże obywatelem Francyi? Aktorowie równi nam w obec prawa, dzielą z nami publiczne obowiązki, godzi się wyłączać ich z równości, która wieńczy i uświęca wszelkie inne, z równości w obec honoru?

Grzmot oklaskow odpowiedział na słowa akademika, ulubionego paryżanom; głos jego poruszył wszystkie serca. Nie będzie on głosem wołającego na puszczy. Przekonani jesteśmy że wkrótce ujrzemy zaszczytny znak na piersi nie jednego z artystów dramatycznych!



W wydziale historii pojawiła się w Paryżu ważna publikacja, pierwsza część obszernego dzieła *O instytucjach politycznych starożytnej Francji*, p. Fustel de Coulanges. Pierwszy tom ma oprócz tego osobny tytuł: *Państwo Rzymskie, Germania, Królestwo Merowingów*. Pod względem doniosłości, krytycy francuzcy stawiają to dzieło, obok pomnikowego dzieła Monteskiusza: *Grandeur et decadence des Romains*. Według nich praca nowa, o tyle przewyższa dawną, o ile krytyka historyczna postąpiła od końca XVIII-go wieku.

Pan Fustel de Coulanges rozpoczyna rzecz od chwili, kiedy Gallowie pokonani przez Cezara, przeszli pod panowanie Rzymu. Dotąd wielu historyków badało epokę rzymską w Galii, inni badali wieki średnie; nikt jednak w szczegółowym studyum nie ustawił razem tych dwóch epok, a przez to samo, nie dopatrzył węzła jednoczącego je ściśle z sobą, mimo germańskiego najazdu.

Przyjętem było jako pewnik, że Galia podbita przez Rzymian, wycierpiała wiele od zwycięzców, że zarażona do gruntu zepsuciem rzymskiem, winna odrodzenie swoje Germanom. Pod wpływem tych nowych zdobywców, Galia, miała jak twierdzono, przyjąć wraz z nazwiskiem, ich zwyczaję, ich prawa, ich organizacyą, słowem uleść zupełnemu przeistoczeniu. Z wpływu rzymskiego, nie miało nic pozostać. A zatem gwałt, podbój, miał być kamieniem węgielnym społeczeństwa francuzkiego. Z jednej strony, stawiano zwycięzców, jakoby panów feudalnych, protoplastów późniejszej szlachty; z drugiej zwyciężonych, to jest mieszczan i chłopów, przyciśniętych wiekowem jarzmem. Walka komun przeciwko feudalizmowi, przedstawioną była, jako pierwsze rozbudzenie się pokonanych, rewolucya 1789 roku jako ostateczny ich odwet. Opinia ta powstała w umysłach w XVI, upowszechniła się w XVIII wieku. Zrodzona z antagonizmu klas, wzrastała w miarę nienawiści jednych przeciwko drugim, i dotąd jeszcze cięży w społeczeństwie, utrzymując niechęć wzajemną.

Historyk występuje silnie przeciwko tym mniemaniom. Według niego germański najazd mógł zmienić nieco stan społeczny, lecz go nie przeistoczył. Gallowie zachowali swoje prawa i obyczaje, swoje ziemskie posiadłości i język przyjęty już od Rzymian. Systemat rządu za Merowingów, monarchicznym był równie jak za Cezarów rzymskich. Nierówność stanów istniała już przed germańskim podbojem: „Instytucye nie narzucają się ludom w jednej chwili—mówi autor—potrzeba na to wieków, a przedewszystkiem potrzeba, aby odpowiadały obyczajom, dążnościom i tradycyom narodu, w którym mają być zaprowadzone.“

Dzieło p. Fustel de Coulanges rozpoczyna się od zarysu społeczeństwa Gallów, w chwili podboju rzymskiego. Autor wykazuje najsamprzód wielką analogię, pomiędzy ludem zwyciężkim a ludem pokonanym. Tak samo w Galii jak w Italii, arystokracya trzyma w ręku władzę; lud w wielkiej części przywiązany do gleby; liczba właścicieli bardzo mała; plebs zawistny i ruchliwy; ubodzy klientami bogatych.

Kiedy Cezar pokonał Helwetów, kiedy później odparł za Ren Aryowista i bandy germańskie, Cezar był stosunkowo oswobodzicielem Galii. Przez lat sześć, Gallowie znużeni wewnętrznymi zatargami, chętnie ulegali potężnemu zwycięzcy. Później nastąpiły zale i wyrzuty; lud zgromadził się około Wercyngetoryxa. Po sześciu latach walk najzaciętszych Wercyngetoryx upada z chwałą, z nim Galia traci ostatek jedności, jaką ten wódz umiał jój nadać. Odtąd Gallowie powstają wprawdzie niekiedy przeciwko nadużyciom, lecz nie pragną wybić się z pod panowania Rzymian. Cezarowie nie utrzymują nawet wojska w podbitym kraju. Powstanie Civilisa większą ma wagę, lecz Civilis był Batawczykiem, t. j. Germaninem. Część Gallów walczy zawzięcie przeciw niemu. Kiedy Trewizanie podnoszą oręż na Rzym. starsi z klanów występują uroczyście, nakazując im powrót do uległości. Ludzie wyższych pojęć cierpią zapewne na tём, lecz ogół przekłada stan obecny, nad dawne rozprzężenie i bezład. Rzym daje mu rękojmię bezpieczeństwa i trwałego pokoju.

Cesarze rzymscy nadają prawo obywatelstwa, najróżd jednostkom, później miastom i pokoleniom; Karakalla zatwierdza je wreszcie całej Galii. Odtąd Gallowie przyjmują dobrowolnie zwyczaje i język zwycięzców, nawet ich religią. Druidyzm upadać już zaczął przed wkroczeniem legionów. W miarę budzącej się cywilizacji i powstających szkół, Gallowie odrzucać poczęli krwawe obrzędy ojców swoich. W ślad za przestoczeniem umysłowém, przyszyły i polityczne zmiany. Rzym wprowadził do Gallii instytucje, które trwać miały dłużej, niż jego rządy. Główną zasadą publicznego prawa Rzymian, była absolutna władza państwa. Nie powstała ona za Cezarów, istniała już w pełni za rzeczypospolitój; lud nadawał ją tak samo konsulom, jak następnie imperatorom. Miasta galskie ulegały chętnie tój władzy; każde z nich wznosiło ołtarz na cześć Cezara, który był dla nich bóstwem. Stan taki przetrwał pięć wieków, śnać nie był wstrętnym narodowi.

Ta monarchia—mówi autor—nie podobną była w niczém do późniejszych rządów politycznych, jakie następowały po sobie we Francyi; potrzeba zatem sądzić ową monarchią według idei ówczesnych, nie zaś na miarę dzisiejszych pojęć. Nie ulega przecież wątpliwości, że miasta zadowolone były z systematu centralistycznego, który zabezpieczał je przeciwko nadużyciom prokonsulów. W razie doznanej krzywdy, zносиły do Rzymu skargi i zażalenia. Każde wreszcie miasto miało swoje municypalne swobody, radziło o miejscowych potrzebach; miało swój senat, swoich dekuryonów. Urzędnicy nie pobierali żadnej płacy, a nawet odpowiadali własnym majątkiem, za wszelką szkodę publiczną. Lud tóż nie sarkał na tych bogatych urzędników, którzy dostarczali mu zboża po niżkiej cenie, wyprawiali mu własnym kosztem ucztę, igrzyska, budowali publiczne gmachy. W III-m wieku, odkąd chrześcjanizm począł się upowszechniać, zadanie owych urzędników municypalnych, coraz było trudniejszym. Kon-

sylia zabraniały igrzysk, wyklinały uczty pogańskie. Ztąd powstała zacięta walka pomiędzy kościołem a miastami. W IV-ym wieku chrześcijaństwo zwyciężyło. Obrzędy pogańskie aczkolwiek nie ustały, straciły jednak urzędowy charakter. Nastąpiło wreszcie pojednanie. Biskupi i opaci zajęli w kuryi miejsce pogańskich flaminów. Tak przeistoczony porządek municypalny, trwał dłużej niż rzymskie panowanie; trwał nawet w początkach średnich wieków, wśród instytucji feudalnych.

Galia wdzięczną była Rzymianom za ich prawa, równie jak za administracją. Kiedy postawiła prawo rzymskie, obok starego prawodawstwa Druidów, czuła się szczęśliwą widząc zapewnioną własność jednostek, dzieci równo uposażone, niewiastę oswobodzoną z przemocy męża, który miał nad nią prawo życia i śmierci. Słowem, prawo rzymskie zapewniało bezpieczeństwo wszystkim, bez różnicy kasty i stanu; słabi znajdowali w niem opiekę przeciw mocnym.

W zamian za te dobudziejstwa lud obowiązany był płacić podatek i służyć wojskowo. Podatki przecież, jak mówi historyk, nie przeciążały zbytecznie kraju. Galia przychodziła do rozkwitu i zamożności, w trzech zwłaszcza pierwszych wiekach rzymskiego panowania. Służba wojskowa nie była uciążliwszą, jak w każdym innym czasie.

Pod wpływem takich praw i takich instytucji—pyta autor—czém był człowiek jako istota moralna? ażali zepsucie rzymskie, o którym tyle mówiono, zaraziło Galią? I natychmiast odpowiada na pytanie: „Kiedy ogarniemy wzrokiem ten okres historyczny, uderzają nas przedewszystkiém prace Gallów. Dziś po piętnastu wiekach widzimy jeszcze dowody tych prac niezamordowanych. Bite gościńce przecinają kraj wzdłuż i w poprzecz; wytrzebione lasy, osuszone bagniska, zamieniają się w żyzne pola; wszędzie ruch, wszędzie czynność i życie. Małe osady stają się miasteczkami, z miasteczek powstają wielkie i ludne miasta pełne wspaniałych gmachów i przepysznych pomników. Jeżeli w ostatnich latach kraj ubożeje, przyczyną tego zatargi wewnętrzne, zwłaszcza walka chrześcijaństwa z poganizmem. Według Sydoniusza wytworne społeczeństwo ówczesne rozmiłowane było w muzyce, pieśni i czytaniu.

W społeczeństwie pogańskiem trudno szukać doskonałości. Były tu zbytki i nadużycia. Bądźco bądź jednak społeczeństwo rzymskie téj epoki, przedstawiało się najogładniejszém i najszlachetniejszym ze wszystkich, jakie istniały w świecie.

A teraz—mówi autor—zobaczmy czém byli Germanie, mniemani oswobodziciele nasi? W V-ym wieku byli to ciż sami jeszcze barbarzyńcy, których w I-szym opisał Tacyt. Od téj pory nie pobudowali nowych miast, nie wytrzebili lasów, ani przyczynili ornój gleby. Ludność zmniejszyła się u nich, instytucye rozprzęgły, obyczaje zdziaczały bardziej. Nie był to już lud młody, raczój były to szczątki wyradzającego się plemienia. Jakim sposobem lud taki mógł przez sześć

wieków toczyć zapasy z Rzymem? Historyk odpowiada na to długim pasmem wywodów.

Ludy germańskie—mówi on—które szarpały kolejno Rzym, działały luźnie, bez wspólnego porozumienia. Miłość narodowa nie była im pobudką, ani też nienawiść ku obcemu. Te ludy były się między sobą, zapalczywiej jeszcze niżli z Rzymem. Po wszystkie czasy wielka część Germanów, służyła na żołdzie Cesarstwa. Jeżeli łatwo zrozumieć napady owych niesfornych drużyn, chciwych łupu i przygód, trudniej wytłumaczyć ich tryumf. Ale sąsiedztwo barbarzyńców, zawsze jest niebezpiecznym. Najazd ich każdy, niby szalony potok, niweczył wszystko po drodze, zostawiając za sobą spustoszenie i gruzy, nakoniec znikał bez śladu.

Jeśli Germanie pozostawili w Galii jakieśkolwiek ślady swój krwi i obyczajów, to jedynie ci z pomiędzy nich, którzy osiadali na roli, albo służyli w legionach, jako najemni żołnierze. Rolnicy nie byli niewolnikami panów, ale samejże gleby. Nie wolno było sprzedawać ich, ani przenosić z miejsca na miejsce; nie oni zabierali ziemię, raczej ziemia ich zabierała. Żołnierze germańscy tworzyli zrazu małeńkie oddziały, mieli swoje prawa i zwyczaje swoje, nawet religijne obrzędy. Tych rolników i żołnierzy zwano barbarzyńcami; prawo miejscowe wyróżniało ich od tubylców.

W V-tym wieku nastąpił nagły przewrót. Owi germańscy żołnierze dotąd rozrzucony w małych oddziałkach między legionami, zaczęli tworzyć wielkie skupione masy; powstały ztąd silne armie, silniejsze od rządu cesarskiego. Rozsyłano je po krajach, składających państwo rzymskie. Tym sposobem barbarzyńcy weszli do Galii: weszli tu jako żołnierze cesarstwa, osłonięci rzymskim sztandarem. Wskazano im leże. Byli to goście straszni! przeciw ich gwałtom nie starczyła moc urzędników cesarskich. Auwernia wycierpiała najwięcej: „barbarzyńcy zerwali się z łańcucha“, pisze współczesny kronikarz. Tymto sposobem rozleli się po kraju. Właściwego zwycięstwa nie było, jak utrzymuje Fustel de Coulanges.

Tak więc te drużyny germańskie, które wstępnym bojem uderzyły na Rzym, pokonane były i odparte; Germanowie! tymczasem zaciągnięci do służby w legionach, obalili państwo! Przyszła chwila że Cezar utracił władzę nad armią, pozostał tylko naczelnikiem cywilnym; królowie barbarzyńscy dowodzili wojskami. Ogłaszali i strącali imperatorów, w końcu wydarli im z rąk władzę, zostawiając tylko czezy tytuł.

Królowie germańscy opanowali zatem Galią, bez najazdu, bez tryumfalnego zwycięstwa. Lud galski zachował swoje posiadłości, swój język, swoje prawa, religią, a nawet wojsko. Niema żadnego dowodu, aby Germanie mieli okazywać pogardę Gallom. Małżeństwa dozwolone były między dwoma plemiony; odzież ich nawet była jednako. Złanie nastąpiło niebawem. Jeżeli Germanie wywarli jakisłkolwiek wpływ na obyczaje Gallów, to chyba ten, że im udzielili nieco wła-

snęj szorstkości i grubiaństwa. W żadnym z dokumentów współczesnych niema śladu, aby Germanowie mieli w czémkolwiek odrodzić Galią: „idea ta—mówi historyk—późniejszym jest wymysłem.“

Dzieło p. Fustel de Coulanges, pełne głębokiej erudycji odznacza się prócz tego, pociągającym urokiem stylu. Dotąd wyszedł tom jeden. W naseptnym tomie autor wytłumaczy systemat feudalny w społeczeństwie francuzkiem.

Drugi to już historyk francuzki tych czasów, zestawia cywilizacją upadłego Rzymu z barbarzyństwem germańskiem; drugi usiłuje zapomocą dowodów historycznych obalić upowszechnione mniemanie, jakoby krzepka Germania wlać miała nowe siły w przeżyta i znikczemioną wpływem rzymskim Galią. Przed dwoma laty rozwinął już tę myśl p. Zeller, były rektor uniwersytetu strasburskiego, w obszerném dziele p. t. *Les origines des Germains*. O pracy téj mówiliśmy już w swoim czasie.

---

Kończymy kronikę naszą pod wrażeniem uroczystości akademickiej, która wczoraj poruszyła cały Paryż: było nią przyjęcie Aleksandra Dumasa. Nieraz już zdarzało nam się być na tego rodzaju godach akademickich, nigdy jednak nie widzieliśmy tak licznego zebrania, tak zaciekawionój publiczności. Sala posiedzeń mała stosunkowo, może zaledwie objąć kilka tysięcy osób; zarząd akademii ścigany przeciw natarczywém naleganiem, rozdał nierównie większą liczbę biletów, zostawiając obdarzonych własnemu przemysłowi. Że miejsca nie są numerowane, wynikła ztąd niesłychana ciżba, a co gorsza kilkaset osób odeszło z biletami, nie mogąc się dotłoczyć. Doświadczeni, do których i my należeliśmy, poradzili sobie, wysyłając zastępców dla zajęcia miejsc w tak zwanym *ogonie*, na kilka godzin przed otworzeniem gmachu. Od ósmój zrana, cztery takie ogony ciągnęły się u czterech bocznych drzwi pałacu akademickiego. O dwónastój każdy z nas stał się na miejscu, zluzował zastępcę i wszedł do sali, oprócz ostatnich na których sprawdziło się przysłowie: „*Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi.*“

Po całogodzinném oczekiwaniu wśród natłoczonej sali ujrzeliśmy wreszcie rozmykające się podwoje. Weszła najprzód rada akademicka, następnie Dumas w pośród *ojców chrestnych*, p. Legouvé i Doucet'a. Wszyscy przybrani w palmy zasiedli w krzesłach; nastąpiło milczenie. Dumas powstał blady i pomieszany; mimo to niezabrakło mu głosu. Słowa jego brzmiały donośnie; żadne nie uszły skupionój uwagi słuchaczów.

Jak łatwo zgadnąć, nowy akademik rozpoczął rzecz wspomnieniem zasług ojca swego. „Aby dostać się—rzekł—pomiędzy dostojne to grono, użyłem czarodziejskiej siły. Własne zasługi nie pozwalały mi stanąć przed sądem waszym, ale wiedziałem, że opiekuńczy gieniusz walczy w sprawie mojej, wiedziałem że zwyciężę. Stanałem więc przed wami, osłoniony tarczą imienia, które we mnie już tylko

mogło zostać przez was uczczoném. Pozwólcie więc niech droga pamięć zmarłego, odbierze z rąk moich tę palmę: większej nadto pragnąć nie mogę chwały!“

Z kolei rzeczy, mówca przystąpił do ocenienia prac i zastug akademika, po którym dziedziczy krzesło: był nim Piotr Lebrun poeta z epok piérwszego cesarstwa i restauracyi. Przed dwoma laty, zaraz po skonie tego nestora poetów i akademików, mówiliśmy o nim w jednej z kronik, oznaczając miejsce jego w literaturze francuzkiej. Lebrun postawiony na rozdrożu dwóch epok, był we Francyi poetą przejścia, zwiastunem nowego porządku, przybył on w czasach najnieprzyjaźniejszych dla poezyi. Kiedy orły cesarskie poruszały świat szumem zwyciężkich skrzydeł, kto zważał na drobną jaskółkę, niosącą wieść o słońcu i wiosnie? Biedny Lebrun! doświadczył on losu tych wszystkich, którym dano przebijać lody i karczować pola dla przyszłych pracowników. Przybył on dla jednych za późno, dla drugich zaś przedwcześnie. Zbyt rychło dla współczesnych, którzy zrozumieć go jeszcze nie mogli, zapóźno dla nowego pokolenia, olśnionego blaskiem nowych koryfeuszów. O takichto jak Lebrun powiedziano:

Ten, kto sieje w posuchę, plonu nie doczeka,  
Nim ziarno zakiełkuje, zniweczy je spiecka;  
Skoro niebo ożywczej odmówi mu rosy,  
Oraczowi w zapłatę nie zadzwonią kłosa;  
A gdy dészczyk na role upadnie majowy,  
Nowy zjawi się oracz, porzuci siew nowy,  
I na roli żyzniejszej kłos mu zaszeleści,  
Kiedy dawne posiewy przepadną bez wieści!

W posuchę posiewał Piotr Lebrun! Współczesni, którym w uchu brzmiały klassyczne ody i elegie, obojętnie przyjęli cudne jego pieśni o Grecyi, gdy tymczasem w lat kilka później, nowe pokolenie powtarzało chórem *Messenianki* Delavigna! współcześni zimno słuchali *Cyda z Andaluzyi*, kiedy w dziesięć lat po tém, sklepienia teatru wstrząsły się od oklasków nad *Hernaním* Wiktora Hugo. Zestawiając te dwa utwory, widzimy że Hernani, to krew z krwi, kość z kości Lebrunowego Cyda!

Od Cyda z Andaluzyi Dumas cofnął się wstecz o dwa wieki. Przypomniął wielkiego Kornela. Ta część mowy wypowiedziana w sposób żywy i oryginalny, szczególniej zajęła tak akademików jak publiczność; powtarzamy ją w krótkości:

— „Pamiętacie panowie—rzekł mówca do nieśmiertelnych— jak dwieście trzydzięści dziesięć lat temu, w roku 1636, w roku właśnie od chwili, gdy kardynał Richelieu założył tę akademię, znaleźliście się w bardzo trudném położeniu. Rzecz była taka:

„Młody poeta z Rouen, nazwiskiem Piotr Corneille, znany już z pomniejszych utworów, objawił się piérwszorzędnym poetą drama-

tycznym w bohaterówkiej komedyi Cydzie! Najwymowniejszym dowodem zwycięstwa, była wielka liczba nieprzyjaciół sprzysiężonych przeciw triumfatorowi. Z pomiędzy nich najzacieźszym okazał się sam kardynał Richelieu.

Jakież był powód tej niechęci, pyta Dumas? Odrzuca on stanowczo zarzut współzawodnictwa, przechowany w tradycyi, niegodny wzniesłego umysłu kardynała. Z niezrównanym dowcipem określa zachowanie się akademii postawionej między młotem a kowadłem. „Odwolano się do jej sądu. Z jednej strony wystąpił wielki kardynał, fundator nieśmiertelnego grona; z drugiej wielki poeta naznaczony na czołe nieśmiertelnym piętnem gieniuszu. Miałż akademie podciąć mu orle skrzydła? miałż postawić fałszywy krok przy pierwszym wystąpieniu? Jakże się stało? Oto wybrano komisję: ta radziła przez pięć miesięcy, wreszcie sekretarz Chapelain, zredagował zrečzną odpowiedź, tak zrečną że nie obraził i nie zadowolnił nikogo, ani kardynała, ani Korneilla, ani opinii publicznej. To co dziś nazwano stylem akademickim, ta trudna sztuka, wypowiedzenia prawdy z całą szczerością, z całą dworską ogładą i wyrafinowaniem, ta sztuka zrodziła się podówczas!”

Uśmiech powszechny połączony z oklaskiem, odpowiedział na te słowa, któremi Dumas, z prawdziwie akademicką zrečnością, uprzedził delikatne śpileczki, jakich spodziewał się od akademii przez usta dyrektora jej pana Haussenville.

Zobaczmy teraz jak Dumas tłumaczy powód wstępu wielkiego kardynała, do arcydzieła wielkiego poety. W dramatyczny sposób zestawia te dwie osobistości, równe potęgą gieniuszu. Nie jest to prosty domysł; pobudki do wniosku swego, odkrył on w liście Kornela; wyczytał prawdę pomiędzy liniami. Powtarzamy rzecz za nowym akademikiem.

„Wielki kardynał przywołał wielkiego poetę i tak do niego przemówił:—Siadaj Kornelu, posłuchaj mnie uważnie. Upojony jesteś tryumfem twoim; słyszysz tylko wrzawę poklasków, i zrozumieć nie możesz dlaczego ja nie łączę głosu mego z wrzawą całego miasta? dlaczego występuję przeciw tobie? Otóż ja ci to powiem:

„Jako! w chwili kiedy ja usiłuję wytepić do nogi Hiszpanów, którzy kraj napadają z południa i z północy, kiedy w samym Paryżu zwalczać muszę hiszpańskie matactwa; kiedy królowa młoda jeszcze i zalotna, znosi się potajemnie z bratem swoim królem hiszpańskim i z lekkomyślnym dworem spiskuje przeciw mnie na szkodę Francji: ty w chwili takiej, przedstawiasz na scenie francuzkiej bohaterstwo Hiszpanów? Nie wiesz-li że i ty spiskujesz z nimi razem, że stajesz w poprzecz mym zamiarom? że im potężniejszy twój talent, z tém większą zaciegłością walczysz przeciwko tobie? Ty porywasz wyobraźnię Francuzów zbyt skorą do obłędu i opóźniasz dzieło moje sto-kroć ważniejsze od twójego! Ty poeto, grasz na uczuciach, ja głowa państwa wprowadzam w grę moją ludzkie czyny. Ty poruszasz publi-

czność, ja trząsam narodami, i dlatego, w chwili kiedy potrzebujemy prawdziwych bohaterów, nie pozwalam aby Francya przyklaskiwała co wieczór bohaterom nieprzyjaznego nam ludu. Twój wreszcie Cyd, nie prawdziwy to rycerz, a raczej paladyn romansowy; twoja Ksymena to nie bohaterka, raczej istota z chorobliwie rozmarzoną głową. Spójrz oko w oko temu Cydowi! z dramatycznego stanowiska, to arcydzieło! ze stanowiska moralnego i społecznego, to potworność!

„Jakież-bo społeczeństwo mógłbym utworzyć z córek gotowych oddać rękę zabójcom ojców swoich? z wodzów gotowych zaprzecić się chwały i narazić kraj na zgubę, dla miłości kochanek? z jednej strony znieważasz rodzinę, z drugiej nad dobro kraju stawiasz samolubną i przemijającą namiętność!

„Kornel uległ; wkrótce potem stworzył Horacyuszów. Tu miłość ustępuje przed wyższą ideą; Sabinka która poświęciła dla kochanka dobro kraju, padnie pod morderczym brata żelazem!“

Dumas tak zrozumiał myśl Richelieugo, lecz jako autor dramatyczny inaczej rzecz pojmuje. W jego pojęciach, kamieniem węgielnym tak komedyi jak dramatu, ma być miłość, jedynie tylko miłość, posunięta do krańcowych wyników. Ten kto nie będzie gotów—mówi on—poświęcić chwały, życia i honoru dla téj którą ukochał, nie jest prawdziwym bohaterem teatralnym; ta zaś nie jest prawdziwą bohaterką sceniczną, jak Ksymena, nie przebaczy wszystkiego, nawet morderstwa ojca, ukochanemu przez siebie Rodrygowi.“

Zostawiamy rzecz tę do rozstrzygnięcia estetykom i psychologom; niechaj oni odróżnią prawdę od paradoksu. My wyznajemy szczerze, zrozumieć nie możemy, dlaczego bohater teatralny ma być innym niż ten który występuje na szerokiej arenie życia, dlaczego miłość ma być alfą i omegą dramatu? Nie chcemy zresztą brać na siebie roli moralistów, nie naszą rzeczą wychodzić z granic prostego sprawozdania.

W końcu mowy Dumas podjął najdrażliwszy przedmiot, obronę swoją od ciężących nad nim zarzutów. „Ponieważ—rzekł—przyjęliście panowie do grona swego, jednego z ludzi, których utwory były, i są dziś jeszcze przez wielu potępione jako nie moralne, pozwólcież temu człowiekowi wystąpić w obronie swych idei, w obec was, to jest w obec najświetlejszego trybunału jaki istnieje w świecie całym. Pozwólcie mu odpowiedzieć na słowa ścigające go bez ustanku, tak mnie jak innych pisarzy dramatycznych: dlaczego zapraszacie żony i córki wasze na takie widowiska?“

„Najprzód odpowiem, my nikogo nie zapraszamy. Piszemy komedye i dramata, przedstawiamy je; kto chce przychodzi do teatru. Co do kobiet, one przychodzą bez proszenia, i mają słusność, bo teatr jest apoteozą kobiety. Co zaś do panien rzecz inna! My ich nigdy nie zapraszamy! Nam nic do tych dusz delikatnych, dla których dom jedyną ma być szkołą. Nam nie wiedzieć że są panienki na świecie, jak im nie wiedzieć że są autorowie dramatyczni! Ani tkliwa Julietta,



gotowa do tajemniczój schadzki z Romeo, wrogiem domu swego, ani gwałtowna Dezdemona gotowa rzucić progi ojcowskie, dla murzyna Othella, nie są bynajmniej wzorem dla młodych panien, a jednak byłyby wielką szkoda, gdybyśmy nie mieli Julietty i Dezdemony, dlatego że są rodzice którzy chcą prowadzić córki do teatru. Słowem mówię to jako autor dramatyczny, nigdy nie przyprowadzajcie nam córek waszych! A dlaczego to mówię? Bo szanuję wszystko co godne poszanowania. Zanadto szanuję panienki, abym chciał obrażać ich uszy; zanadto szanuję sztukę abym miał ograniczać ją do tego tylko co panny słyszeć mogą.“

Słuchając tych i tym podobnych paradoksów, przychodziły nam mimowoli słowa czcigodnego Odyńca w Felicycie:

Bo nigdzie snadniej, jak w ludzkim rozumie,  
Szatan w anioła przemienić się umié!

Po takim wstępie Dumas wypowiada bez ogródki, czemu wywłóczy z barłogu społecznego istotę zohydzoną? „Oto dlatego, mówi, że ta istota grzeszna, zbuntowana przeciwko społeczeństwu, niebezpieczna, przedmiot obrzydzenia, jeżeli trwa w złem; litości, jeżeli pragnie wydzwignąć się o własnych siłach; oto dlatego: że ta istota jest także kobietą, a więc duszą teatru. W sercu jęj toczy się najstraszliwszy dramat, walka wstydu z głodem i nędzą. Jeśli prawda odniesie tryumf nad złem, ta kobieta nie jestże godną najwyższego szacunku? Gdy upadnie, azaliż nie ma prawa do litości tych, którzy popchnęli ją w ten odmęt? Jest to problemat społeczny jeszcze nierozstrzygnięty, problemat, przed którym zatrzymali się filozofowie, prawodawcy i ekonomiści, przerażeni bezsilnością swoją. A my ludzie teatru, malarze obyczajów i charakterów, namiętności i zbrodni, słowem wszelkich walk szarpiących biedną ludzkość, mamy odwrócić głowy, zasłonić twarz i przejść obok téj nędzy moralnej, udając że jęj nie widzimy? Niepodobna! Autorowie dramatyczni, silni przekonaniem, że teatr pożyteczną ma być szkołą, podjęli to pytanie; rzekli na głos: nie sądziecie zbyt surowo, jest tu wielkie nieszczęście, bądźcie baczni, jest tu wielkie niebezpieczeństwo!”

Zobaczmy co odpowiada na to pan Haussenville, w mowie prawnej szczerze solą atycką, przy całej oglądzie i delikatności akademickiej.

„Wierzysz pan, rzekł mówca, w potężny wpływ teatru na obyczaje; pragniesz, aby ten wpływ przyczynił się do odrodzenia kraju naszego? i ja zarówno tego pragnę! Różnimy się tylko w wyborze środków do osiągnięcia celu. Ja nie sądzę, aby scena była katedrą, ani téż miejscem właściwem dla rozwijania pewnych tez, chociażby najprzykładniejszych, tém mniej do wywoływania najpotrzebniejszych nawet reform. Zostawiając autorowi wszelką wolność, żądam tylko, aby dramat przez niego stworzony, działał dodatnio, na uczucia

obecnych, tak mężczyzn, jak i kobiet; aby publiczność opuszczała teatr w wyższym usposobieniu ducha, nad to, z jakim wchodziła w jego progi. Takićj tylko żądam moralności, lecz od tćj nie odstąpić. Rzekłćs pan: „Nie przyprowadzajcie nam córek waszych, przemówimy do nich skoro zostaną kobietami!”

Nie zgadzam się na to. Wiele jest rzeczy, o których można dziś mówić do nich; wiele jest innych, o których bodajby nigdy nie wiedziały! Co do mnie, radziłbym wszystkim ojcom rodzin, prowadzić córki swoje na sztuki Moliera, jakkolwiek usłyszą tam może nie jeden wyraz, przez fałszywą skromność wykluczony dziś z mowy naszćj. Mimo całej miłości dla tych niewinnych istot, nie chcemy otaczać ich sztuczną atmosferą. Pragniemy tylko zostawić je własnym skłonnościom i uchronić od wszystkiego, co może zadziwić ich umysł i zmącić wyobraźnię. Przez wyobraźnię, teatr oddziaływa na kobietę, że zaś kobieta wywiera przeważny wpływ na społeczeństwo, znajdziesz pan w nićj dzielną pomoc, w przeprowadzeniu pożądanćj reformy!

P. Haussenville przebiega długi szereg dramatycznych utworów nowego kolegi; ocenia w nim siłę tworcą, mistrzowski język, głęboką znajomość serc ludzkich; nie tai przecieź, iż wolałby widzić te wielkie zdolności, spożytkowane w godniejszy sposób. Ciasny obręb *pół-swiata*, maź-li być dostatecznym polem dla takiego mistrza jak Dumas? „Jesteś pan—rzecze—wynałzacą *nowćj ziemi*, którą nazwałćs *pół-swiatem*. Wprawdzie znano już tę wyspę, nim przypłynąłćs do nićj; brzegi jćj nie zbyt stromemi najeźone skałami; ale ty pierwszy oznaczyłćs ją na mappie, wskazałćs pierwszy geograficzne jćj położenie, opanowałćs ją, nadałćs jćj nazwisko. Sam jednak opuściłćs te sfery, przekonawałćs się, że nie warto rozsiewać po świecie wszystkich pereł z bogatego skarbcza twego.”

Niemnićj dowcipnie żartuje akademik, z nowego zwrotu Dumasa, z owćj krucyaty podniesionćj na rzecz wiary małżeńskićj. „W żonie Klaudyusza—mówi on—zerwałćs pan nagle z tekstem ewangelii, tak miłosierdnym dla jawnogrzesznici! stałćs się bez litości... nie przebierasz w środkach, gdy idzie o wymierzenie kary! Niechajże kobieta drży na widok tych pięknych sztylcików, oprawnych w heban i kość słoniową; tych rewolwerów, które męzowie przywykli dziś nosić w kieszeni; niech drży na widok tych wydoskonalonych armat, które posłużyć kiedyś mogą do generalnych egzekucyj! Potrzeba wielkićj odwagi serca, aby nie cofnąć się przed tą straszną baterią moralizacyjną! Pojmujemy ich trwogę! W ostatnim akcie dramatu Antony (Dumasa ojca), kochanek, aby ocalić sławę kobiety ukochanćj, woła przykładając jćj sztylet do serca: „Opierała się, jam ją zamordował!” Ty zaś panie w głośnćj broszurze twojćj (*l'homme femme*) po długich kłątwach na niewierność małżonek, mówisz do męza wiarołomnćj: „Nie wahaj się! zabij ją! Ależ na Boga! jeżeli jednaki los ma spotkać dwoiste ofiary; jeżeli jedne mają umrzeć dlatego, że się opierały; dru-

gie umrzeć za to, że były zbyt powolne, położenie kobiet zanadto będzie trudném!”

Ogólny śmiech był odpowiedzią na te słowa. Śmiały się żony, śmieli mężowie, śmieli się nawet poważni członkowie pięciu zjednoczonych akademij! Dumas śmiał się z drugimi razem, czy szczerze? nie ręczymy za to! Przeciążył grzmot oklasków, przygłuszył wreszcie ten wybuch powszechnego zadowolenia.

Wszystkie dzienniki, zajęte dziś akademicką uroczystością, wygłaszają najsprzeczniejsze sądy. Jedne przyklaskują Dumasowi, drugie wysławiają dowcip antagonisty. Poważni krytycy stanęli po stronie p. Haussonville; zwolennicy paradoxu gardłują za Dumasem. Lekkie pisma tryumfują z nowego wyboru. „Niechże, wołają chórem, akademia częściej wyprawia nam podobne gody, niech otwiera swe podwoje naszym ulubieńcom, a zaprzestaniemy dawnych sporów i przykłaśniemy jój całym sercem!”

Wątpimy bardzo, aby te poklaski mile brzmiały w uchu nieśmiertelnych. Przybytek światła, w którym żyją dotąd tradycje Paskalów, Fenelonów, Kornelów, słowem wszystkich wielkich geniuszów, stanowiących wieczną chwałę Francyi, miałaby się stać miejscem zabawy dla tłumu, chciwego wrażeń i paradoksalnych nowości? Tak być nie może i nie powinno! Zapowiedziane wybory w miejsce Juliana Janin i Guizota, pokażą niewątpliwie, że akademia nie odstępuje od myśli wielkiego założyciela swego! Uroczystość wprowadzenia tych nowych, niewiadomych dotąd członków, mniej będzie głośną, mniej zabawną, nie tak liczne przyciągnie tłumy; ale zdrowa część publiczności powie z głęboką siłą przekonania: Dość nam jednego Dumasa w akademii francuzkiéj!

---

## PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

---

### *Literatura Rolnicza.*

Nasza broszurowa literatura rolnicza dość znacząco i pokaźnie przedstawia się, ze względu na ilość i tytuły książeczek wydanych od r. 1873 do końca 1874; a co do wartości tych wydawnictw podajemy następujące uwagi:

1) *Słów kilka o Rolnictwie*, napisał E. Karliński, Poznań 1873. Jakkolwiek praca ta została uwieczniona nagrodą przez Dyrekcyą

Towarzystwa Oświaty Ludowej, nie możemy przyznać aby mogła ona dopiąć zamierzonego celu, t. j. chociaż nieco oświecić lud w rzeczach dotyczących rolnictwa. Z początku autor aż tak dalece usiłuje być zrozumiałym dla ludu, iż nawet ostrzega go „aby nie myślał czasem że o jakim nieboszczyku mówi, ile razy mu użyć wypadnie wyraz *ciało* (str. 14); lecz wreszcie i nie dalej jak na str. 16 już znajdujemy ot tak np. wyrażone twierdzenie:

„Z powodu własności „przyczepności“ ciała przytrzymuje na swój powierzchni te ciała, które się z nimi stykają; z powodu własności i siły wciągania wilgoci, ciała nie potrzebują styczności bezpośredniej, ale z pewnego oddalenia mają siłę przyciągnąć i w *siebie* wciągnąć, a zechcieli *uważać że wilgoć t. j. wodę, znajdującą się w powietrzu jako para lub jako gaz* <sup>1)</sup> (wodór).

A gdy przytém zważymy że p. Karliński chce oświecać lud nasz teoryjami niemającymi nic wspólnego z nauką rolnictwa, jak np. cały rozdział jego teorii: „O kiśnieniu czyli wybijaniu ziemi,“ to się przekonamy, że z takiej pracy nie będzie kołaczy.

2) *Nasze błędy w gospodarstwie*, przez Ludwika Górskiego. Warszawa, 1874. Książka ta istotnie wskazuje błędy panujące we wszystkich gałęziach gospodarstw naszych i zarazem poleca odpowiednie środki do wyjścia z tego błędnego koła. Nie wiemy o ile dziełko to już jest w obiegu i czytane w naszym świecie rolniczym, ale zapewniamy ogół naszych gospodarzy wiejskich, iż na kupieniu i przeczytaniu go z uwagą może zyskać bardzo wiele.

3) *Opis niektórych wzorowych gospodarstw Flandryjskich*, napisał Stefan z Bronowa, Poznań, 1874. Umyślnie zestawiamy dziełko to z poprzedzającym, gdyż można uważać jedno za dopełnienie drugiego. P. Górski, wskazując najpowszechniejsze błędy gospodarstw naszych, nie był w stanie wskazać w kraju ani jednego gospodarstwa całkiem wolnego od tych błędów, zdążającego najprostszą i najpewniejszą drogą do zamierzonego celu, bo takiego gospodarstwa dotąd jeszcze niemamy. Flandrya daje nam nie jeden, ale mnóstwo przykładów tego rodzaju; tylko nie po to, aby je brać żywcem tak jak są do naśladowania, ale dla zrozumienia: co mianowicie się przyczyniło do tak olbrzymiego wzrostu tych napozór drobnych gospodarstw?...

Co do tego, i sam autor książeczki w mowie będącej, wszystko w tych kwitnących gospodarstwach flandryjskich przyjmuje za równie dobrą monetę, a czasem nawet więcej się zachwyca rzeczami podrzędniejszego znaczenia, aniżeli tém co zawsze i wszędzie jest istotną podstawą postępu w gospodarstwie. Tak np. w gospodarstwie p. Decromberque (rozd. I) uwagę naszego rodaka widocznie więcej zajęła metoda

<sup>1)</sup> Wszystko to jest podkreślone przez autora.

uprawy ziemi w *grzbiety* czy też w redliny (enbillons) i tójto meto-dzie snać więcéj przypisuje wpływu na wysoką urodzajność roli, niż temu że w gospodarst. p. Decromberque nigdy *nie skąpiono nawozów*. W przeglądzie gospodarstwa w Brebiérés (rozdz. II) niewiedziéć dłączego autor sprawozdania nazywa *nie normalnym* plon pszenicy, jaki wydały dwa hektary w r. 1866 t. j. 119 hehtolitrów (93½ korcy z prze-strzeni nieco więkšej nad 3½ morgi np.); a przeciez reguła własci-ciela tegoż gospodarstwa, przez naszego rodaka tamże zacytowana: (Aby pola doprowadzić do *maximum* produkcji i urodzajności, usil-nie starać się trzeba, aby fabrykować nawóz, a gdyby to nie było do-statecznym, *od handlarzy nabywać trzeba nawozowych środków*) naj-wyraźniej poznać daje, że plon taki nie był przypadkowy i że chyba te plony są *nie normalne*, które się otrzymują w przypadkowych wa-runkach, jakie mogą się zdarzać w roli i atmosferze przy zaniebdy-waniu przez rolnika dostawy roślinom ońtego pokarmu.

Pomijając inne t. p. fałszywe lub błędne pojęcia o wartości rozmaitych praktyk gospodarczych we Flandryi, któremito błędami książeczka jest przepełniona, szczególniej ją jednak polecamy rolni-kom naszym, jako niezmiernie bogatą co do faktów wielu, bardzo wiele dających do myślenia, a ztąd i do poznania prawdy. Nade-wszystko rozdział III (gospodarstwo w Rexpoëde) jest w stanie wy-świetlić gospodarzom naszym, jak wiele oni tracą na tém, że dotąd ani myślą o *drenowaniu ziemi*, tój najpotężniejszej (po nawożeniu) dźwigni powodzeń gospodarskich, wstawiając sobie że u nas niby jeszcze *nie przyszedł* czas na to, że to chyba da się uczynić na koń-cu.... „dla uwieńczenia lub ozdoby“ gmachu gospodarstwa, niby figu-rami lub gzysami.... O, nie! istotny gospodarz od tój czynności, jako od fundamentu, powinien *rozpocząć* budowę swego gmachu. Jeżeli nie jest w stanie niezwłocznie wydrenować wszystkich, dajmy 1000 mórg swoich pól, to nie idzie za tém iżby nie powinien był po-śpieszyć z tém na kilkunastu lub nawet kilku morgach roli. Nie-mniej też pragniemy zwrócić uwagę rolników naszych i na tę okolicz-ność, że w tych wzorowych gospodarstwach flandryjskich własność ziemska rozszarpana na najmniejsze kawałki i porozrzucane tak szkaradnie jak nigdzie indziej (patrz str. 37) nie przeszkodziła jed-nak podnieść wartości swój do takiego stopnia, o jakim nie pozwala sobie marzyć mnóstwo naszych gospodarzy, nic nie robiąc i krzycząc w niebogłosy, że właśnie niedokonane dotąd rozgraniczenie i zaokrą-glenie gruntów, *główną* ku temu stanowi zawadę!

4) *Pszenica i jej uprawa*. Napisał, w celu pozyskania świa-ductwa z ukończenia nauk w wyższej szkole rolniczej Imienia Hali-ny w Żabikowie, Stanisław Neubauer. Poznań, 1874 rok.

Rozprawa ta może zaciekawić każdego ukształconego rolnika polskiego, nietylko ztąd iż treścią jój jest uprawa rośliny dla nas najpożądańszej, ale i dlatego iż może dać miarę wartości *nauki rol-nictwa* udzielanej w tój wyższej szkole. A lubo ze względów tylko

co wskazanych praca ta zasługuje na szczegółowy rozbiór krytyczny, w niniejszej recenzji dokonać tego niepodobna i co gorzej z przykrością zaznaczyć to nam tu wypada, że rozprawa p. Neubauera nie wytrzyma krytyki nauki rolnictwa. W pierwszych dwóch rozdziałach p. Neubauer przy niezmierniej erudycji, okazuje niepospolitą znajomość botaniki, chemii i fizjologii roślin; wymienia mnóstwo rodzajów, gatunków i odmian pszenicy; najdokładniej opowiada o wszelkich odmianach zachodzących w procesie kiełkowania i powstawania organów, a co się daje widzieć, na wszystko to patrzył własnymi oczyma przez mikroskop, świadczy niezaprzeczenie że umie nazwać i odróżnić każdą cząsteczkę cząstek części tej rośliny; ale cóż ztąd, skoro następnie, mówiąc o warunkach jej uprawy, już się zadowolnia lada czém?

Li tylko ustęp: o czasie właściwym do żniwa pszenicy i początki inny: o przyczynach wyleganie tej rośliny, jest istotnie opracowane i oparty na naukowych danych, gdy na spodzie wszystkich innych pomimo okrycia togą naukową, leży najgrubszy empiryzm. O dowód na to nie trudno.

Zapewne zgodzi się z nami każdy z czytelników, że poznanie własności i przymiotów gruntu na którym ma dobrze obradzać pszenica, jest najgłówniejszym zadaniem agronomii i agronoma. Tymczasem w rozprawie p. Neubauera co do tego przedmiotu znajdujemy oto taką naukę:

„Pszenica wymaga gruntu gliniastego, żyznego (!), z chwastów oczyszczonego. Warstwa rodzajna powinna posiadać własność zatrzymywania wilgoci, podglebie zaś powinno być przenikliwe. Głównie na to zważać powinniśmy, mianowicie w ziemiach lżejszych, aby rola którą przeznaczamy pod pszenicę była w stariej sile.“

„Nachylenie roli najodpowiedniejsze jest ku południu, lub południo-zachodowi, z powodu że słońce może lepiej działać i rola od wpływu wiatrów północnych jest zasłonięta; tak samo odpowiednią pod pszenicę jest rola płaska, byle tylko niezbyt wilgotna. W północnych okolicach ziemi naszej będzie lepiej i odpowiedniej na gruncie średnim uprawiać żyto, przynajmniej w części, albowiem pszenica grunt taki bardziej wycieńcza i mniejszy sprzęt słomy wy daje“ (str. 17 i 18).

Wszakże we wszystkich kalendarzach, ile ich było na Bożym świecie, znajdujemy wprawdzie nie lepsze, ale też nie gorsze określenia własności gruntów zdalnych pod wypiód pszenicy.... Ale pan Neubauer do wskazanej sentencji dodał jeszcze taki przypisek:

„Istnieją jednak kraje, w których pszenica *dla wilgotnego klimatu* na wielkich przestrzeniach uprawiana bywa nawet na *polach piaszczystych z przepuszczalnym podglebiem*; do takich zaliczamy Anglią, tam bowiem, jak mówią, właśnie wilgoc usposabia grunt chociaż więcej piaszczysty do uprawy pszenicy.“

Tak mówił istotnie Oczapowski (którego p. Neubauer zacytował tamże) i tak mówią dotąd jeszcze całe gromady niedouczonych agronomów; ale już żaden człowiek obeznany ze współczesną nauką rolnictwa nie powtórzy za tymi, *co tak mówią*, że w Anglii z powodu klimatu wilgotnego dobrze obradza pszenica na gruntach piaszczystych....

W całej rozprawie p. Neubauera raz tylko spotykamy zaznaczone imię Liebiga i to w rzeczy nic nie znaczącej; ale natomiast Rosenberg-Lipiński i t. p. powagi świecą tam bez przerwy.

Gdyby p. Neubauer *poznał* zasadę teorii rolnictwa Liebiga (choćby tylko z dwóch rozdziałów: „ziemia“ i „roślina“ jego Chemii zastosowanej do rolnictwa, w cz. II zatytułowanej *Prawa przyrodzone Rolnictwa*), w takim razie z pewnością nie miałby chęci ani odwagi popisywać się z powyżej przytoczoną starą jak świat *gadaniną*, bo byłby już poznał, że ani glina, ani piasek, ani wapno, ani chwasty, ani słońce, ani woda, ani strony świata, ani wiatry tyle wpływu nie wywierają na większy lub mniejszy stopień przydatności gruntu pod pszenicę, jak sama właściwość tej rośliny, właściwość zawarta w fizycznej budowie jej korzeni. P. Neubauer, jako człowiek *rozumny*, najłatwiej byłby się przekonał, że tylko różnica w budowie korzeni pszenicy i żyta posługuje jako wskazówka do rozwiązania jednego z najżywotniejszych zadań, zwłaszcza dla naszego rolnictwa. Dlaczego żyto wydaje 10, 12 lub więcej korcy ziarna z takiej przestrzeni jednej i tej samej ziemi, w zupełnie jednostajnych warunkach fizycznych i klimatycznych, na której jednak pszenica w żadnym razie, t. j. przy najprzyjaźniejszych warunkach atmosferycznych, nie wyda więcej nad 4 do 5 korcy i to lichego ziarna?

Nic jaśniejszego i bardziej przekonującego nad to świntko rzucone przez *gieniusz* Liebiga, iż o wiele cieńsze i delikatniejsze korzonki pszenicy mogą nierównie mniej wydobyc pokarmów roślinnych z ziemi, na której korzenie żyta, jako mocniejsze i potężniejsze w swęj budowie, wydobywają tych materii pokarmowych bez porównania więcej, a ztąd głównie plon tej rośliny na takich ziemiach bywa nierównie większy. Gdyby pszenica miała zupełnie takie same, *takuteńkie* korzenie jak żyto, niezawodnie byłaby wydawała, we wszystkich innych równych warunkach, równe plony z żytem; czyli że na t. z. *żytniej* glebie moglibyśmy wtedy uprawiać pszenicę. Lecz usunąć tej różnicy w budowie korzeni tych dwóch roślin nie jesteśmy w stanie; ale dość wiedziéć o tém, aby zrozumieć iż natomiast każdy rolnik ma możność gruntu swoje na których dobrze obradza żyto, przyprowadzić do tego stanu, iż one dostarczać będą korzeniom pszenicy nietylko nie mniejszą ale nawet większą ilość wszystkich materyałów pożywnych, niż ta jaką obecnie pobierają korzenie żyta. A nie jest to tylko teoria, o czém w tej chwili mówimy, ale najistotniejszą prawdą, najzgodniejszą z rzeczywistością, bo już najzupełniej stwierdzona przez doświadczenie, gdyż oto w naszych czasach

mnóstwo ziem (w Belgii, Saxonii i w innych krainach niemieckich), na których przed kilkunastu laty nawet nienajlepiej obradzało żyto, przerobiono na doskonałe grunta pszenne, głównie za dodaniem fosforanów lub innych materii pożywnych roślin, których w ziemiach tych przedtém pod wyplód pszenicy było *zamalo*. To też i w Anglii, nie dla wilgotnego klimatu, lubo tak mówią, dobrze obradza pszenica na gruntach piaszczystych, ale dlatego głównie, iż grunta te oddawna już zostały dostatecznie wzbogacone w niezbędne pokarmy roślinne <sup>1)</sup>. Niech w Anglii przestaną podsycać nagromadzone bogactwa w roli, a na nie wnet pójdzie jej klimat wilgotny; przestanie obradzać na tych gruntach nietylko pszenica, ale następnie żyto i nawet owies.

W takito sposób obecnie nauka rolnictwa pojmuje stosunki roślin uprawnych względem roli, i odwrotnie; ztąd najniewątpliwiej na korzyść postępu w rolnictwie poznajemy, że nie masz na świecie gleby pszennej, czyto gliniastej, czy próchnicowej, czy piaszczystej, któraby nie zeszała do klasy żytniej przez wyczerpywanie; lecz i odwrotnie, że również niema nigdzie *dobrej* gleby żytniej, któraby się nie dała, pomimo klimatu <sup>2)</sup>; wielu innych napozór niesprzyjających warunkach, przerobić na *pszenną* <sup>3)</sup>.

Więdcząc o tém wszystkiém p. Neubauer nie byłby wystąpił do rodaków „z północnych okolic ziemi naszej“ z radą iż będzie lepiej i odpowiedniej na gruncie średnim uprawiać żyto, przynajmniej w części, z tójto niby racjonalnej przyczyny, że pszenica grunt taki bardziej wycieńcza (nie pszenica, tylko rolnik grunt wycieńcza) i mniejszy sprzęt słomy wydaje....

Dlaczego wyższa szkoła rolnicza, w której się kształcił autor rozprawy tój, w obec wielu innych nauk istotnie dobrze wykładanych,

<sup>1)</sup> Szkoła Żubikowska przysłała na wystawę naszą okazy kilku ziem pszennych, a pomiędzy temi ziemi Turewskiej, o której mówią w swoim opisie okazów, dodała następującą uwagę:

„Ziemia Turewska jakkolwiek z natury nie jest pszenną, użytą została na okaz, przy wysokiej bowiem kulturze, w jakiej się znajduje, wydaje dobre plony pszenicy.“

Ma więc szkoła ta i to pod bokiem dowód, że nieskutkiem klimatu ziemia z natury nie pszenna daje się przerobić na pszenną; czemuż tedy nie pojmuje czy nie chce pojąć należyte znaczenia i doniosłości tego faktu? (P. A.)

<sup>2)</sup> Np. w Rosyji europejskiej i w Syberyi, gdzie z powodu warunków klimatycznych, istotnie nie dają się uprawiać pszenice zimowe, jednak na gruntach nie wyplonionych bardzo dobrze obradza jarka. (P. A.)

<sup>3)</sup> Jakkolwiek zarzuty recenzenta uczynione autorowi pisma „Pszenica i jej uprawa“ co do niedostateczności tój części jego dzieła w której mówi o gruntach pszennych, są aluzyjne; to jednakże recenzent w szeregu uwag swo-



ignoruje samą naukę rolnictwa, która jedynie byłaby w stanie sprostować takie i t. p. błędy co do warunków (bo jużci nie sprostuje takowych ani chemia, ani fizjologia, ani botanika, a tém mniej ekonomia polityczna), uprawy pszenicy, jako i innych roślin gospodarskich? Być może z *czasem* sama szkoła, lub który z jej wychowawców na to odpowie, my zaś tymczasem możemy pójść dalej.

5) *Uprawa i użytkowanie Lucerny*, z dopiskami o esparcecie. Napisał A. Śniegocki, Warszawa, nakładem autora, 1874. Jest to dość dobrze opracowana kompilacja; wprawdzie nie masz w niej nic z tego poprawionego, ale też i zepsutego, co lepiej lub gorzej pisali już rozmaici autorowie o tym ważnym przedmiocie dla rolnictwa; niezaprzeczoną zasługą p. Śniegockiego jest to, iż zebrał w jedną całość myśli i zdania, które dotąd były porzrucane w rozmaitych dziełach i pismach czasowych.

6) *Nawozy Chemiczne* (studjum) z L. Martinet. Przez Franciszka Gawrońskiego, Warszawa (przedruk z *Gazety Rolniczej*), 1874. Prawdziwie trudno zrozumieć po co nasza „*Gazeta Rolnicza*,” zkaład inąd dziś bardzo dobrze wywiązująca się ze swego zadania, tyle zadała sobie pracy i kosztu, robić studia obszerne z p. L. Martinet, o którym nasz świat rolniczy, bez najmniejszej szkody mógłby nie wiedzieć wcale. Ten sam przedmiot: Nawozy chemiczne, przez tylu innych autorów już był nierównie lepiej opracowany; niemówiąc tu o obcych, niemieckich pisarzach, dość będzie zaznaczyć tu prace naszego rodaka prof. Zdzitowieckiego, które możnaby śmiało polecić

---

ich, z tego powodu wysnutych, dochodzi do wniosków zbyt ogółowych, które mogłyby w błąd wprowadzić mniej oględnego lub nie dosyć z przedmiotem obeznanego czytelnika. Dlatego kilka słów objaśniających redakcyo Bibl. uważała się zniewoloną tutaj zamieścić.

Recenzent pomijając uwytatnienie różnic pomiędzy rezultatami w uprawie pszenicy otrzymanemi w laboratoryach, pomiędzy rezultatami w uprawie pszenicy w gospodarstwach w których przez wieki pracą i nakładem poprawiano fizyczne i chemiczne własności ziemi, pomiędzy rezultatami mogącemi być otrzymanemi w krajach i gospodarstwach na niskim stopniu kultury i bogactwa stojącemi, nadał rozumowaniu swemu cechę niezgodności z rzeczywistością i z praktyką gospodarską. Mianowicie nieuwzględnienie fizycznych własności ziemi, zdolności zatrzymywania wilgoci i opierania się wpływowi działania słońca i mrozu, niepraktyczność wniosków jego powiększa.

Pod tymi względami recenzent nie miał dosyć na pamięci uwag tak słusznie przez siebie uwielbianego Liebiga. Ten ostatni bowiem ściślej się rachując z praktyką mówi na str. 130, 131 i dalszych (w dziele *die Chemie in ihrer anwendung auf agricolennd Physiologie*, 8-oe Auflage). „Poprzednie liczby które przytoczyłem przekonywają, że w praktyce nie można bezwarunkowo zamienić gruntu żytznego na pszenny samym dowozem brakujących części mi-

całój Francyi do studyowania... Już jeśli mamy coś brać od obcych, niechże to będzie prawdziwie tego godném, albowiem na miernoty nie dla nas przeznaczone, prawdziwie szkoda czasu.

7) *Zatrudnienia rolnicze podczas wiosny*, napisał Jan Romuald Wiland. Warszawa, 1874 r. Z tém większą przyjemnością zaznaczamy teraz drugi przedruk z „Gazety Rolniczej“ będący oryginalnym utworem rodaka, iż się szczególnie odznacza zdrowym i praktycznym poglądem na rzeczy gospodarskie. Nadewszystko zwracamy uwagę czytelników na to, co mówi p. Wiland o będącej dziś jeszcze u nas w niezmiernój modzie teoryi Rosenberga-Lipińskiego (str. 45 i 46).

8) *Rezultaty uprawy płodów rolniczych*, na nawozach mineralnych i obornych, otrzymane na polu doświadczalném w Nowej Wsi, spisał Mieczysław Hube. Warszawa, 1874 r. Z téj książeczki czytelnik tyle tylko się dowiê, że wyjąwszy jednej tylko próby (t. j. pewnej mieszaniny nawozów mineralnych z obornikiem), wszystkie inne nieudały się; rezultaty jak się okazało, były zakosztowne. Dlaczego, czy w istocie takie tylko rezultaty były możliwe? O tém p. M. Hube nie mówi wcale. Lecz zdaniem naszym, tych oto słów kilka p. Hube wystarczy do wyjaśnienia rzeczy: „Miejsce obrane przedstawiało średni gatunek ziemi gliniasto-piaskowój, żytniej I-ój klasy o spodzie nieprzepuszczalnym.“ Skoro nic więc nie widziano o własnościach ziemi obranej dla wypróbowania mnóstwa kompozycyi nawozowych, znaczy to iż próby odbyły się na *ciemno*, na chybił trafił, więc nic dziwnego że się nie powiodły wcale.

---

neralnych, ani téż dokazać tego iżby się na gruncie pszenicznym plon pszenicy podwoił: można do tego dojść na małych poletkach doświadczalnych; na obszernych łanach ceny i ilości potrzebnych materiałów stawiają nieprzewyciężone przeszkody.“

„Sztuka gospodarza polega na tém istotnie, aby umiał wybrać rośliny i kolój im po sobie naznaczyć, rośliny, które grunt jaki posiada wyżywić może, i żeby użył wszelkich środków możliwych aby w ziemi będącej nierozpuszczalnej pokarmy roślinne w działalność wprowadzić.“ „Przeznaczeniem nawozów jest nadad trwałość plonom. Jeśli się osiąga jeszcze i podwyższenie tychże, to powodem tego podwyższenia nie tyle jest powiększenie masy pokarmów roślinnych jak raczej ich normalniejsze rozdzielenia i rozszerzenia oraz obudzenie do działania tych, które wpród były niejako obumarłe.

Z powyższych przytoczeń wynika że sam dodatek nawozów mineralnych gdyby nawóz był możliwy na obszernych przestrzeniach, niezawasze wystarczyłby do zamienienia gruntów żytnich na pszenne. Jeżeli podobne przemiany dzieją się rzeczywiście w krajach w wyższej kulturze rolniczej będących, to dzieje się ciągłym i długim postępem, w którym jednocześnie miane są na oku, zarówno chemiczne jak i fizyczne własności ziemi, niemniej modyfikacja klimatu, na który również sztuka i kultura pewien wpływ wywierają może.

P. R. B. W.

9) *Sprawozdanie Komitetu c. k. Towarzystwa gosp. galicyjskiego, O rezultacie zbiorów w r. 1872*, z dołączeniem rozprawy Dra. Pilata: O metodach, zbierania dat do statystyki żniw. Lwów, 1873 r. Samo sprawozdanie dziś już jest nieco przedawnione, z którego jednak poznajemy że stan gospodarstw rolnych w tej części Galicyi jest zadziwiająco smutny, ponieważ ów rok t. j. 1872 nie należał do rzędu lat wyjątkowych, w jakich burze, grady, ulewy, lub. posuchy nadzwyczajne, niszczą owoc prac rolniczych. Rozprawa zaś Dra. Pilata obszernie roztrząsa rozmaite trudności zachodzące powszędę przy zbieraniu statystycznych danych, a w Galicyi w szczególności i lubo nie podaje żadnego łatwego środka do usunięcia tych trudności, bo taki istotnie nie da się wynaleźć, to jednak wskazuje sposoby, za pomocą których dałyby się zmniejszyć te trudności w pewnej mierze.

10) *Głos Jakóba Natansona na konferencji rolniczej: O nawozach sztucznych*. Warszawa, 1874 r. Otóż i ta lubo króciutka broszurka, najlepiej potwierdza to cośmy już wyżej powiedzieli z powodu studyum z L. Martinet, że nie potrzebujemy przyswajać sobie lada co z obczyzny, skoro posiadamy dobrych własnych pracowników na tém polu. Jednak zadziwiła nas ta część mowy p. Natansona, w której szanowny prof. poleca rolnikom naszym w jednakowej mierze troszczyć się o zwrot roli materyi azotowych, jak kwasu fosforowego i potażu. Co do azotu, zdaniem naszém, kwestya nie w taki sposób powinna być badana: ile azotu rok rocznie wyczerpujemy z gruntów i sprzedajemy, a ile może go nam zwracać powietrze, jak raczję podług tego faktu, który dałyby się istotnie rozpoznać na podstawie współczesnych wiadomości naukowych i przez doświadczenia: czy w obecnym czasie, ta przynajmniej część naszych ziem uprawnych, która lubo nie wielki, jednak jakiś zysk daje, dla braku materyi azotowych zamało obradza, czy jakichkolwiek innych? Niezaprzeczenie, mamy nie mało i takich ziem, którym wraz z innymi materjami brakuje téż i azotowych; np. wszystkie ziemie, chociaż wolne od wadliwości fizycznych, ale o tyle już wyplenione, że nie rośnie na nich w sposób opłacający się nietylko ziarno ale i słoma; lecz takich ziem w naszych ciężkich czasach, przesilenia ekonomicznego w kraju, nawet uprawiać nie warto. Przeciwnie, należy zwrócić całą usilność na te mianowicie pola, które rzecz można, *za wiele dają słomy w stosunku do małej plennosci ziarna*, na których słoma aż *polega* w latach nieco przyjaźniejszych dla wegetacyi i *mnożą się chwasty*. Takim polom widocznie nie brakują materyi azotowych i nie zagraża nawet na przyszłość brak takowych, gdyby tylko urodzaje na nich były trwałe; gdyż rzecz jest znana z nauki i doświadczenia, że *po dobrych plonach* w słomie i ziarnie, ilość materyi azotowych nie zmniejsza się w roli ale raczję powiększa się, nawet bez żadnych starań rolnika. Moglibyśmy tedy przez nawożenie takich ziem li-tylko fosforanami i potażem (tam gdzie dużo się uprawia kartofli, buraków i t. p. roślin) ostatecznie poznać, o ileby wypadło w przyszłości

podsycać też w materye azotowe zasoby téj części naszych uprawnych i ztąd odnieść najwyższe korzyści dla naszej ekonomiki rolniczej.

Niemniej też jesteśmy zdziwieni, dlaczego szanowny prof. mówi, że w doświadczeniach p. Huby i jego współpracowników „przeważa kierunek czysto-teoretyczny,“ gdy tam właśnie jest brak widoczny tego kierunku?...

11) *Wystawa płodów rolnictwa i przemysłu*, odbyta we wrześniu 1874 r. w Warszawie. Sprawozdanie redakcyi „Wieku.“ Pobieżne to i bardzo powierzchownie wyrozumowane sprawozdanie, jak wszystkie tego rodzaju pośpieszne prace.

W końcu wymieniamy tu jeszcze dwie nowości literackie, jakkolwiek nie wchodzące w zakres naszej specjalności: 1) *Praktyczne zastosowanie teoryi żywienia inwentarza* dra. Grouvena, podał August Lubomęski. Jest to już drugie wydanie dzieła, które pozyskało u nas wziętość, w rzeczy wielkiego znaczenia dla gospodarzy wiejskich. 2) zaś *O sztuczném rozmnażaniu ryb*, téj znowu niezmiernie ważnej gałęzi przemysłu wiejskiego, z którego bardzo być może dlatego u nas nie korzystano dotąd, iż o téj sztuce nie mieliśmy z nikąd najmniejszego wyobrażenia, p. Karpiński podaje rzecz tę treściwie, zajmująco i zrozumiale.

*Konstanty Przeciszewski.*

*Mała Gramatyka języka polskiego. Wyłożył August Jeske.  
Wydanie drugie. Warszawa, 1875.*

Wobec naglących potrzeb i dotkliwych braków domowego nauczania, p. Jeske przedsięwziął wydawnictwo bardzo pożyteczne już z zasady, a mianowicie szereg dziełek elementarnych do podręcznego użytku tak dla uczniów, jak, może jeszcze bardziej, dla nauczycieli. Wiadomo bowiem, na jakim stopniu zostaje u nas nauczycielstwo elementarne prywatne i jak bardzo ludzie, poświęcający się z konieczności temu niewdzięcznemu zawodowi, potrzebują jeszcze pedagogicznego wykształcenia. Pojedyncze książeczki ze zbioru p. Jeskego znajdowały już ocenę na kartach rozmaitych pism czasowych. Ocena wypadła mniej więcej pomyślną, i chociaż podręczniki p. Jeskego nie są tak doskonałymi, żeby już lepszymi być nie mogły, wszelako są w ogólności dobre i pożyteczne. O ile to samo da się powiedzieć o „Gramatyce,“ niech czytelnicy osądzą sami z naszego rozbioru, do którego przystępujemy.

Gramatyka p. Jeskego jest przedewszystkiém praktyczną, z zastosowaniem metody przeważnie analitycznej, odstępującej tu i owdzie od dawniej rutyny, tak co do systematu w układzie, jak i względem niektórych określeń i skazówek, jak to się poniżej wykaze. Nie-

wątpliwie autor i tutaj zarówno miał na względzie nauczycieli, jak i uczniów, choć może niedość pamiętał o pierwszych: pożądaném byłoby bowiem nieco więcej skazówek i uwag o korzystaniu z „Grammatyki” w ustnym wykładzie, więcej przepisów z metodyki. U nas bowiem, powtarzamy, nauczyciele i nauczycielki, bardzo jeszcze tego potrzebują, gdyż wiadomości z metodyki pedagogicznej wielu z elementarnych nauczycieli nie sięgają jeszcze, niestety, poza tradycyjne zadawanie z książki *ztaąd dotąd* i użytkowanie *wyłącznie* z podanych w książce przykładów.

Rozpatrzmy się teraz obszerniej w książeczce, jak na to jój cel i ważność przedmiotu zasługują.

W pierwszym wydaniu była to tylko „Grammatyczka;” a drugie, całkiem przerobione i powiększone tak, że według słów autora, zupełnie inną jest książką. Owa „grammatyczka” zostawała w ścisłym związku z tegoż autora „małą stylistyką,” tak że musiała być, według przestrogi autora, używaną albo jednocześnie z nią, albo po niej, ale nie przed nią lub bez niej. Takie połączenie miało swoje dobre, ale miało także złe strony; słusznie więc autor uznał za stosowne niniejszą grammatykę opracować, jako samoistne dziełko, samo w sobie całość stanowiące.

Zgodnie z praktyczną metodą analityczną, która panuje w nauce języków żyjących, autor zaczyna od „myśli” i zdania. Powszechna to już niemal wada naszych grammatyków, że nie wyróżniają ściśle myśli (objawu psychicznego) od sądu (formy logicznej) i zdania (formy gramatycznej). Zarzut ten po części stosuje się i do p. J., który ciągle niemal wyrazu „myśl” używa zamiast wyrazu „sąd” (str. 1 i 2). W określeniach, które znajdujemy na wstępie, pomijając już to, że niekoniecznie są one przystępne dla początkujących dzieci, (jak np. „myśli” są duszą mowy, ... to ożywczy duch mowy str. 1), znajdujemy tu np. pomieszanie pojęć z wrażeniami lub takie osobliwsze twierdzenie, że nim wypowiemy myśl jaką, powinniśmy ją dobrze zbadać! (str. 2). Ileżto jest rzeczy, które wypowiadamy, choć ich nie zbadaliśmy bynajmniej. Niemniej dziwnymi wydają się nam następujące wyrazy: „Nie powiemy nigdy *człowiek jest duchem*, ponieważ z połączenia takich sprzecznych pojęć, wynikałaby myśl błędna” (str. 2). Dalej autor miesza nawet *pojęcie z wyrazem* (str. 3) i utrzymuje, że myśli niewypowiedziana, „jest utajona w naszej wyobraźni” (tamże).

Z wyjątkami powyższych błędów, dalszy wykład początkowych wiadomości o zdaniu jest jasny i praktyczny. Ucieszyło nas, pomiedzy i innymi i to, że autor słusznie ostrzega z naciskiem przed popołytnym błędem niewyróżniania *rzeczy* od jój *nazwy* (w określeniu podmiotu na str. 4 i rzeczownika na str. 7); zwykle bowiem prawią dzieciom: *stół* to podmiot, *stół* to rzeczownik i t. d.

Daliej następuje rozdział o rzeczowniku. Tradycyjny, a w gruncie błędny podział rzeczowników na umysłowe i zmysłowe, zachowuje i nasz autor, podobnie jak i chwiejne i sprzeczne określenia rzeczowników własnych i pospolitych; co bowiem ma znaczyć takie określenie: „miana własne są właściwe *pewnym tylko* osobom lub rzeczom“ (str. 9). Czy rzeczowniki pospolite nie oznaczają również *pewnych tylko* osób i rzeczy? Rachując do imion własnych nie tylko imiona chrzestne, ale i nazwy narodów (te ostatnie błędnie), autor czuł niedorzeczność dawnego bez myśli powtarzanego określenia, jako „imię własne oznacza jeden tylko przedmiot“ i dlatego go nie powtórzył (używszy powyższego, niemniej błędnego); wszelako poniżej, określając imiona pospolite, jako oznaczające „*nie już jeden*, lecz kilka jednakowych przedmiotów“, niejako ubocznie potwierdza ów dawny błąd. Jakim sposobem można utrzymywać, że *jeden* tylko przedmiot oznaczają nie tylko takie wyrazy, jak *Polak*, *Włoch* i t. d., ale nawet takie jak *Jan*, *Zofia*? Takich sprzecznych i błędnych określeń możnaby, zdaniem naszym, uniknąć, zarzucawszy zupełnie owe rutyniczne formułki, a oparłszy nowe określenia na logicznym stosunku wyrazów do pojęć indywidualnych, gatunkowych i rodzajowych. Nieco chwiejności, a nawet dowolności, znajdujemy i w tém, co autor mówi o rzeczownikach jednostkowych i zbiorowych; tak np. trudno się zgodzić na to, że do zbiorowego *zboże* jednostkowym jest wyraz *ziarno*, albo że w takim samym stosunku zostają do siebie wyrazy *grosz* (czemu nie *złoty*, lub *dukat*?) i pieniądze (str. 9). Zresztą rozdział o rzeczowniku posiada niemniej zalet jak i poprzedni.

W rozdziale o zaimkach autor uwzględnił tylko rzeczowne znaczenie niektórych zaimków, pominiawszy przymiotnikowy charakter innych. Przy określeniu zaimków, autor zadaleko się posuwa, twierdząc że nie można powiedzieć „Stanisławie uważasz“, ale konieczne trzeba mówić „ty uważasz“ (str. 14).

Dalsze ustępy o przymiotnikach i początkowe wiadomości o czasowniku mało pozostawiają do życzenia; w ustępie o liczebnikach zauważyliśmy niewłaściwe umieszczenie ułamków pod porządkowymi (str. 36).

W ustępie o przyimkach autor podaje ułatwiającą tabelkę, za pomocą której wzrok może objąć wszystkie przyimki i tym sposobem przyjść w pomoc pamięci. Wszelako, zdaniem naszym, ową tabliczkę możnaby jeszcze udoskonalić, umieściwszy przypadki nie kolejną ich następstwą (która tu znaczy nię wiele), lecz w takim porządku: VII, IV, VI, II i III; tym sposobem przyimki rządzące dwoma i trzema przypadkami znajdowałyby się zawsze w jednej kolumnie bez przerwy, z wyjątkiem przyimka *pomimo*, który już dodatkowo musiałby stać osobno. Nadto porządek przyimków musiałby być odwrotnym, a mianowicie:

## P r z y i m k i.

przypadki:	rzadz. trzema przyp.	dwoma przyp.	jed. przyp.	
VII	} za	} z	} w, o, na, po, między, pomiędzy, przed, nad, pod.	} przy przez oprócz, od, u, do, kolo, dla, bez, zamiast, śród i t. d. ku, przeciw, wbrew, gwoli
IV				
VI				
II				
III				
II i IV rządzi przyimek (po)mimo.				

Ukończywszy elementarne wiadomości o pojedynczych częściach mowy, autor podaje systematyczne ich zestawienie (za odrębną część mowy uważa także i imiesłów), a potem wraca do składni, dając bardziej już szczegółowe wiadomości o zdaniu i jego częściach, już nie tylko głównych, ale i podrzędnych. Tu kończy się pierwszy dział nazwany przez autora „rozdziałem“, który może właściwiej wypadałoby nazwać kursem pierwszym. W końcowym tym ustępie znajdujemy kilka usterek: i tak np. mówiąc, co może stanowić orzeczenie, autor pominął przysłówki i tryb bezokoliczny (str. 52), a wspominając o opuszczeniu słowa być (jako łącznika lub orzeczenia), zapomniał dodać, w jakim jedynie czasie to jest możliwem (str. 54).

Drugi rozdział (raczej kurs II) zaczyna się od głosowni. Trochę tu niedokładności: tak np. wspomniawszy o rozmaitych zasadach podziału spółgłosek, autor zaniedbał wymienić tych działów; powiada tylko że *najważniejszem* jest podział na twarde i miękkie (st. 64), z czego niepodobna dowiedzieć się, czy to podział według narzędzi mowy, czy podług trwałości lub siły (natężenia). Z przyjemnością napotkaliśmy tu tak potrzebne, a tak mało przestrzegane u nas wyróżnienie głoski od litery (str. 63), a także, nieco dalej jasne i prawdziwe odróżnienie pierwiastku od źródłosłowu (str. 68), w podręcznikach naszych rzadkie. Dalej idzie szczegółowy wykład deklinacji.

Autor, po dawnemu (z czego sam tłumaczy się w przedmowie), przyjmuje trzy formy podług rodzajów, a to ze względów praktycznych; wszelako korzysta z nowszych gramatycznych teorii i wszędzie zwraca uwagę na źródłosłowy i zamiany brzmień. W jednym tylko punkcie zarzucilibyśmy autorowi że jest już zanadto postępowym, to jest z najnowszych zdobyczy lingwistyki przyjmuje nie tylko niewątpliwe wyniki, ale i chwiejne i dowolne, choć czasem dówcipne hipotezy, choćby np. teorię Sucheckiego o przegubach i podgłosach. Autor nasz opiera nawet wszystkie swoje wyjaśnienia na tej teorii, która, gdyby nawet była prawdziwą, dla dzieci jest co najmniej zawiłą i mało przystępną.

Napotyamy też tu i owdzie pojedyncze błędy w uwagach o deklinacji, tak np. na str. 88 podane jest błędne prawidło o 5 przyp. w im. żeńsk. i fałszywy przykład *Emilku!* (mówi się przecie Emilko, a tylko od „Emilcia“ będzie Emilciu!); na str. 89 nieistniejący, choć może prawidłowy, 1 przyp. l. mn. „województzi“; na str. 91 znajdujemy *Krasnemustawu* niby jako przyp 3-ci; tamże czytamy że *tygodnia* ma być zam. *tegodnia*, gdy przecię wiadomo, że istniała niegdyś i dziś jeszcze w gwarach ludowych istnieje i w 1 przyp. forma *tygodzień*; na str. 93 mamy sztuczne wyróżnienie form *księcia, u*, od form *książęcia, u*, niby jako oznaczających: pierwsze księcia tytularnego (sic); drugie udzielnego i t. p.

W dalszych ustępach o deklinacji zaimków, deklinacji i stopniowaniu przymiotników i o liczebnikach znajdujemy kilka ważnych błędów: tak np. powiada autor, że mówi się „w jej oczach, w ich sercu i t. d. dlatego że tu zaimek *nie zależy od przyimka!*“ zanedbawszy dodać że nie zależy dla tego, iż to są zaimki dzierżawcze nieodmienne (str. 94); dalej, mówiąc o spolszczonych formach imion łacińskich, autor uważa skrócenie takich imion jak Tarkwinius za niemożliwe, dlatego że *to dziwnieby* brzmiało, choć nie wiemy dlaczego *by Tarkwin* miało brzmieć dziwniej niż np. *August*, a wnet potem utrzymuje że *us* może być odrzucone tylko wtedy, gdy niema przed sobą *i* (str. 104), co znowu jest w sprzeczności z przytoczonymi przez samego autora powyżej przykładami takimi jak np. Wergili. Błędnie też każe autor mówić *Owidius* i *Owidiusa*, a o formach na *sz*, które są jedynie prawidłowe w bardziej upowszechnionych imionach, nie robi nawet żadnej wzmianki. Zaimki nią kończące się w męzk. rodz. na *y* lub *z*, autor radzi w 4 przyp. żeńsk. pisać przez *ę* (moję, tę i t. d. str. 98). Chociaż taka pisownia niegdyś pospolita i dziś jeszcze przez niektórych autorów używana (Kraszewski), sprzeciwia się powszechnie przyjętemu zwyczajowi, wszelako ganić jej nie można, gdyż opiera się ona na tej zasadzie, że wymienione zaimki z zakończeniem spółgłoskowym lub *j* zachowały ten przypadek według formy rzeczownej (książkę) i dawniej przymiotnej nieściągniętej (ten, ta, to, jak dobr, a, o, a więc *te dobre*, jak *książkę*), wówczas gdy późniejsze formy ściągnięte (dobry-i, dobra-ja, dobro-je; dobry, dobra, dobro) przejęły zakończenie *ę* od zaimka *ją*. Wszelako i tu można by zarzucić, że ponieważ wszystkie inne przypadki uboczne w owych nieściągniętych zaimkach przybrały postać ściągniętych (mojego-emu i t. d.), niema więc zasady uważać sam 4 przyp. żeńsk. za wyjątkowy. Podając wzór deklinacji takich wyrazów jak *Biała*, autor pominął zwykłe formy 2 i 7 przyp. *Białę* (str. 105).

W ustępie o konjugacji czasowników, bardzo dużo braków i niedokładności. Nie rozszerzając się zbytecznie o tym przedmiocie, zwrócimy tylko uwagę na takie rażące dziwolagi, jak niczém nie stwierdzone zupełnie dowolne formy *jest-jeśm jest-jeś* i t. d., które wrzekomo miały być pierwotnemi (str. 116), albo np. łączenie razem



w jeden czasownik rozmaitych czasowników złożonych (str. 118), lub też nazywanie *czasowaniem omowném* takich wyrażen, jak *można kochać, trzeba kochać* i t. d. (str. 127). W ogólności jednak chętnie przyznajemy, że w tym najważniejszym i najtrudniejszym dziale gramatyki, autor usiłował ułatwić i uprościć dotychczasowe zawiłe systemata, a choć trzy konjugacye, przyjęte przez pana J., nie obejmują wszystkich czasowników, wszelako praktycznie czynią zadość potrzebom elementarnej nauki. Autor i w konjugacyach nie ustrzegł się owęj wzmiankowanej powyżej hipotezy przegubów, ale stosuje się tutaj tylko w uwagach, tak że sam system konjugacyi nie ucierpi nic w skutek usunięcia téj niepotrzebnej naleciałości.

O reszcie książeczki nie wiele już pozostaje do powiedzenia. Składnia—to część gramatyki, która mniej więcej we wszystkich podręcznikach bywa wyłożoną zadawalniająco; cokolwiek tylko przesadza autor, utrzymując np. że „gdybyśmy chcieli rozgatunkowywać wszystkie rodzaje zdań pobocznych, otrzymalibyśmy bezlik (sic) zdań przeróżnych, iżby je nawet trudno było objąć w umyśle” (str. 143). To téż ugrupowanie podziału zdań pobocznych tu i owdzie pozostawia nieco do życzenia.

W rozdziale o pisowni autor słusznie wypowiada nieodłączność pisowni od etymologii. Wszelako, idąc za Malinowskim, zawiele podaje wypadków pochylonego *é* (str. 152).

Wyraz *proboszcz* wywodzi autor z łacińskiego *praepositus* (str. 157) naszym zdaniem, z większym może pozorem słuszności, wypada raczej uważać ten wyraz za grecki *proboskos* co znaczy *pasterz*.

Względem wyrazów obcych na *ia* autor bardzo słusznie ob staje przy ustalonej przez deputacyą Tow. Przyj. Nauk pisowni, jako jedynę, mającęj za sobą ustaloną powagę i przytém najprostszęj. Niemniej słusznie wykazuje autor potworność tak dziś upowszechnionęj pisowni np. *Marja, Hiszpanja*.

W ustępie o podwajaniu głosek autor nie wyróżnił wyrazów złożonych (*oddech, zziębć, wieźć*) od takich, w których wrzekome podwojenie powstaje w skutek zbiegu spółgłoski źródłosłowowęj z takąż spółgłoską zakończenia lub formującego sufiksu (*lammy, panna*).

Tak zwany przez autora *wyuczaj* pisania podwojonych głosek w nazwiskach: *Radziwiłł, Ossoliński* i t. d.—to raczej ustalona tradycya historyczna, według któręj dziś, jak w wieku XVI piszą *Zamoyski* lub *Dąmbski*.

Mówiąc o przenoszeniu wyrazów, autor nie zaniedbał wspomnieć o owém tradycyjném *pozcuciu* — kryterium chwiejném i najczęściej nieistniejącóm, zwłaszcza u uczących się dzieci.

Ostatecznie oddajemy wszelką słuszność zaletom pracy pana J. Skrzętna pracowitość autora, który czerpał starannie z dzieł poprzedników i przytém czerpał z zamiarem ułatwienia dzieciom mozolnęj nauki, jest aż nadto widoczną. Styl, z niewielu wyjątkami, prosty i popra-

wny, wykład jasny, pytania, służące do powtarzania i materiały do ćwiczeń ustnych i piśmiennych, dodane przy końcu każdego niemal paragrafu, powiększają pedagogiczną wartość dziełka. Wartość ta w każdym razie jest znaczną, a jeżeli autor, w następnym wydaniu, zechce usunąć i poprawić błędy i braki, z których nieco ważniejszych wykryliśmy powyżej, wtedy niewątpliwie jego gramatyka będzie jedną z lepszych do podręcznego, elementarnego użytku. Dla krótkości, nie chwaliliśmy każdej rzeczy z osobna, wołąc pochwalić wszystko z wyjątkiem wytkniętych błędów; a co do tych ostatnich, pominięliśmy wiele podrzędnych tak że, mamy nadzieję, wobec ważności przedmiotu, nikt nie posądzi nas o drobiazgowość.

L. Szozerbowicz-Wieczór.

F. Harms, Ueber den Begriff der Psychologie. Abhandlungen der K. Akademie der Wissenschaften zu Berlin. 1874 rok, str. 53 do 77.

Professor filozofii Uniwersytetu berlińskiego *Fryderyk Harms* odczytał w Akademii nauk w Berlinie pouczającą rozprawę o *pojęciu psychologii*. Treść jej zasługuje na uwagę wszystkich, którzy chcą sobie zdać jasną sprawę z właściwych zadań tej nauki oraz z jej stanowiska w rzędzie pozostałych gałęzi wiedzy ludzkiej. Autor rozbiera głównie pytanie: w jakim stosunku znajduje się psychologia tak do nauk specjalnych jak i do filozofii? Pod pierwszym względem wskazuje na to, że wielu chce psychologią zupełnie wyłączyć z filozofii i zaliczyć do rzędu samodzielnych nauk specjalnych. Przeciwno takiemu pogładowi autor występuje bardzo słusznie, wykazując że chociaż wszystkie w ogóle nauki specjalne, historyczne, moralne i przyrodzone zawierają w sobie bogate materiały psychologiczne, z tém wszystkiém jednak psychologia, ograniczająca się zbiorem tego empirycznego materiału, nie zasługiwałaby na miano *nauki*. Żeby być *nauką* musi wykazać *ogólne* zasady, które zdolneby były objaśnić jej szczegółowy materiał. A tego bez pomocy *filozofii*, a w szczególności metafizyki, uczynić nie może. Ztąd wynika, że samoistną nauką poza obrębem filozofii być nie może. Psychologia jest i musi być nauką *filozoficzną*. Od tak zwaną empiryczną psychologią autor zwraca się tedy do rozbiórki psychologii *filozoficznej* t. j. do psychologii, pojętej jako część systematu filozofii. Według autora psychologia w systemacie filozofii może zająć trojaki stanowisko, albo w charakterze *fizyki duszy* jako część ogólnej filozofii natury, taką była psychologia Arystotelesa; albo w charakterze *metafizyki duszy*, dążącej do wykazania substancjalnych podstaw życia psy-

chicznego, taką była psychologia dla filozofii średniowiecznej; albo wreszcie w charakterze *historyi świadomości* czyli *fenomenologii ducha*, tak pojmują psychologią Fichte i Hegel. Autor każde z tych określeń psychologii rozbiera szczegółowo i przyznaje że każde z nich ma swoje uprawnienie; gdyż wszystkie wskazane momenta złożyły się muszą dla wytworzenia wszechstronnego i wyczerpującego pojęcia o życiu duchowém, stanowiącém przedmiot psychologii. Z tém wszystkim jednak autor dochodzi w końcu do zdania, że psychologia nie jest częścią *czystej* filozofii, lecz częścią filozofii *stosowanej*. *Czysta filozofia* ma bowiem według autora za przedmiot wykład ogólnych pojęć, dotyczących bytu jako całości (allgemeine Begriffe, welche sich auf die *Totalität* der Dinge beziehen str. 76); *stosowana* zaś filozofia ma za zadanie zastosować te ogólne pojęcia do szczegółowych objawów świata i wykazać jak się te ostatnie przedstawiają ze stanowiska tych ogólnych pojęć. Otóż psychologia, rozbijając owe gotowe objawy życia duchowego, stanowi według autora najgłówniejszą część filozofii stosowanej, bo wykazuje jak się przejawiają ogólne zasady istnienia w jego najważniejszych objawach t. j. w objawach psychicznych. Z tego względu psychologia w ogólnej klasyfikacji nauk zajmuje, według autora, stanowisko przejściowe między filozofią i naukami specjalnemi. Każda z tych ostatnich zawiera w sobie pierwiastki psychologiczne, które je wiążą z filozofią. Psychologia zaś badając te pierwiastki, szczegółowo wykazuje ten wewnętrzny związek między naukami specjalnemi i filozofią w ogóle.

Nie myślimy się zająć tutaj rozbiorem powyższych poglądów autora na psychologią i jój stanowisko w rzędzie nauk w ogóle, a w szczególności w rzędzie nauk filozoficznych. Zdania autora mogłyby podać obszerny materiał do dyskusji nad tym przedmiotem; tak np. według nas autor zaniedbuje zupełnie związek jaki łączy psychologią z metafizyką, odrywa tę ostatnią zupełnie od jój bezpośrednich podstaw w objawach samego ducha. Szczegółowe zaś rozwinięcie tego zarzutu wymagałoby osobnej z naszej strony rozprawy, dlatego ograniczamy się tutaj tą jedną tylko uwagą, dodając że praca autora w każdym razie zasługuje na uwzględnienie i rozjaśnienia pod nie jednym względem tak ważną kwestyę, jaką jest kwestya o istocie i zadaniu psychologii.

H. Sz.

*Some leading principles of political economy newly expounded by J. E. Cairnes. London, 1874.* (Kilka głównych zasad ekonomii politycznej nowo-przejranych J. E. Cairnes'a).

Świeżo pod tym tytułem wyszłe obszerne dzieło o ekonomii politycznej (str. 506) głównie zajmuje się dwiema kwestyami: kwestyą zarobku i wymiany międzynarodowej.

Część prasy angielskiej wydała o nim bardzo pochlebne zdanie, nazywając je „pracą pełną genialnych pomysłów, posuwających na-przód naukę ekonomii politycznej“<sup>1)</sup>; z tego też powodu zamierzamy słów kilka o książce tej powiedzieć.

Zdanie nasze formułujemy w ten sposób: na część traktującą o zarobku się nie zgadzamy, w dziale o handlu międzynarodowym spotykamy wiele uwag zasługujących na uznanie.

Nauka o zarobku opiera się u Cairnes'a na teorii o istnieniu zasobu, z którego się czerpie zapłata robotnika t. j. na przypuszczeniu, że pewna, ściśle oznaczona część bogactwa kraju przeznaczona jest na zapłatę robotników, że zatem zarobek to iloraz wynikający z podzielenia owego zasobu przez liczbę szukających zajęcia robotników. Teorya ta postawioną została w Anglii, a bronioną za naszych czasów najpilniej przez J. Stuarta Mill'a. Również w Anglii wymierzono przeciw niej pierwsze pociski. Wystąpił z zarzutami Francis Longe, a po nim Thornton w znanym swém dziele *O pracy*; za argumentami tych dwóch ostatnich ekonomistów przemawia bardzo silnie взгляд, że ten sam Mill, który przez długi czas był gorliwym obrońcą dawniej teorii, w rozbiórce swym książki Thornton'a, uznał, że nauka o zasobie, z którego się czerpie zapłata robotnika (wages fund), nie ma żadnej podstawy. W obronie teorii porzuconej nawet przez jej dawnych zwolenników wystąpił znów Cairnes w książce, której rozbiorem się zajmujemy, przytaczając na jej poparcie argumenta, zdaniem naszym, bardzo słabe.

Wysokość zasobu zarobkowego ma zależeć: 1) od wysokości całego kapitału, znajdującego się w danym kraju, 2) od rodzaju przemysłu przeważającego tamże, t. j. od tego czy kwitnie przemysł, przy którym praca ludzka odgrywa wielką czy też małą rolę i 3) od zaoferowania (podaży) pracy.

Ten trzeci element ma wpływać na to, że w blizkich od siebie epokach kapitalista przeznaczą większą lub mniejszą część kapitału, który posiada, na zapłatę robotnika. Lecz wpływ ten objawia się przez pośrednictwo wysokości zapłaty za pracę, t. j. ogólna summa którą kapitalista przeznaczą na zapłatę robotników, podnosi się lub obniża, stosownie do tego, czy to cò bierze w przecieciu robotnik, ulega wzrostowi lub zmniejszeniu. Zasób więc zarobkowy to summa, pojedynczych rzeczywiście wypłacanych zarobków. Nie od wysokości tego zasobu zależy wysokość zarobku, lecz odwrotnie wysokość zarobku rozstrzyga o wysokości mniemanego zasobu zarobkowego. Tak zrozumiany zasób zarobkowy jest cczą abstrakcją i zwolennicy zasady zasobu zarobkowego bynajmniej mu tego ostatniego znaczenia nie nadają, tylko odwrotnie uważają, że zarobek się podnosi lub obniża

<sup>1)</sup> Saturday Review n. 971 z dnia 6 ozerwca 1874 roku.

w miarę tego, czy ów zasób się podniósł lub obniżył. Tak czyni też Cairnes; potępia np. bezrobocia, gdyż nie są one w stanie podnieść zasobu zarobkowego. Do pojęcia o zasobie zarobkowym dochodzi, opierając się na przeciętnej zapłacie robotnika, a następnie zapłatę robotnika czyni zależną od owego zasobu.

Argumentacye ogólnej natury, które go doprowadzają do pojęć o zarobku, uważamy za równie bezzasadne, tak np. to co mówi o kosztach produkcji. Stara się wykazać błędność teorii Mill'a, podług której koszta produkcji składają się z dwóch czynników: wyłożonego zarobku i procentów zwykle w kraju płaconych od potrzebnego do produkcji kapitału. Utrzymuje natomiast, że koszta produkcji stanowią wyłożona praca, wstrzemięźliwość i ryzyko.

Zdaniem naszym są to abstrakcyje, które, ażeby miały znaczenie przy rzeczywistém oznaczaniu wartości, muszą przybrać bardziej konkretną formę. W nauce ekonomii politycznej, *par excellence* praktycznej, tego rodzaju ogólnikami zadowolnić się nie można. Można by w kwestyi kosztów produkcji zejść jeszcze dalej i postawić teorią, że koszta produkcji wyrażają poświęcenie ze strony producenta w celu wytworzenia danego przedmiotu wymiany. Nie byłoby to fałszywem, ale niczego by nie uczyło.

Zresztą zupełnie niewytłumaczonem pozostaje u Cairnes'a, jak przy różnym udziale tych trzech części składowych, następuje sprowadzenie do jednego mianownika dla uskutecznienia wymiany, a więc jak porównać pracę i wstrzemięźliwość i t. d.

Zarzutem, który robimy wszystkim tym wywodom Cairnes'a, jest, że trzyma się wyłącznie metody dedukcyjnej, zarzut, który nieczęsto angielskim książkom się da uczynić. Nie troszczy się autor o życie ekonomiczne, o fakta codziennie się powtarzające, tak że często staje z nimi wprost w sprzeczności; tak np. gdy utrzymuje, że prawie zawsze niewysoka zapłata robotnika jest przyczyną podnoszenia cen, lecz odwrotnie przy wyższej cenie produktu więcej podzielić między siebie może robotnik i kapitalista, a więc zarobek się podnosi w skutek tego, że cena produktu uległa podwyższeniu. Każdy, kto choćby pobieżnie badał historią podnoszenia się cen w ostatnich czasach, wie dobrze o tém, że działo się wprost przeciwnie; że jeżeli tylko konjunktura handlowa na to pozwalała, fabrykant, od którego robotnicy wymogli wyższą zapłatę, przedewszystkiém starał się zrzucić tę podwyżkę na konsumentów.

Tam, gdzie autor zwraca się do faktów, wywody jego mają daleko większe znaczenie; tak np. gdy śledząc zmiany, co do wartości wywiezionych ze Stanów Zjedn. Amer. Półn. i przewiezionych tamże towarów tłumaczy, że przewyżka wywozu nad przywóz nie oznacza koniecznie kwitnącego stanu przemysłu; że przewyżka ta może być spowodowaną koniecznością wypłacania procentów od po-

przednio zaciągniętych zobowiązań lub spłacania samychże zobowiązań.

W części traktującej o wymianie międzynarodowej, autor broni zasady zupełnej wolności handlu. K. Str.

*Lud. Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusta, zabawy, pieśni, muzyka i tańce; przedstawił Oskar Kolberg* członek kor. akademii umiejętności w Krakowie, oraz towarzystw naukowych w Paryżu, Petersburgu i muzycznego we Lwowie. Serya VIII, z rycinami i drzeworytami wedle rysunku W. Gersona, Tadeusza Konopki i fotografii Rzewuskiego. Krakowskie. Część czwarta: Powieści, Przysłowia i Język; wydana z pomocą funduszu księcia Jerzego Romana Lubomirskiego pod zarządem akademii umiejętności w Krakowie, Kraków, w drukarni Dr. Ludwika Gumpłowicza, rok 1875. (w 8-ce str. VII, 368).

Dowodzić ważności i znaczenia powieści i podań każdego ludu, obok jego przysłów i zdań dorywczych, nie widzimy już dziś potrzeby; poznane bliżej okazały, że stanowią jedną z najobfitszych a ztąd i najcenniejszych źródeł dla badacza jego początków jak i dalszego wewnętrznego rozwoju cywilizacyjnego. Nerozerwanemi bowiem węzły, acz mało napozór dostrzegalnemi, łączą one teraźniejszość z najodleglejszą, zamierzchłą ludu tego przeszłością, pozwalając pilnemu pracownikowi, przy pochodni dotychczasowych zdobyczy naukowych, zstąpić nie bez korzyści w głąbię tych katakumb czasu, by niezbląkany, wysłedził tam i nowe dla nauki, z ciemnych owych labiryntów dziejowych wyniósł na jaw, skarby.

Myśli te autora w przedmowie rzucone w zupełności podzielamy, a samo dzieło stanowi nam nowy dowód, jakie bogactwo duchowe lud nasz posiada, jak wiele jeszcze dla badaczy pilnych zostało, ażeby skarbiec ten cały ubogacił naszą literaturę piśmienną. Sam Oskar Kolberg, jeden z najskrzętniejszych i najsumienniejszych etnografów przyznaje to otwarcie. Powieści sto dziewięćdziesiąt spisał z blizkich okolic Krakowa i z trzech wsi tylko, dalsze jeszcze należy nie zostały studyowane.

Dzieło swe nasz badacz podzielił na *powieści, zagadki, przysłowia i zdania*, wreszcie oddzielny ustęp poświęcił językowi, dodając nie tylko *słowniczek* mniei powszechniejszych wyrazów, ale dołącza *przezwiska* dawane ludziom w niektórych okolicznościach, *oraz nazwy ro-*

dowe włościan, ze wsi osmdziesięciu siedmiu: zamyka tę księgę *Wykaz miejscowości Wielkiego Księstwa Krakowskiego*.

Przysłów czysto-ludowych mamy tu podanych tysiąc osmdziesiąt. Z tego widzimy, jak bogaty wieniec z tych kwiatów myśli i dumań, z jednej ziemi krakowskiej mamy tu zgromadzony, z którego mieszkańców jej rolnych tak blisko poznać możemy. Cztery części poświęcił p. Kolberg *Krakowskiemu*, a jeżeli do dna nie wyczerpał jeszcze wszystkiego z zabytków przechowanych w pamięci ludowej i w *żywém* jego *słowie*, nie wiele już jak mniemamy pozostało do zbadania.

W zagadkach tego ludu znajdujemy nieraz głęboką myśl godną uwagi, jak np.:

„Jaki jest ojciec, żeby nie miał ojca? Matka, żeby nie miała matki? Dziadek, co nie może wnuków swoich porachować? (*Bóg. Ziemia. Czas lat nie policzy*)

„Pan Bóg nigdy—król czasami—pan dość często—a chłop zawsze widuje.“ (*Równego sobie*).

„Siedmiu braciszków cały rok się gonia, i z roku na rok a z wieku na wiek.“ (*Dnie w tygodniu*).

„Siedzi bochen między grochem.“ (*Miesiąc i Gwiazdy*).

„Bez nóg, bez rąk, bez głowy i brzucha, a gdzie się obróci wszędzie dmucha.“ (*Wiatr*).

„Jakie jest światło, co od słońca świeci jaśniej, a jak się zatli to nigdy nie zgaśnie.“ (*Wiara*).

„Coś wziął człeczce bez podzięki, oddać musisz nie proszony.“ (*Życie*).

„Przyszła na piechotę, wyjeżdża w paradzie.“ (*Śmierć*).

Podobnych zagadek znajdujemy w tej części blisko setki.

Wiele powieści, jak i przysłów są znane i w innych okolicach kraju, ale nie mało znajdujemy obok tego nieznanych, albo też z wariantami lub zupełnie przerobione. Co do przysłów, które tak dobitnie dowodzą głębszego poglądu w życie i na świat, mamy w tém dziele obfity zasób, co będzie pomocą nie małą dla badacza, który oddzielną nam księgę przysłów i przypowieści narodowych przygotowuje.

W.

### Gazeta Nowo-Yorska, Czasopismo polskie w Ameryce.

Od początku roku 1874 zaczęła pomieniona gazeta wychodzić w formie wielkiego arkusza, zbliżona do naszego „Wieku“ raz na tydzień, w sobotę. Wydawcą i właścicielem jest dr. med. W. Żołądowski, drukarnia, redakcja wraz z ekspedycją mieszczą się w domu nr. 43 *Chatham Street*. Lubo nie podpisany redaktor, wiemy że prowadzi to pismo Julian Horain korespondent Biblioteki Warszawskiej.

W samym New-Yorku jest zamieszkałych nie mało Polaków. Rzuceni w świat tak daleki, łączą się w kółko braterskie dla wzajemnej pomocy i zabawy. W kwietniu r. z. kilkadziesiąt rodzin polskich, a razem około trzystu osób zgromadziło się na swój koncert. Stała tu orkiestra ob. Rolewskiego, a tenorzysta K. Janicki zachwycił wszystkich wykonaniem hymnu z opery *Stradella* Flotowa jak pieśni: *Znam gród wspaniały*, niedawno zmarłego w Warszawie Jana Chęcińskiego i *Szumia jodły na gór szczycie*, Moniuszki. Z tego grona wielu otworzyło pracownie i sklepy. A. Kromolicki krawiec ma zakład, w którym nie tylko są ubiory męzkie podług najnowszej mody, ale przyjmuje reparacye i przerabianie. M. Zieliński szewc, wyrabia nowe obuwie, przyjmując i reparacye. Walenty Hmielewski otworzył zakład sprzedaży sławnego piwa *Bock-Bier* ogłaszając do tego „Ze bezpłatną przekąską (Lunch) będzie gościnnie ofiarowaną“ zwiedzającym ten zakład.

Gazeta ogłasza prenumeratę na *Dzieje Powszechne* Szlossera, wychodzące we Lwowie w przekładzie Br. Komorowskiego i J. Tretia-ka, jak i żałobne nabożeństwo za duszę zmarłych w Królestwie. Andrzej Kopankiewicz ogłasza otwarcie sali dla posiedzeń towarzystwa, zalecając stancję i stół dla lokatorów, herbatę, kawę i przekąski, oraz skład wina, piwa, likierów i t. p. W. Nowacki otworzył Tawernę polską, na odbywanie wszelkich zebrań polskich.

Dowiadujemy się nadto że w południowym Illinois założoną została kolonia polska, „Radom“, której położenie nadzwyczaj jest zachwalone dla rolnictwa. Ziemia szczególnie urodzajna, na zboża wszelkie, jarzyny, owoce i plantacye tytoniu. Zimowa pszenica jest najlepszą i najrychlejszą na targach w St. Louis i w Chicago, a owoce sławne na kraj cały. Klimat umiarkowany, zimy lekkie i krótkie. Cała okolica bogata w pokłady węgla kamiennego i rudy żelaznej.

Miasto Radom, założone przez kolonistów polskich, od 15 marca 1873 roku, do kwietnia 1874 r. liczyło sto rodziny; z dniem każdym nowe przybywają rodziny. Zakupili już 10,000 akrów ziemi; zbudowali kościół i szkołę.

W odcinku redakcyja mieści utwory znakomitych pisarzy naszych. Tak przez kilka numerów gazety ciągnie się powiastka J. Kozłowskiego, *Pojedynek*.

R.



## WIADOMOSCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

### WARSZAWA.

— *Luty, 1875.* Oddawna powzięto myśl założenia ogrodu zoologicznego w Warszawie. Myśl tę podniósł i wprowadził w użycie p. Ferdynand Bartels, dawniej nauczyciel w instytucie szlacheckim, a dziś emeryt. Nieszczędną ani swęj pracy, ani szczupłych zasobów własnych, założył mały zwierzyńiec przy ulicy Hożej nr. 17. Ale usiłowania pojedynczego człowieka na spełnienie zadania, są ograniczone. Obecnie jak się dowiadujemy z „Tygodnika Rolniczego“, otrzymawszy poparcie władzy, pozyskał możność do odwołania się do współudziału ogółu, przez zbieranie w tym celu dobrowolnych ofiar pieniężnych i zawiązanie „Komitetu czasowego opiekuńczego dla urządzenia ogrodu zoologicznego w Warszawie.“ Spodziewać się należy, że pomysł tak użyteczny znajdzie silne poparcie w naszej społeczności.

— Wszystkie organa prassy naszej zajęły się żywo zapisem dobroczynnym Stanisława Staszica, podając wieloliczne projekta, w celu największego zużytkowania takowego. Dla ożywienia pamięci wielkiego męża, p. Kazimierz Promyk napisał wspomnienie „O księdzu Stanisławie Staszicu“ (Warszawa, 1875 r. w 12-ce str. 23, z popieraniem zmarłego dobroczyńcy) i oddał po cenie niesłychanie niskiej, bo tylko po kop. 2 (groszy cztery) za egzemplarz. Wspomnienie to napisane językiem jasnym a czystym, zawiera w końcu testament Staszica, o ile ten obejmuje zapisy jego. Zwracamy tylko uwagę szanownego autora, że gmach zajmowany dawniej przez b. Towarzystwo przyjaciół nauk, stoi w miejscu zniszczonego kościoła Dominikanów Obserwantów i z gruntu zbudował go Staszic, a nie kupił jako piękną kamienicę, jak to w pomienionej broszurce na str. 14 czytamy.

— W pośród licznych wydawnictw jakie mamy już ogłoszone, niepoślednie zajmuje miejsce, jako w kraju rolniczym dzieło trzytomowe Karola Majewskiego p. n. *Zasady rolnictwa.* Tom pierwszy obej-

muje wykład teoretyczno-praktyczny, naukowy i doświadczalny, tak ogólny, jako też i szczegółowej uprawy dotyczący, z uwzględnieniem historycznego rozwoju pojęć. Tom drugi poświęcony historii naturalnej, t. j. mineralogii ze stychiologią i agrologią, botaniką rolniczą i leśną, oraz zoologią z zastosowaniem do potrzeb ziemianina polskiego. Tom trzeci obejmuje ogrodnictwo wiejskie ze szczegółową botaniką ogrodniczą, warzywną i sadowniczą, z wykazami roślin lekarskich, weterynaryjnych, fabrycznych, przemysłowych i handlowych. Obszerną tę publikacją zdobić będą portrety Wojciecha Jastrzębowskiiego Michała Oczapowskiego i Seweryna Zdzitowieckiego, oprócz wielu drzeworytów. Tom pierwszy już opuścił prasę drukarską.

— Konstanty Wzdulski wydał rozprawę p. n. *Idea państwa w stosunku do zasad nauki gospodarstwa społecznego* (Warszawa, 1875 r., w 8-ce str. 23). Dochód ze sprzedaży przeznaczył autor dla Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych. Trzymając się już ustalonej terminologii naukowej pisze: „Idąc za wzorem pełnego zasług w naszym kraju na polu ekonomii politycznej ś. p. Fryderyka hr. Skarbka, naukę tę nazywamy także „gospodarstwem społecznym,” która to nazwa wybornie odpowiada naturze i duchowi samej nauki. Znakomity pisarz Józef Supiński, również dla ekonomii politycznej przyjął nazwę *gospodarstwa społecznego*.

— Julian Horain korespondent naszego pisma ułożył i wydał mapę symbolistyczną Stanów Zjednoczonych. Mapa w starannie odrobionych chromolitografowanych obrazkach, obejmuje wszystkie znaczniejsze fakta, jakie miały miejsce w Ameryce, począwszy od odkrycia nowego lądu przez Kolumba do naszych czasów.

— Z zapowiedzianego wydawnictwa Michała Grubeckiego „Romansów historycznych Walterskota“, wyszły trzy zeszyty w nowym przekładzie: *Kwentyna Durwarda*. (Warszawa, w drukarni Emila Skińskiego, 1875 r., w 12-ce).

— Wydawcy „Encyklopedyi Powszechnej” (mniejszej), synowie S. Orgelbranda, ogłosili jej rozmiary na ośm tomów. Ale ramy te były zaszczupłe i chociaż bezpłatnie dodali tom IX, zmuszeni zostali rozszerzyć takowe do trzech jeszcze tomów, czyli całość obejmie tomów XII. W tym celu ogłosili na te ostatnie tomy dodatkową prenumeratę. Przypomnieć tu musimy o oddawna oczekiwane suplementa do wielkiej „Encyklopedyi Powszechnej” w 28-miu tomach. Wszyscy jej posiadacze ohotnieby przyjęli tak pożądany dodatek.

— *Goniec Europy* (Wiestnik) w zeszytach styczniowym i lutowym r. b. objął obszerną pracę p. Nila Popowa p. t. „Wolne miasto Kraków” 1815—1846 r. Autor wskazawszy liczne źródła polskie, francuzkie, niemieckie, na których się oparł, rozbierany przez siebie ustęp z dziejów Krakowa uważa za epizod historii polskiej, który obok tego ściśle się wiąże ze stosunkami ówczesnymi i polityką mocarstw należących do składu przymierza św. Istnienie wolnego miasta Krakowa było, podług autora, wynikiłością konieczną nieporozu-

mień powstałych na kongresie wiedeńskim. Kraków (słowa p. Popowa) nierozzerwalnie związany z narodowością polską, był swój oddzielny polityczny w obecnym wieku, winien był w części swój starożytności i znaczeniu historycznemu. Nie nadarmo też jeszcze w wiekach średnich mawiano: *Sola Cracovia est Polonia*; a sentencya ta sprawdziła się i w XIX w. między 1831—1846 r. Dzieje jego wewnętrzne podobne były do dziejów dawnej Rzeczypospolitej... Do téj głównej nici wypadków wewnętrznych i zewnętrznych wiążą się wszystkie interesa prywatne, dążenia osobiste, wypełniające codziennie życie społeczne Krakowa.”

— Księgarz D. E. Friedlein w Krakowie zapowiedział następną publikację: *Podobizny dawnych i rzadkich druków polskich*, XVI i XVII wieku, 10 kart, cena 8 złr. w. a. Zeszyt ten obejmować będzie następujące tytuły: Biblia Radziwiłłowska. Brześć Lit. 1563, fol.—Biblia Leopolda. Kraków, 1561, fol.—Herburt: Statuta i przywileje. Kraków, 1570, fol.—Sarnicki. Statuta i metryka. Kraków, 1594, fol.—Miechowita: Kronika. Kraków, 1521, fol.—Nowy Testament. Kraków 1556, 4-to.—Morochowski: Paregoria. Wilno, 1612, 4-to.—Baranowicz: Żywoty Świętych. Kijów, 1670, 4-to.—Białobrzesci: Katechizm. Kraków, 1567, 4-to.—Falimierz: Zielnik. Kraków, 1534, 4-to.

Gdy dotąd tylko nader mała liczba lubowników z chęcią prenumerowania się zgłosiła, przeto wydawanie dalszych zeszytów zależć będzie od zebrania najmniej 25 prenumeratorów.

Prenumeratorowie, którzyby sobie życzyli otrzymać odbicia tytułów w zeszycie I zamieszczonych, osobno na *papierze starym*, w celu dokompletowania własnych egzemplarzy defektowych tychże dzieł, mogą takowe otrzymać po cenie 80 ct. w. a. za każdy tytuł.

Jakkolwiek publikacya niniejsza podjęta została w celu rozpowszechnienia znajomości dzieł najrzadszych naszej literatury, i głównie tylko podobizny druków rzadkich zamieszczone być mają: to jednak wrzecz gdyby p. prenumeratorowie życzyli sobie zamieszczenia tytułów druków mniej rzadkich, życzenia ich uwzględnione zostaną, aby tym sposobem ułatwić otrzymanie odbić na *papierze starym* w celu dokompletowania egzemplarzy defektowych.

— W rządzie poetów romantycznych, którzy się po Mickiewiczu, Odyńcu, J. B. Zaleskim i Sewerynie Goszczyńskim pojawili, wybitne stanowisko zajął Maurycy Gosławski. Urodzony na Podlasiu 1805 r. kształcił się w Winnicy. Zawód poetycki rozpoczął w r. 1826 w *Dzienniku Warszawskim* pod redakcją J. B. Ordyńca; zakończył życie w mieście Stanisławowie w Galicyi, gdzie podjęto piękną myśl wzniesienia pomnika dla zgasłego poety.

— W Prusach Wschodnich zaczęło wychodzić nowe pismo peryodyczne polskie, redagowane przez p. Gersza, p. t. „Gazeta Leska.” Dotąd wychodził tam „Pruski Przyjaciel ludu,” drukowany gotykiem, w duchu niemieckim, a językiem tak skażonym, że zaledwie przez grzeczność nazwałby go można polskim. Dotychczasowe prace pana

Gersza są rękopisami, że tendencja pisma będzie uczciwą, i wpłynie nie mało na oczyszczenie języka polskiego, którym mówi w tej okolicy około 400,000 protestanckich Mazurów.

— W Poznaniu księgarz Jolowicz uporządkował bibliotekę magistracką, zaopatrzwszy wszystkie jej książki w numera bieżące. Prócz tego spisał alfabetyczny i systematyczny katalog, który znacznie ułatwia korzystanie z biblioteki. Obejmuje ona około 1,200 tomów. Dzieła te dotyczą się mianowicie spraw sanitarnych, prawniczych, ekonomicznych, statystyki, pedagogiki, budownictwa, kass oszczędności, straży ogniowych i t. p. Pomiedzy rękopisami znajduje się także tłumaczenie Łukaszewicza „Historii m. Poznania” przez Königka; prócz tego w bibliotece jest około 100 tomów inkunabułów z wieków XV i XVI, druki włoskie, poczęści bardzo rzadkie i poszukiwane, treści prawniczej i lekarskiej.

— Hr. Działyński właściciel biblioteki Kórnickiej, nabył za sumę 20,000 franków rękopisma słynnego filozofa i matematyka Hehne-Wrońskiego, naszego rodaka, wychowawca szkoły kadetów w Warszawie, a następnie odznaczającego się oficera artylerji pod Kościuszką w 1794 r.

— Wydanie nowe *zbiorn powieści* J. I. Kraszewskiego, przejrzone i poprawione przez autora, bez przerwy we Lwowie jest prowadzone. Obecnie doszło do 73 tomów, a w ostatnich znajdujemy: „Bożą Czeladkę.” Po wielu latach autor, przeglądając utwory z lat młodszych, opatruje każdą powieść kilka wstępniemi słowami, które dla badacza naszego okresu, nie będą obojętnemi. Zmiany nagłe przewroty w społecznych naszych pojęciach i kierunkach, wybijają jaskrawo. Na czele Bożej Czeladki czytamy: „I to jest obrazek starego świata, którego już nie ma! Gdybym powiedział wam, że ludzi takich, a raczej tych ludzi, którzy w tej książce występują przed wami, znałem, że ich kochałem, że w tém kółku żyłem, że patrzyłem na nich z uwielbieniem, możebyście uśmiechnęli się z tego, jak z bajki. A jednak nietylkom ich znałem i kochałem, ale ich opłakałem i znikli mi z oczów na wieki. Drogie te postacie odtworzyłem, kładąc im aureole na czoła, na jakie zasłużyli.”

Powieść tę napisał w latach 1856—1857 na Wołyniu. „Naówczas (dodaje autor) wzory, co nam do niej służyły, ze świata znikły, ale świeża ich pamięć w sercu naszym została.”

— Akademia Umiejętności w Krakowie otrzymała od inżyniera z Medyolanu Zienkowicza tysiąc tomów, przeważnie z zakresu matematyki, inżynierji, fizyki i geografji. Dodawszy do tego wyborowe dzieła treści matematycznej, które czł. honor. akademii T. Tetmayer ofiarował i tysiąc tomów po prof. Bayerze z Warszawy, to biblioteka akademii posiadać będzie najznakomitszy w Galicyi zasób dzieł, odnoszących się do matematyki i nauk z nią spowinowaconych.

— „*Słowa Żywota, czyli Pismo Święte Starego i Nowego Przymierza w rodzinném gronie opowiedziane*” przez Felicję Iwanowską.

Pod takim tytułem wyszło dzieło w pięciu tomach, w Krakowie 1874 r., które drogocennym jest podarkiem dla młodocianego wieku. Autorka w niem komentuje Pismo Święte, snując na tle jego przesliczne powiastki, do których treści dostarczyło życie teraźniejsze. Każda powiastka jest objaśnieniem zdań i sentencji Pisma Świętego i pokazania w życiu praktycznym prawd w niem zawartych. Pomysł to samodzielny i szczęśliwy, a wykonany z całą wytrawnością pióra.

— Prezesi „Maticy Serbskiej“ Łużyckiego Towarzystwa w Budyszynie, Jan E. Smoler i ks. M. Hornik, którzy czas jakiś bawili w Poznaniu i gościnnie przez mieszkańców przyjmowani byli, wydali do nich odezwę z prośbą o pomoc dla swego Towarzystwa. Treść tej odezwy, jest następująca:

„Łużycanie czyli Serbowie Łużyccy, przez Niemców „Wendami“ zwani, zdołali dotąd utrzymać swój język i narodowość, chociaż już od XI-go wieku zewsząd są Niemcami otoczeni. Liczba ich wynosi najmniej 160,000; z tych mieszka podług urzędowej statystyki 53,000 w Saksonii i 48,000 w pruskiej części Górnych Łużyc, resztę zaś stanowią Serbowie Dolnych Łużyc, które całe do Prus należą. Głównym punktem umysłowego ruchu narodowego jest w Górnych Łużycach, Budyszyn, a w Dolnych Chocieborz. Słowo Boże głosi Górno-Łużyczanom dotąd jeszcze 74-księży w 60-ciu kościołach; Dolno-Łużyczanom zaś 30-tu pastorów w tyluż świątyniach. Pierwsi mają szkół 130, drudzy około 40. Liczba Łużyczan, mimo że ich usiłowano germanizować, wzmaga się; w r. 1849 liczone ich tylko 137,928, a w r. 1860 już 162,828. Za najważniejsze zadanie uznali pielegnowanie języka i literatury, dlatego też założyli w r. 1842 gazetę „Serbskie Nowiny“ a w r. 1847 „Maticę Serbską,“ czyli Towarzystwo dla wydawania książek, którego organem jest „Czasopis Maticy Serbskiej.“ Od r. 1854 wychodzi pismo religijne „Misioński Posoł“, a od r. 1860 beletrystyczny miesięcznik „Łużyczan.“ Ponieważ „Matica“ założona dla wszystkich Serbów bez różnicy wyznania, nie mogła wydawać książek religijnych, założono w r. 1862 jeszcze dwa Towarzystwa: jedno dla wydawania dzieł katolickich, drugie dla ewangelickich. Pierwszego organem jest „Katholski Posoł.“

„Matica“ rozpowszechniła od czasu swego istnienia 110,000 egzemplarzy różnych książek, wydała słownik serbsko-niemiecki, niektóre książki szkolne, założyła bibliotekę i zbiór archeologiczny. Biblioteka i inne zbiory mało dotąd były przystępne, ponieważ Towarzystwo nie posiada stosownego dla nich pomieszczenia. Postanowiono zatem wybudować dom, w którym prócz zbiorów możnaby mieć wielką salę dla serbskich towarzystw, koncertów i prelekcji, oraz mieszkania, sklepy kupieckie i drukarnię, aby dochody z budynków pokrywały nie tylko procenta z hypotek, ale zarazem i takowe umarzwały; aby z czasem „Matica“ popierać mogła literaturę serbską i literatów, wspierać studentów i zapobiedz brakowi ludzi ukształco-

nych. W r. 1873 zakupiło Towarzystwo plac w środku miasta za 20,000 tal.; za połowę tej summy gwarantują członkowie wydziału, a o drugą połowę wystarało się kilku Słowian. Na wiosnę ma być rozpoczętą budowa domu, którego kosztu obliczono na 35,000 tal. Chwilowo ofiarowaną Towarzystwu pożyczka bezprocentowa 14,000 talarów nie wystarcza. Znalazłszy poparcie w kilku dzielnicach słowiańskich, zwracają się Łużyccy Serbowie do Poznańczyków z prośbą o pomoc w dopięciu tych celów.“

Przytoczyliśmy treść tej odezwy, dlatego, że daje rys niemal historyczny pracy narodowej Serbów nad ich językiem.

— *Henryk Wallon*, professor Sorbony, przed kilku laty złożył księciu Wł. Czartoryskiemu w podarunku spis książek biblioteki króla Stanisława Leszczyńskiego w Nancy. Jest to dość obszerny i nader ciekawy katalog, dający mniej więcej wyobrażenie o ruchu umysłowym, jaki panował na dworze króla-filozofa. Podobny katalog, a raczej wykaz wydatków na kupno książek do królewskiej biblioteki w Nancy przeznaczonych, znajdował się w Warszawie u p. Feliksa Szymanowskiego, dyrektora kass banku. W tej książeczce, zapisanej ręką Dziewuli, powiernika królewskiego, znajdują się także rozmaite notatki, po prostu *silva rerum*.

— W Berlinie wyszła ciekawa książka o zbiorach rycin królewskich pruskich muzeów (*Die Kupferstich-sammlung der Königlich. Museen in Berlin beschrieben von J. E. Wessely*). Z książki tej dowiadujemy się o wielu portretach znakomitości polskich, które znajdują się w muzeach królewskich w Berlinie. Spotykamy tam np. rycinę Zylvelta: *Nic. Arnoldus Polonus* (1680), Sommera portret króla Michała, Verkoliego portret Augusta III, Jakóba Cherreau *Marie princesse de Pologne*, Larmessina portret króla Stanisława i Katarzyny Opalińskiej i t. d. Wspominając o muzeach królewskich w Berlinie, nadmieniamy, że w nich znajduje się przeszłiczny portret Zofii Wittowej-Potockiej. Jest to jeden z tych portretów słynnej Zofii, który tłumaczy nam całą namiętność Szczęsnego Potockiego, wyobraża bowiem Wittową w olśniewającym uroku pięknosci.

— *Erokmann-Chatrian* napisali (bo to są dwaj pisarze) przeszliczną powiastkę p. t. „Le Brigadier Frédéric“ (Paris, Hetzel, 1875), osnutą na tle stosunków społecznych Alzacyi. Bohater, brygadyer straży leśnej, wydalony ze służby za to, że odmawia przysięgi poddańczej Prusom, opowiada wspomnienia swoje. Koło niego grupują się córka, zięć, inspektor Lasoche i nienawistny Niemiec nadleśny. Autorowie umieją wywołać wielkie efekta za pomocą największej prostoty.

— *Gino Capponi* potomek znakomitej w XV w. rodziny florenckiej, ogłosił obszerną, dwutomową *Historję Florencyi* (*Storia della repubblica di Firenze*. Barbera editore, str. 668 i 632 in 8-vo maj.), w której zużytkował wiele dokumentów z rozmaitych archiwów tokańskich, oraz z własnego archiwum familijnego; tym sposobem rzucił nowe światło na epokę Medyceuszów, szczególnie na wiek XV.

— Kilka utworów poetyckich Wład. Kulczyckiego przetłumaczono na język włoski. Tłumaczem jest p. Ettore Marcucci.

— Prof. D-r Fel. Dahn, autor cenionego w świecie naukowym dzieła o „Królach Germańskich,“ wydał teraz *Studya Wizygockie* (Westgothische Studien etc. Würzburg 1874. Stahel, str. 321 in 4-to). Praca ta dzieli się na dwie części: pierwsza zawiera historią prawodawstwa wizygockiego, druga—treść kodeksu Lex Visigothorum z podziałem na prawo prywatne, cywilne, karne i procedurę, oraz z porównawczym poglądem na prawo innych ludów germańskich, rzymskie i kanoniczne,

— *W. Corssen* w ogromnej i wielce pracowitej księdze p. t. *Ueber die Sprache der Etrusker* (Leipzig 1874, Teubner, str. XXXVI, 1016 in 8-vo maj., z 25 drzeworytami i tablicami litograficznymi), przedstawił deklinacje, konjugacje i całą budowę zaginionego języka Etrusków. Za punkt wyjścia służy mu napis dwujęzyczny, ale żaden ze znanych pomników języka lub sztuki Etrusków nie jest pominięty. Autor traktuje ten język, jako jedno z narzeczy italskich i czerpie wiele wniosków z zestawień z formami łacińskimi. Książka p. Corssena jest więc ciosem dla tych wszystkich uczonych, którzy tworzyli hipotezy o semityckim, a szczególnie fenickim pochodzeniu Etrusków.

— *Gabelentz* na podstawie materyałów nadesłanych z Australii, szczególnie przez zamordowanego w 1871 r. biskupa Pattesona, ułożył *grammatykę języków melanezyjskich* z Nowej Kaledonii, Nowych Hebrydów, archipelagu Salomona i okolicznych. Tytuł: *Die melanesischen Sprachen nach ihrem grammatischen Bau und ihrer Verwandtschaft unter sich u. mit den malaiisch-polynes. Sprachen untersucht.* Leipzig 1873, Hirzel, str. VI, 186. Jest to odbitka z VII tomu fil.-hist. kl. Saskiej Akademii Nauk.

— *K. Grün* wydał korespondencją *Ludwika Feuerbacha*, głośnego niegdyś filozofa materyalisty, autora znakomitego aforyzmu: „Człowiek jest tém, co jé“ (der Mensch ist, was er isst). Ciekawe tu są listy ojca do syna i odwrotnie o Heglu i jego szkole. Ojcem zaś był ów prawnik Feuerbach, redaktor kodeksu bawarskiego z 1813 r., jeden z najbardziej wpływowych i utalentowanych pisarzy w literaturze prawa karnego.

— *A. v. Reumont* opowiada historią Florencyi w epoce Wawrzyńca Wspaniałego (Lorenzo de' Medici il Magnifico. Leipzig 1874, Duncker, 2 tomy po 600 przeszło stronnic). Zużytkowane tu zostały opere ineditae Guicciardini'ego.

— *Grundzüge eines Systemes der Nationalökonomik* od. Volkswirtschaftslehre (Graz 1874, Leykam-Josefthal) profesora H. Bischofa, zapowiada się pierwszemi trzema zeszytami jako wykład kompletny Ekonomii Politycznej, odpowiadający obecnemu stanowiaku nauki.

† W dniu 19 stycznia r. b. zakończył życie w młodym wieku, bo zaledwie lat trzydzieści kilka liczący, w Winniczkach pod Lwowem hr. **Witold Dunin Borkowski**, syn Leszka Borkowskiego, znanego zaszczytnie pisarza i posła na sejm Galicyjski. Zmarły oddawał się głównie gałęzi literatury dramatycznej. Po raz pierwszy wystąpił publicznie z dramatem *Oflary*, który był grany na scenie lwowskiej w roku 1864. Następnie napisał dramat historyczny pod tytułem: *Klementyna Sobieska* i komedię *Stosunki rodzinne*, w której usiłował naśladować najnowszą szkołę francuzkich autorów, jak Sardou, Feuillet i Augier, głównych reprezentantów tak zwanéj *comédie serieuse*. Obie te sztuki były grane w lwowskim teatrze; *Stosunki rodzinne* pojawiły się w „Dzienniku Literackim“ i wyszły następnie w osobnej książkowej odbitce. Ostatnią pracą Witolda Borkowskiego była komedia pięcio-aktowa pod tytułem: *Spisek Salonowy*, wykończona już zupełnie w rękopiśmie, lecz dotąd nigdzie nie grana.

† W ostatnich dniach tegoż miesiąca w Tarnopolu, licząc lat 91 umarł **Szymon Włostowski**, weteran z czasów Napoleona I-go. Urodzony 1784 r. na Mazowszu, od r. 1807 brał udział we wszystkich znakomych bitwach, jak przy zdobyciu wąwozów Samo-Sierra, pod Madrytem (ranny) i w Niemczech pod Wagram. Ozdobiony krzyżami *Virtuti Militari* i kawalerskim *Legii Honorowej*. Towarzyszył Napoleonowi I-mu na wyspę Elbę i następnie aż do chwili zajęcia Paryża przez sprzymierzonych. Życie tego wojownika było zaprawdę rapso-dem rycerskim.

† Dnia 14 lutego r. b. w Warszawie umarł **Jacenty Sachowicz**, artysta malarz, kustosz muzeum sztuk pięknych.

---

*Sprostowanie.* Na stronnicy 384 i 387 zamiast *Frendelenburg*, czytaj *Trendelenburg*.

---

*Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca *Józef Berger*.

W drukarni J. Bergeru, w Warszawie przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 619.

Дозволено Цензурою. Варшава, 14 Февраля 1875 года.



# SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

Z R. 1875.

stron.

## *Filozofia.*

O warunkach świadomości, Przez prof. Henryka Struvego. . . . .	98
Znaczenie Sylogistyki. Przez Józefa Kremera. . . . .	374

## *Historya.*

Spis książek króla Zygmunta I-go. Przez K. Pułaskiego. . . . .	277
Epizody z życia Nerona. Według dzieł E. Ronana. Przez Edwarda Lubowskiego. . . . .	304
Biblioteka uniwersytetu warszawskiego. Przez M. Wismunta. . . . .	409

## *Geografia.*

Podróże i odkrycia geograficzne w r. 1872—1874. Przez Adolfa Pa- wińskiego. . . . .	49, 261
--	---------

## *Literatura.*

Rycerze. Komedia Arystofanesa. Przez Józefa Szujskiego. . . . .	1
Józef Korzeniowski. Studium literackie Adama Rządewskiego. . . . .	74, 233
Nowo odkryte pomniki poezji bułgarskiej. Przez Sewerynę z Żochow- skich Duchieńską. . . . .	193
Kilka szczegółów z życia Łukasza Górnickiego. Przez Aleksandra Wej- nerta. . . . .	420

## Nauki Społeczne.

O prawach statystycznych. Przez dra. Karola Strasburgera. . . . . 253

## Powieść.

Z Siedmioletniej wojny. Opowiadanie historyczne. Przez J. I. Kraszewskiego. Tom I. . . . . 337

## Literatura zagraniczna.

### KRONIKA ZAGRANICZNA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Pozątki i epoka pogańska historii Węgrów, przez profesora Sayous członka towarzystwa Kisfaludieh w Peszcie. Pochodzenie, wędrówka, najazdy na Europę, mythy pogańskie, stan społeczny Madziarów.—„Moi Synowie“, przez Wiktora Hugo.—„Pracjowie Nasi“ tragedia, przez Marc Bayeux. Listy Prudhona.—„Podróż w około świata“, sztuka w obrazach, przerobiona z powieści Verna. „Nienawiść“ (la Haine) dramat historyczny Wiktoryna Sardou.—Przejście Venus przez tarczę słoneczną. Jansen. . . . . 119

Kurs profesora Chodźki, o historycznych tradycjach Bułgarów.—Wspomnienia Wiktora Pawie: Pobyt u Goethego z Davidem z Angers.—Spotkanie z Mickiewiczem i A. E. Odyńcem w Wejmarze.—Zbiór poezji Franciszka Coppée, *Zeszyt czerwony*.—Uroczystość akademicka; przyjęcie Meziara, pochwała S-t Maro Girardin; mowa dyrektora akademii Rousset.—Prace erudyty greckiego Konstantego Satkas: Biblioteka kronik średniowiecznych.—Poemat Jana Coronajosa, o sławnym Kondottierze Mercurios Bonań.—Przedmowa Aleksandra Dumasa do *Manon Lescant*.—Sardou i Offenbach.—Upadek dramatu *Haine*.—*Kapitulacja*, farsa Wagnera.—*Les odeurs de Berlin* przez Leonron le Duc.—*Podróż do umarłych miast Zuydersee* p. Harvard.—*Sylwetki miast*, Ludwika Dépres.—Przegląd: *Rumunia współczesna*.—Prace etnograficzne Rumunów.—Pytania na kongres jeograficzny paryzki.—Katedry języka i literatury prowansalskiej.—Kollogium Stanisława.—Zbiory historyczne po Leonardzie Chodźko. . . . . 281

Dzielo p. Odysse-Barrot. Historia literatury współczesnej w Anglii od 1830 do 1874 roku.—Dziennikarstwo. Poezja.—Burna. Poeeci rzemieślnicy.—Współdziałanie poezji w reformach społecznych.—Życiorys Micheleta, przez Gabryela Monod. Torwaldsen, jego żywot i dzieła, przez Eugeniusza Plon. Stosunki z Byronem i Walterskotem. Konferencya Legouvego. Samson.—

Towarzystwo artystów dżamatycznych.—Przyjęcie Aleksandra Dumasa do akademii Francuzkiej.—Mowa akademicka: odpowiedź p. Haussouville. . . . . 433

*Piśmiennictwo krajowe i zagraniczne.*

- Walentego Dutkiewicza: „Zbiór spraw sądowych, przez ex-kanclerza Andrzeja Zamoyckiego ułożony i w roku 1778 drukiem ogłoszony, a teraz przedrukowany i z domieszczeniem źródeł i uwag tak prawoznawczych jak i prawodawczych.“ Warszawa, 1874 r. Przez M. B. . . . . 152
- Dr. Józef Serneo, Der materialismus und das Slaventhum, 1874 rok. Przez Henryka Struvego. . . . . 164
- Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego akademii umiejętności. T. I. Kraków, 1874. Przez K. P. . . . 165
- Kongres antropologii i archeologii przedhistorycznej w Sztokholmie 1874 rok. Przez Adolfa Pawińskiego. . . . . 171
- Słownik rytmików polskich, jako przyczynek do historii sztuk pięknych w Polsce, napisał Julian Kołaczkowski inżynier. Lwów, 1874 rok. Przez W. . . . . 173
- Malowanki. Dziesięć kolorowanych tablic opisane rymem dla drobnej dziatwy, przez Jana Chęcińskiego. Warszawa, 1875 rok. Przez R. . . . . 175
- O Towarzystwach zarobkowych i gospodarczych, według ustawy z dnia 9 kwietnia 1873 r., z uwzględnieniem ustaw w Niemczech obowiązujących: wykład systematyczny napisał D-r Leonard Piętaś profesor Uniwersytetu Lwowskiego. Lwów, 1874 rok. Przez Feliksa Zielińskiego. . . . . 301
- La Poésie latine en Pologne par René Lavollée Docteur és lettres. Paris, 1873 r. str. 50. Przez X. . . . . 310
- W. Wundt, Ueber die Aufgabe der Philosophie in der Gegenwart. Leipzig, 1874 r., str. 21. Przez Henryka Struvego. . . . . 319
- Literatura rolnicza. Przez K. Przeciszewskiego. . . . . 459
- Mała gramatyka języka polskiego. Wyłożył August Jesko. Wydanie drugie. Warszawa 1875 r. Przez L. Szczerbowicza-Wieczora. . . . 468
- F. Harms, Ueber den Begriff der Psychologie. Abhandlungen der K. Akademie der Wissenschaften zu Berlin. 1874 rok, str. 53 do 77. Przez H. St. . . . . 474
- Some leading principles of political economy newly expounded by J. E. Cairnes. London, 1874. (Kilka głównych zasad ekonomii politycznej nowo-przejrzanych J. E. Cairnes'a). Przez K. Str. . . . 475
- Lud. Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce; przedstawił Oskar Kolberg członek kor. akademii umiejętności w Krakowie, oraz

towarzystw naukowych w Paryżu, Petersburgu i muzycznego we Lwowie. Serya VIII, z rycinami i drzeworytami wedle rysunku W. Gersona, Tadeusza Konopki i fotografii Rzewuskiego. Krakowskie. Część czwarta: Powieści, Przysłowia i Język; wydana z pomocą funduszu księcia Jerzego Romana Lubomirskiego, pod zarządem akademii umiejętności w Krakowie. Kraków, w drukarni Dr. Ludwika Gumpłowicza, rok 1875 (w 8-oc str. VII, 368). Przez W. . . . .	478
Gazeta Nowo-Yorska, Czasopismo polskie w Ameryce. Przez R. . . . .	479

### *Korrespondencya.*

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej, o obrazach wielkich bitw. Przez W. Eng. . . . .	480
WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE. . . . .	188, 324, 481
Akademia umiejętności w Krakowie. . . . .	176
NEKROLOGIA. . . . .	386, 488
OD REDAKCYI. Sprostowanie. . . . .	488

---